

Guy N. Smith

Krwawa bogini

Rozdział I

Dziewczyna obejrzała się. Widziała tylko ciemność kryjącą identyczne rzędy na wpół zburzonych, opustoszałych kamienic. Wysiłała oczy aż do bólu. Teraz już była pewna. Ktoś ją śledzi! Nasłuchiwała, lecz czuła jedynie bicie własnego serca, ogłuszające pulsowanie w skroniach.

Kroki za nią ucichły, tak jak ostatnim i przedostatnim razem. Delikatne stąpanie mogło być echem jej własnych pospiesznych kroków. Wiedziała jednak, że to złudzenie. Z trudem łapała oddech.

Bała się. Czy starczy jej sił, by biec dalej?...

Chciała krzyknąć: "Kim, na litość boską, jesteś? Czego ode mnie chcesz?"

Domyślała się. A właściwie teraz już dobrze wiedziała, kto ją śledzi i czego od niej chce. Upatrzył ją sobie na dyskotece. Punk o ziemistej twarzy, bladej i martwej, który tańczył z nią tego wieczoru. Barwne, migotliwe światła demaskowały tę twarz - była wykrzywiona w grymasie pożądania, a jego oczy patrzyły na nią natarczywie i przenikliwie. Przez moment czuła się prawie naga.

"Chciałbym cię zerznąć, kotku! I zrobię to!" - mówiły bezgłośnie bezkrwiste usta.

Kiedy światła na kilka sekund rozbłysły, ujrzała nabrzmiałego członka pulsującego w jego obcisłych spodniach, tak jakby próbował wydostać się na zewnątrz i rzucić na nią. W pewnej chwili punkt zbliżył się. Napierając

dotknął jej ramienia palcami tak chłodnymi, że aż się skurczyła. Jego twarz wykrzywił zimny, lubieżny uśmiech.

Shanda próbowała uciec, zgubić go w gąszczu rytmicznie podskakujących na parkiecie postaci. Nie spuszczał jej jednak z oczu. Zachowywał się jak myśliwy tropiący zwierzynę. Jak kot, ignorując rytm, ruszał się w takt swej własnej, budzącej żądze muzyki.

Shanda rozejrzała się wokół szukając pomocy, lecz nikt nie zwrócił na nią uwagi. "Samotne dziewczęta nie powinny chodzić na dyskoteki". Przypomniała sobie słowa matki, które sprawiły, że poczuła się winna. Pragnęła uciec z tej ponurej sali i biec bez zatrzymania, aż schroni się w skromnym korytarzyku municypalnego bliźniaka rodziców.

"Dziewczęta nie powinny wracać do domu po zmroku, nie w takiej dzielnicy! Tylu zboczeńców i bandytów wałęsa się po ulicach. To naprawdę niebezpieczne!"

- Zamknij się, mamó! Na litość boską, zamknij się!

Pojawił się znowu. Jego wygięte w łuk ciało kołysało się w rytm upiornej muzyki. Ani na chwilę nie odrywał od niej wzroku. Było w tym coś z szaleństwa. „Zerznę cię, kotku!” Shanda poczuła jak narasta w niej histeria. Spojrzała na pogrążony w mroku neon nad wyjściem. Przez chwilę nie mogła się zdecydować. Spostrzegła, że zbliża się, balansując biodrami w sposób jednoznaczny, nie pozostawiający żadnych wątpliwości co do jego intencji. Wtedy zaczęła uciekać.

Wypadła na opustoszałą ulicę. Latarnie oświetlały pierwsze kilkaset jardów. Dalej wszystko tonęło w mroku. Mieszkańcy tych porzuconych po obu stronach domów dawno już umarli i nie musieli niczego oglądać w pełnym świetle. Shanda w pośpiechu minęła przecnicę. Jej obcasy stuknęły po popękanych kocich łbach.

W pewnej chwili potknęła się. Poczowała przejmujący ból w kostce. On nadal szedł za nią. Podążał jej śladem jak czarny upiór, jak widmo.

"Słyszałaś go tylko dlatego, że on chciał, abyś go słyszała... - pomyślała z rozpaczą. Jest pewien, że mu nie umknę."

Nie miała sił, by biec dalej. Oddychała z trudem. Zwichnięta kostka bolała dotkliwie. Noga była jak martwa, uniemożliwiała ucieczkę. W każdej chwili mogła upaść. Zatrzymała się w przerażającej ciszy, wyczekując. Zapragnęła mieć to wszystko za sobą,

skończyć ten koszmar. Niech robi co chce i pozwoli jej odejść.

Wtedy dostrzegła go znowu. Na jego białej, martwej twarzy, która zdawała się być zawieszona w powietrzu, widziała wymuszony uśmiech. "A może to nie twarz, a czaszka o upiornie wyszczerzonych zębach..." - zdążyła jeszcze pomyśleć.

Próbowała wmówić sobie, że uległa złudzeniu. Twarz nie może być "zawieszona" w próżni. Chłopak był ubrany na czarno... W gęstym mroku ulicy nie sposób więc dostrzec resztę ciała. A jednak...

Wszystkie próby uspokojenia zawiodły. Był wcieleniem zła, demonem takim jak te, z których drwiła oglądając późną nocą filmy grozy. Tym razem nie śmiała się. Chciała krzyczeć, lecz żaden dźwięk nie mógł dobiec się ze skurczonego gardła. Te oczy, mój Boże, te oczy! Nabiegłe krwią, zatopione w głębokich oczodołach przenikały jej ciało zmysłowym, natarczywym spojrzeniem. Znał każdą jej myśl.

Nie czuję nienawiści - powtarzała - naprawdę... i jeśli chcesz robić to ze mną... odpowiada mi to... Nie mam nic przeciwko, naprawdę nie! - łkała bezradnie, pogodzona z losem. Jego pusty, szyderczy śmiech zasko-

czył Shandę. Słyszała go dobrze! - w przerażającej ciszy ulicy zabrzmiał niczym wystrzał. Zadrżała. Przymknęła na moment powieki, ale po chwili musiała spojrzeć znowu. Spostrzegła, że podszedł

blisko. Stał o stopę od niej. Jakaś tajemna siła kazała jej stać bez ruchu. Czowała jego oddech na swojej twarzy.

- Kochanie, masz śliczne ciało.

Stwierdziła, że bezwiednie potakuje. To echo słów Mike[^], jej ostatniego chłopaka. Wypowiedziane słowa miały w sobie coś złowieszczonego. Był teraz jeszcze bliżej. Wydawało jej się, że unosi się z wolna i wyciągając ku niej chłodne ręce, obejmuje ją. Skuliła się. Skurczyła. Chciała krzyczeć, była pewna że krzyczy. Mogła się jednak mylić. Chwycił ją za gardło i zaczął dusić. Dławiąc się i krztusząc - upadła. Świadoma była jedynie jego ciała na sobie. Przez rozmazaną mgiełkę widziała jaśniejącą, białą twarz. Poczowała jego oddech. Chciała wymiotować, lecz ściśnięte gardło nie pozwalało na to. "Boże, zrób, co chcesz i skończmy z tym! Tylko nie zabijaj mnie! Proszę, nie zabijaj mnie!"

By go nie rozwścieczyć rozsunęła szeroko nogi. Robiła wszystko, by pokazać, że chce tego. On jednak najwyraźniej nie zwracał na nią uwagi. Pocałunek był odrażający. Jego otwarte usta cuchnęły. Język z niezwykłą siłą rozwierał jej zęby i wciskał się między wargi jak zimny, ubłocony gad. Czowała wstręt. I nagle cios i przeszywający ból. Całe jej ciało zadrżało i napięło się. Coś, co przypominało ogromną igłę zanurzało się w jej szyi. Coraz głębiej. Jej gardło i usta wypełniły się gęstym, ciepłym płynem, który uniemożliwiając wydanie głosu zaczął ją dusić.

Nagle napastnik zniknął.

Z trudem uklękała, rozglądając się nieprzytomnie wo-

kół. Widziała tylko ciemność, za którą mogło kryć się wszystko - czuła to. Wszystko lub przerażająca pustka pogrążonego we śnie miasta. Bezcielesna, pożądliva, biała twarz zniknęła. Została sama. Próbowała zatamować krew. Palcami przyciskała ranę, która sięgała tętnicy.

Czołgała się. Była przerażona. Czerwona mgiełka przesłoniła jej oczy. Krew rozpryskiwała się na chodniku. Ciągnęła się za nią ciemną smugą. Z trudem posuwając się naprzód, zdała sobie sprawę, że śmiertelnie osłabnie, nim ktokolwiek zdoła ją odnaleźć.

Przerażona ciągle zadawała sobie pytanie: dlaczego jej nie zgwałcił, dlaczego nie wykorzystał jej bezbronного ciała? Na dyskotece wyraźnie jej pożądał, a potem... usiłował zabić.

Kim on jest? Martwa, blada twarz wylaniała się z mroku. Reszta ciała była niewidoczna. Tylko ta twarz - znieruchomiła i zła.

Upadła. Leżała w kałuży krwi, dusząc się i płacząc. Dwa palce wcisnęła w równy, okrągły otwór w szyi. Widziała już to kiedyś w nocnych filmach grozy. Wampir zabijał swą ofiarę pozostawiając, po nasyceniu swej żądzy, bezkrwiste ciało.

Gdy uprzytomniła sobie całą potworność tego, co się zdarzyło, ostatni raz próbowała krzyknąć. Z jej ust wydobył się jedynie szept. Osunęła się na zimny bruk

i znieruchomiła. Gdzieś w oddali, w mroku nocy zabrzmiał głos puszczyka. Później wszystko ucichło. Mniej niż milę od miejsca, gdzie Shanda leżała martwa w kałuży własnej krwi, Stella Lowe zaczęła swą nocną pracę. Była kobietą wysoką i szczupłą. Niedawno skończyła trzydziestkę. Jej długie, utlenione włosy opadały znacznie poniżej ramion. Stała w drzwiach zabitego de-

skami sklepu. Mrok rozpraszało światło ulicznych latarni. Latarni, których, gdy się zepsuły, nikt nie naprawiał. Nikt się nie skarżył z tego powodu. Nikomu na tym nie zależało. W przeciągu paru lat wszystkie te ulice zostaną zniszczone, by ustąpić miejsca nowym budynkom rady miasta. Nowoczesne slumsy zastąpią stare.

Stella zapaliła papierosa. Puste opakowanie rzuciła na ulicę. Czowała jak ogarnia ją senność. Gdyby tego wieczora nikt się nie zjawiał, nie byłaby szczególnie zmartwiona. Jej klientelę stanowili przeważnie bywalcy "Tawerny". Napaleni faceci, którzy nie potrafili opanować tego, czego, jak sądzili, domagały się ich spocone ciała. Swoje rozdrażnienie wyładowywali na niej.

Boże, czegóż oni oczekiwali za te swoje trzy funty, które brała za usługi w opuszczonym domu. Albo za pią-taka, jeśli zabierała ich do własnego pokoju? Później zaczęła wystrzegać się zapraszania mężczyzn do siebie. Już dwa razy siedziała w pudle za

uprawianie nierządu i nie chciała, by przedstawiciele prawa interesowali się zbytnio jej mieszkaniem.

- Jezu Chryste. Aleś mnie przestraszył!

Niemal upuściła papierosa. Złapała go w ostatniej chwili wpatrując się w wielkiego mężczyznę, który bezszelestnie zbliżył się do niej. Był w tenisówkach.

Gumowe podeszwy tłumili kroki. Podszedł na odległość jarda, nim spostrzegła jego obecność.

Zaskoczona i trochę zdezorientowana, mocno zaciągnęła się papierosem, próbując rozpoznać pograżoną w półmroku twarz. Nie był to żaden z jej stałych klientów - tego była pewna. Miał ciemne włosy. Jego nalana twarz świadczyła, że dawno skończył już czterdziestkę. Ręce drżały mu nerwowo. Mogło się wydawać, że po raz pierwszy wyszedł na podryw.

10

- Przepraszam - głos brzmiał elegancko dystyngowanie, nie było w nim ani śladu dialektu - nie chciałem cię przestraszyć.

- W porządku.

Stella była podejrzliwa. Dawno minęły już czasy, gdy mogła rozpoznać policjanta bez względu na to, czy miał na sobie mundur, czy nie. Ci, co przychodzili teraz, różnili się między sobą budową ciała i wzrostem. Zdarzało się nawet, że wpadali do burdelu dla przyjemności. Starła się być ostrożna. Ostrożna aż do przesady.

- Rozmarzyłam się.

**- To tak jak ja - jego śmiech zabrzmiał cynicznie. -
Chciałem właśnie znaleźć w tej dziurze kogoś takiego
jak ty. Ile chcesz?**

**Jego bezpośredniość zaskoczyła ją. Jeśliby
powiedziała, że chce trzy funty, a on okazałby się
gliną, to tak jakby przyznała się do winy.**

**- Właśnie czekałam na kogoś. Próbowała wyczytać
coś z jego oczu. Była bez szans. Patrzył przeszywając
ją wzrokiem na wskroś.**

**- Kogoś takiego jak... ja? Przysunął się bliżej.
Poszukał jej ręki.**

- Być może.

- Dokąd pójdziemy?

**Stella Lowe lekko drżała. Nie wyglądało to na
zwykły podryw. Nie był to klient prymitywny, z tych
co to, pragnąc pocałunków, próbują wcisnąć
jednocześnie ręce pod spódnicę dziewczyny.**

**Targował się spokojnie, z rozmysłem, jak człowiek
spierający się z taksówkarzem o wysokość opłaty za
nocną jazdę.**

**- Tam, niżej, przy tej ulicy, jest taki dom - jej głos
11**

**drżał - ostatni z przeznaczonych do rozbiórki. W
jednym z górnych pokoi jest nawet łóżko, co prawda
bez prześcieradeł...**

**Czekała, aż wybuchnie śmiechem. Żart trafił w
próżnię. Facet milczał.**

**- Wystarczy! - zdecydował nagle, chwytając ją
brutalnie za rękę.**

O cenę już nie pytał. Może nie zamierzał płacić. Stella miała złowrogie przeczucia. Gdyby tylko mogła wyzwolić się z uścisku, pobieglaby tak szybko, jak to tylko możliwe w stronę "Tawerny" i oddała się za darmo któremuś ze stałych klientów.

Wszystko, byle uciec od tego zimnego, bezdusznego mężczyzny. Nie mieściło jej się w głowie, że taki typ może potrzebować seksu. Nie było jednak odwrotu. Ciągnął ją tak silnie w stronę opustoszałych, mrocznych kamienic, że zmuszona była niemal biec.

- Który to dom? - mruknął po kilku minutach.

- To ten... tam, po drugiej stronie.

Kłamstwo nie miało najmniejszego sensu. Mógł zawlec ją do każdej z tuzina walących się ruder.

Miejsce było mu zupełnie obojętne.

W milczeniu przeszli na drugą stronę. Pchnął ręką wskazane drzwi, które trzeszcząc, skrzypiąc i trąc o wypaczoną podłogę, otworzyły się wreszcie. Zamknął je zdecydowanie, jednym ruchem.

- Nie chcemy, by nam przeszkadzano, prawda? - w głosie jego brzmiała ironia.

Dziewczyna drżała gwałtownie, gdy wspinali się po chybotliwych, drewnianych schodach.

Nadal trzymał ją mocno.

- Hej, nie musisz wykręcać mi ręki. Nie mam zamiaru wiać!

Ten symboliczny sprzeciw miał zabrzmieć gniewnie, upodobnił się jednak do łkania. Nie potrafiła dłużej ukrywać koszmarnego strachu.

- Doprawdy?

Brutalnie pchnął ją w plecy. Runęła na obdarte sprężyny łóżka. Jeszcze poczuła, że wystające druty mszczą jej najlepszą sukienkę, ale to już przecież nie miało znaczenia.

- Kim jesteś?

Po raz pierwszy mogła wyraźnie dostrzec jego twarz. Oświetlał ją snop ulicznego światła, które wpadało ukośnie przez wybite okno. Zatrzymana w bezruchu, robiła przerażające wrażenie. Jak maska.

Bezдушna, obca, o twardych rysach, niemal martwa, a jednak wykrzywiona w grymasie zła.

Stella przełknęła głośno ślinę. Czowała, że drży.

- Zostałaś wybrana...

- Co... co chcesz przez to powiedzieć?

Stella pomyślała, że zacznie krzyczeć. Wiedziała jednak, że nic by to nie dało. Nikt nie przechodził tą ulicą w nocy, z wyjątkiem przypadkowych pijaków, którzy z pewnością nie dochodziliby przyczyny kobiecych wrzasków.

- Spójrz... - w jego oczach pojawił się fanatyczny błysk. Mówił teraz uroczyście, poważnie. -

Spoglądasz na jednego z czcigodnych uczniów Wielkiej Lilith, Bogini Ciemności.

"Jest obłąkany - pomyślała. - To szalenie, bardziej niebezpieczny od innych."

Nagle, rozpaczliwie i w pośpiechu, zaczęła rozpinąć sukienkę, obnażając białe ciało.

- Tego chciałeś, tak?

13

- Tak... i nie - zaśmiał się szyderczo, szepcząc. - Lecz nie tak jak myślisz.

- To czego, do diabła, chcesz?!

- Dziś w nocy - jego głos był tak cichy, że musiała wyteńczyć słuch, by dosłyszeć jego słowa - uczniowie Lilith rozeszli się po mieście, by szukać takich jak ty. Powinnaś czuć się zaszczycona. Zostałaś wybrana.

Jego nagły atak zaskoczył ją. Jednym skokiem przygniótł ją swym ciałem, aż zajęczały sprężyny łóżka. Wydawało jej się, że została związana, zupełnie unieruchomiona, a on próbuje wydobyć coś z kieszeni. "O Boże, on ma nóż!" - pomyślała.

Pomarańczowe światło, którym przesączony był pokój, rozbłysło na moment, odbijając się od jakiegoś przedmiotu. Nie zdążyła się zorientować, co to jest. Nie chciała nawet. Odwróciła głowę i modliła się, by koniec nadszedł prędko.

Nagły ból, który drążąc szyję wtopił się w jej gardło, powstrzymał przenikliwy krzyk. Czowała krew w ustach i przelyku. Kopała wściekle, ale wiedziała, że to na nic. Napastnik jednak najwyraźniej nie zwracał uwagi na jej wysiłki. Drobne stopy Stelli nie mogły zadać mu bólu. Śmiał się, a ona czuła, że traci siły, że gaśnie jej świadomość. Myślała, że krzyczy, albo że przynajmniej próbuje to robić.

- Jestem uczniem Lilith! - usłyszała jeszcze. W miarę jak słabła, dławiąc się własną krwią, jego słowa uderzały w nią brutalnie, zadając niemal fizyczny ból. Nagle uświadomiła sobie, że napastnik nie leży już na niej. Nic nie widziała. Straciła wzrok. Została tylko purpurowa mgła przesłaniająca oczy. Słyszała dźwięki, jakby gdzieś w pobliżu woda lała się z otwartego kranu. Ze

14

zgrozą uświadomiła sobie, że to jej własna krew tryska, rozpryskując się na podłodze.

O Jezu! Ten lajdak przeciął jej gardło!

Instynktownie, podobnie jak Shanda, Stella Lowe próbowała przycisnąć równy, niewielki otwór palcami. Nic już nie mogło powstrzymać

uchodzącego z niej życia. Próbowwała się podnieść.

Dźwignęła się nawet trochę, lecz niemal od razu zakolysała się łagodnie na bezwładnych, zardzewiałych sprężynach łóżka. We wszystkich kończynach czuła dziwne mrowienie. Krew była wszędzie.

Usłyszała jeszcze, jak skrzypiące, drewniane drzwi trą o deski podłogi. Odgłos miękkich, cofających się w mrok nocy kroków był ostatnim dźwiękiem, jaki dotarł do jej świadomości.

Z oddali dochodziły głosy nocy. Cień nietoperza przesunął się za oknem. Uczeń Wielkiej Lilith wracał tam, skąd przybył. Towarzyszył mu głos puszczyka brzmiały wyraźnie w pustych, ciemnych zaułkach upiornego miasta.

Rozdział II

Sabat leżał jeszcze w łóżku, gdy stojący na nocnym stoliku telefon zaczął dzwonić. Zaklął z wprawą, uniósł swój nagi tors i lewą ręką sięgnął po słuchawkę. Prawa dłoń kontynuowała w tym czasie inną, rozpoczętą przed dwudziestoma minutami, czynność.

- Sabat - zaczął szorstko, bez entuzjazmu próbując zapomnieć o stworzonym w myśli obrazie blondynki w czarnych butach, biustonoszu i podwiązkach, która na nieskończenie wiele sposobów potrafiła zadać mężczyźnie rozkoszny ból. Była jedną z niewielu kobiet, którym kiedykolwiek udało się zawładnąć jego silną osobowością.

- Tu McKay. Bardzo mi przykro, że ci przeszkadzam.

Nawet w połowie nie tak przykro jak mi, gnojku. Sabat skrzywił się w mroku, nagle napięty i czujny. Sprawy policji zawsze go bardzo interesowały. Sierżant McKay z CID, przedtem zatrudniony w SAS, nie dzwoniłby do niego, i to o tak wczesnej porze, gdyby rzecz nie była rozpaczliwie pilna.

- O co chodzi? Mów! - wymamrotał Sabat i dodał ciszej - to, co robiłem, może poczekać.

- Sabat - McKay zaczął z wahaniem. Nuta zażenowania pojawiła się w jego opanowanym głosie.

- Czy wierzysz w... wampiry?

- Teraz już wiem, że oszalałeś - Sabat smukłymi palcami przeczesał swe długie, czarne włosy. Jak zwykle

16

musnął długą, szeroką bliznę, pamiątkę po służbie w SAS. - Znowu piłeś, Clive.

- Nie, nie piłem. Jestem zupełnie trzeźwy. Może przepracowany, przemęczony, lecz zupełnie zdrowy i trzeźwy. Słuchaj Sabat. To nie są żarty. Znasz mnie wystarczająco dobrze. To strasznie pilna sprawa. Sam Szef stwierdził, że przydałaby się nam twoja pomoc. Czy moglibyśmy gdzieś się spotkać?

- Wpadnij do mnie.

Sabat porzucił w końcu swe erotyczne fantazje i opuścił nogi z łóżka. McKay miał klasę. Być może się mylił, lecz zawsze trzymał się mocno ziemi. Sabat znał go zbyt dobrze, by wątpić w jego kompetencje.

- Wpadnę za kwadrans.

Sabat odwiesił słuchawkę na widelki i zapalił światło. Zaczął się wolno ubierać. Naciągnął ciemne spodnie. Instynktownie sprawdził kieszenie marynarki.

Chciał mieć pewność, że mały rewolwer kaliber 38, z którym nigdy się nie rozstawał, był na swoim miejscu. W ciągu ostatnich kilku miesięcy nigdzie nie ruszał się bez broni. Mógł paść ofiarą zemsty. Cios

mógł go dosięgnąć z każdej strony. Uczył się żyć ze świadomością ustawicznego zagrożenia.

Usiadł na brzegu łóżka i utkwił wzrok w ścianie. W wyobraźni widział zalesiony stok góry i szeroką przesiekę, której wystrzegały się ptaki i dzikie zwierzęta. To właśnie tam jego własny brat, Quentin, szukał schronienia. Quen-tin był tak przesiąknięty złem, że w połowie krajów świata znano go jako "szatańskiego giermka". Ścigało go prawo, którego przedstawiciele mieli cichą nadzieję, że nie uda im się go złapać. Ścigał go również Mark Sabat.

Właśnie na tej polanie miał miejsce ostateczny pojedynek. Sabat zadrżał przypomniawszy sobie, z jak wielkim

17

trudem siła jego egzorcyzmów pokonała zaklęcia najbardziej niebezpiecznego człowieka, jakiego znała ludzkość. Widział to ciągle w myśli. Wykopane zwłoki leżały wówczas obok trzech otwartych grobów. Quentin - mistrz voodoo, szaman na wygnaniu - właśnie zamierzał wskrzesić sobie uczniów spośród zmarłych, by stworzyć armię posłuszną wszystkim jego rozkazom.

Sabat poczuł znowu ów wszechobecny odór zgnilizny dobywający się z otwartych grobów. Raz jeszcze opanowało go przerażenie. Przypomniawszy sobie, jak wpadłszy do jednego z grobów spojrzawszy w górę i dostrzegł swego brata z toporem w ręku, gdy szykował się do ostatecznego ataku. Czuł to znowu.

Odór palonego kordytu, pistolet kaliber 38, który wypadł mu z ręki, i Ouentina, wijącego się na nim, w chwili gdy ostatni strzał rozłupał mu czaszkę. Na wilgotnych ścianach grobu jego krew zmieszała się z mózgiem tworząc obrzydliwą masę, bezkształtną i lepka.

To się tam właśnie powinno było zakończyć. Na tej polanie. Wtedy, gdy Sabat, wydostawszy się z prostokątnej dziury, schodził zamroczony w dół zbocza. Tak się jednak nie stało. W dziwny sposób dusza Ouentina stopiła się z duszą Sabata. Od tego czasu dwa będące w ustawicznym konflikcie żywioły - dobro i zło - rozdzierały żyjącą i czującą jedność jego istoty. Sabat zachowywał się jak człowiek nawiedzony, toczący w swym wnętrzu nieustanną walkę o własne przetrwanie. Walka się nie skończyła i nie skończy się nigdy - dopóki będzie żył.

Sabat, były ksiądz, w SAS pracował do czasu, gdy dał się złapać w niedwuznacznej sytuacji z jasnowłosą żoną pułkownika. Właśnie ona to nosiła czarne buty i uwielbiała korzających się u jej stóp kochanków. Incydent ten sprawił, że Sabat był zmuszony powrócić do cywila, co w
18

końcu doprowadziło do jego wewnętrznego rozdarcia. Czasem zło było zbyt silne i zbyt kuszące, by mógł stawić mu opór. Wówczas Quentin Sabat stawał się innym człowiekiem - skoncentrowanym, zamkniętym w sobie i nieprzejednanym. Czasem siły

zła kapitulowały w obliczu jego bezwzględności i żądzy zemsty. Takie życie przypominało ruch wahadła - monotonny, niebezpieczny i trudny do zatrzymania.

Mark nigdy nie mógł być pewny własnych reakcji. On, egzorcysta, człowiek o niewiarygodnej sile psychicznej, pewnego dnia mógł stać się przyczyną własnego upadku, zguby. Teraz znowu coś zaczynało się dziać i przeczuwał, że nie będzie to nic dobrego. Z ulicy dochodziły odgłosy, świadczące o tym, że nie była tak pusta, jak myślał.

Sabat mieszkał w wyludnionej dzielnicy północnego Londynu. Bez trudu rozpoznał dźwięk zatrzymującego się przed jego domem samochodu. Z niepokojem czekał na dzwonek u frontowych drzwi. Po chwili wpuścił do środka wysokiego, śniadego mężczyznę o prostokątnej twarzy, na której z rzadka gościł uśmiech. Również i teraz sierżant McKay nie miał powodu do nadmiernej radości

- Dziękuję.

Ujął dłonią szklanekę whisky podaną mu przez Sabata.

- To jest oczywiście absolutnie poufne. Na jego ogorzalej twarzy pojawił się wyraz zażenowania.

- Dla mnie wszystko jest poufne - odparł Sabat. - Tajemnica obowiązuje obie strony.

- Właśnie. Mogę cię chyba prosić o wyjaśnienie sprawy zniknięcia wielebnego Spode'a?

- Czy to o tym chciałeś ze mną rozmawiać? - ton

Sabata był ostry, nieprzyjemny. Jego ciemne oczy rzucały iskry jak potarty krzemień. - Jeśli tak, to sądzę, że powinieneś się tu zjawić o jakiejś przyzwoitej porze.

- Nie, nie. To nie tylko sprawa Spode'a. McKay powoli sączył drinka. Nie był na tyle głupi, by z rozmysłem drażnić Sabata w jego własnym domu. - Po prostu zapytałem. To wszystko. Osobista ciekawość.

- Która prowadzi do przysłowiowego piekła. - Twarz Sabata rozluźniła się, a oczy nabrały łagodniejszego wyrazu. - Tak czy owak, odpowiem ci. A robię to tylko po to, by zaspokoić twoją osobistą ciekawość. Wielebny Spode, który nie był wcale wielebnym, ściągnął na swoją głowę gniew tajemnych bogów. Można powiedzieć, że za jego zniknięcie winić możemy piekło gorsze od tego, które znamy.

- Wystarczy. - McKay usadowił się wygodniej w odpowiedzi na zapraszający gest Sabata. - Sądzę, że wydarzenia ostatnich dni sprawią, że zniknięcie Spode'a pójdzie w niepamięć. Przychodzę prosto z policyjnej kostnicy. Nawet Szef nie umiał się opanować. Miał nudności. Z czterech ciał, które znaleźliśmy, trzy należały do zawodowych prostytutek. Jedno do pewnej nastolatki.

- Jakiś maniak, szaleniec? Takich zawsze pełno w wielkim mieście...

- To nie "szaleniec". Sabat. Na każdym z tych ciał znajduje się tylko jedna rana. Jest to równa, okrągła

dziurka przechodząca przez skórę aż do tętnicy. Przez tę właśnie ranę wyssano... wiem, że brzmi to głupio... wyssano krew.

Sabat patrzył przed siebie, powstrzymując się od nedorzecznego komentarza w rodzaju: "Chyba żartujesz stary!". Zamiast tego mruknął:

20

- Całą krew?

- Nie. Być może pół litra. Lub coś koło tego. Trudno powiedzieć. Trzy dziewczyny zdołały jeszcze czołgać się po chodniku, zostawiając za sobą upiorny, purpurowy ślad. Czwartą zabito w opuszczonym budynku. Pokój, w którym znaleźliśmy jej zwłoki, przypominał rzeźnię. Krew na ścianach i na suficie, wszędzie!

- Z pewnością nie był to wampir. Nawet jeśli coś takiego istnieje. Nie szafuje on krwią na lewo i prawo, działa bardziej wyrafinowanie, „oszczędnie”. Zostawia po sobie raczej zużyte zwłoki, choć to, co mówisz, jest ciekawe.

- Możesz to powtórzyć publicznie. Szef ma złożyć oświadczenie dla prasy. Rozumiem jego niepokój. Siedzi jak na beczce z prochem. Jeszcze jeden "szalenciec" mógłby okazać się kłopotliwy, bardzo kłopotliwy, lecz w przypadku wampira cały Londyn wpadnie w histerię. Być może nie tylko Londyn - rozumiesz?

- To zdaje się nie moja branża.

Sabat wyciągnął z kieszeni fajkę z pianki morskiej. Palił ją nieregularnie, w chwilach szczególnych. Czasem mieszał indyjskie konopie z krótko ciętym tytoniem. Tej nocy jednak wypełnił cybuch aromatycznym tytoniem wprost ze sklepu. Ujawnianie zbyt wielu sekretów przedstawicielowi prawa nie było najmądrzejsze.

- Może tak, może nie - powiedział McKay sentencjonalnie. - Cała sprawa wywoła jednak spory niepokój czytelników prasy. A gdy fakty staną się powszechnie znane, podniesie się wielki wrzask. Szef ma nadzieję, że da się to wszystko szybko załatwić. Oznacza to jednak, że nie obejdzie się bez twojej pomocy, Sabat.

- Do dziś pamiętam - Sabat wypuścił powoli kilka kółek dymu - że siły policyjne czuły się śmiertelnie

ura-
21

zonę moimi dochodzeniami. Zupełnie niedawno dostałem nawet ostrzeżenie. Zagrożono mi strasznymi konsekwencjami w przypadku, gdybym nadal utrudniał prowadzenie śledztwa.

- To wina Plowdena. Nie chciał, by ktokolwiek przejął jego najważniejszą sprawę, popisowy numer, który mógł zadecydować o jego karierze. I dlatego zagadka zniknięcia Spode'a pozostała nierozwiązana... oficjalnie.

- W takim razie wybaczam - zaśmiał się Sabat. - Teraz opowiedz mi o szczegółach sprawy. Gdzie się zdarzyły te morderstwa?

- Wszystkie na jednym terenie. W obrębie tej samej dzielnicy. Jest to obszar niezamieszkały, rzędy domów przeznaczonych do rozbiórki. W East Endzie.

McKay ruszył do ściennej mapy. Pokój Sabata przypominał kwaterę głównodowodzącego w czasie wojny. Na mapie znajdowało się wiele barwnych pinezek, których pozycje miały znaczenie tylko dla właściciela. McKay nie chcąc się ośmieszać nie pytał o nic.

- Dockland? Może to sprawka „Triady”?

- Wątpię - odparł Sabat. - Nie można jednak wykluczyć żadnej możliwości. Mimo wszystko chciałbym zobaczyć te ciała.

- To się da załatwić. Nawet natychmiast. McKay opróżnił szklanę.

- I jeszcze coś - zawahał się Sabat. - Muszę mieć wolną rękę. Pracuję nieoficjalnie. Żadnej reklamy. Żadnych pytań,

- Właśnie dlatego potrzebujemy ciebie.

- W porządku. Ruszajmy.

- Powiedz mi - Sabat wyglądał na zupełnie rozluźnionego, gdy McKay pędził przez przedmieścia na połud-

niowy wschód Londynu. - Czy pułkownik Vince Lealan ciągle służy w SAS?

- Nie powinienem ci mówić.

- Ale zrobisz to, bo kiedyś razem byliśmy agentami SAS i ufaliśmy sobie.

- Racja. - McKay zatrzymał samochód na światłach. Gdy czekał na przejazd, zapanowała krótka, niezręczna cisza. - Wyrzucili go w niespełna rok po tym, jak wylali ciebie. Jeśliby doszło do procesu, poszedłby za kratki. Zabrakło jednak przekonywujących dowodów. Tak czy owak nie mogli sobie pozwolić na zbyt ni rozgłos. Właściwie to pytasz o niego, czy o Katrionę?

- O oboje.

W wyobraźni Sabat znów dostrzegł blondynkę w skąpym, czarnym odzieniu. Przypomnił sobie ich nieliczne spotkania i poczuł lekkie dreszcze w dolnych partiach ciała. Katriona raniła go na wiele sposobów. Mimo to ulegając iście masochistycznym zapędom, pragnął kary - kary w jej stylu.

- Pułkownik sympatyzował z Frontem Wyzwolenia. Sekretarz Spraw Wewnętrznych potępił demonstrację. - Głos McKay'a dochodził jakby z daleka. - Stary Vince po prostu nadstawił kark. Być może zrobił to rozmyślnie, sądząc, że pod jego rządami faszystowska grupa może dojść do władzy. Pozwolił im zorganizować demonstrację na swoim terenie, niedaleko jego mieszkania w Sussex. Był cholernym durniem. W taki sposób zdradzić swoje zamiary! Choć od jakiegoś już czasu wiedzieliśmy, z

kim sympatyzuje. Front zaczął stawać się groźny i należało go trochę przyhamować. Sam wiesz, jak śliskie bywa prawo w prawdziwie demokratycznym kraju. Każdy może wyrażać swoje poglądy bez względu na to, jak niebezpieczne
23

mogłyby okazać się dla istoty demokracji. Obserwowano Front uważnie. W tydzień po demonstracji dostaliśmy donos, że na ziemi Lealana znajdują się skrytki z bronią. Tak naprawdę to powinna być sprawa policji, lecz ministerstwo zdecydowało, że należy użyć SAS. Nadarzyła się okazja, by zniszczyć siedlisko zła w zarodku. Ktoś jednak ostrzegł łajdaków. Istniało tylko jedno źródło, z którego mogły pochodzić tajne informacje. Oznaczało to koniec służby Lealana.

- A Front Wyzwolenia?

- Tak jakby zabierając ze sobą broń rozplynęli się w powietrzu. Sądzymy, że Lealan działa dalej. Od czasu jednak gdy opuściłem SAS i przeszedłem do CID, nie słyszałem o nim nic nowego. I pewnie nie usłyszę.

- A Katriona?

- Chryste, Sabat. Nadal byś pracował w SAS, gdybyś dał jej spokój. Jest ciągle ze starym Yincem. Wątpię jednak, by wyleczył ją z jej sadystycznych upodobań. Może teraz on jest "jej chłopcem do bicia" - choć nigdy nie wyglądał na masochistę.

Jechali w milczeniu. Sama myśl o Katrionie sprawiła, że Sabat poczuł wzwód członka. Obiecał

sobie, że pewnego dnia ją odnajdzie. Miał wiele porachunków z pułkownikiem, do którego w sumie nigdy się nie dostał. Wytrzymają obaj. I pewnego dnia...

Mała policyjna kostnica była zatłoczona. Odziani w białe fartuchy lekarze sądowi oraz grupka oficerów Gałęzi Specjalnej otaczali gęsto stoły. Gdy Sabat wszedł na salę, utworzyli przejście. Rozpoznał komisarza. Zwykle rumiany, cieszący się nienagannym zdrowiem, był teraz przeraźliwie blady, oczy miał mocno przekrwione... tak jakby nie spał przez czterdzieści osiem godzin.

24

Skinął Sabatowi. Było to coś w rodzaju obojętnego "odwal się". Sabat dostrzegł to i skrzywił się w uśmiechu.

Tak jak powiedział McKay, w każdym z nagich ciał była jedna ranka, jak gdyby pocisk kalibru 22 przebił się przez skórę. Jeden rzut oka jednak wystarczył, by Sabat dostrzegł, że było to coś znacznie bardziej precyzyjnego, aniżeli otwór po pocisku. Pochylił się nad ciałem Shandy. Delikatnie dotknął palcami okrągłego nacięcia. Musiała to być jakaś wbita głęboko igła, którą odciągnięto pewną ilość krwi, by reszta mogła wytrysnąć purpurową fontanną. Dlaczego, na miłość boską? Sabat dobrze wiedział, że nie należy dzielić się jakimikolwiek teoriami w tym towarzystwie drętwych nudziarzy, pewnych siebie perfekcjonistów. To ich praca, a on

nie ma prawa... Jeszcze nie. Czy była to po prostu niedorzeczna napaść jakiegoś szukającego mrocznej sławy psychopaty, czy istniały znacznie bardziej perfidne pobudki? Trzeba się dowiedzieć.

- Dziękuję - po obejrzeniu pozostałych ciał zwrócił się z wyszukaną grzecznością do sierżanta McKay a.

- Teraz jeśli byłbyś łaskaw odwieźć mnie do domu... Mógłbym od razu wziąć się do roboty.

Sabat nie ukrywał radości, że zaraz znowu znajdzie się w samochodzie. Nie dlatego, żeby rzeź i rany były dlań aż tak odrażające. W innych okolicznościach mogłyby mu sprawić przyjemność. Raczej dlatego, że organicznie nienawidził oficjalnego towarzystwa zawodowych gliniarzy. Policja pracowała zawsze według jednego schematu. Sabat chciał mieć poczucie swobody, tak by żadne prawa nie stawały mu na drodze. Sąd, ławnicy, kat - dla Sabata wszyscy znaczyli to samo: byli niczym.

Gdy dotarli przed Hampstead House, McKay zatrzymał wóz, nie wyłączając silnika. Być może zastana-

25

wiał się co powiedzieć. Jego towarzysz nie należał do tych, z którymi łatwo podejmowało się swobodną pogawędkę.

- OK. Zobaczą, co będę mógł zrobić. - Sabat nacisnął klamkę drzwi.

- Wiesz, jak się ze mną skontaktować.

**- Wiem. Nie licz jednak na to, że zrobię to od razu!
Coś mimo wszystko postaram się ustalić.**

**Sabat zniknął w panujących przed świtem
ciemnościach. McKay westchnął i zwolnił sprzęgło.
Znał tego człowieka aż nazbyt dobrze. Sabat
kierował się swoistym poczuciem sprawiedliwości.
Rozstrzygnięcie tej sprawy może nigdy nie trafić do
oficjalnych akt. Być może pomocnik komisarza
wolał, żeby tak to zostało. Ostatecznie - cel uświęca
środki.**

**Sabat powrócił do przerwanych rozkoszy. Jedynie
myśl o Katrionie Lealan mogła w nim rozpalić żądze.
Gdy skończył wyczerpany, zasnął głębokim snem
sytego, zmęczonego samca. Obudził się na godzinę
przed zmierzchem z taką pewnością, że jest to
właściwy moment - jakby budzik wbudowany był w
jego mózg.**

**Czuł się odświeżony. Przeciągając nagie ciało
napinał mięśnie. Nigdy nie spał w pidżamie.
Znaczyłoby to to samo, co spanie w garniturze i
byłoby przeszkodą dla wielu przyjemnych
łóżkowych rozrywek.**

**Przez kilka minut leżał i analizował w myśli ostatnie
wydarzenia. Z pewnością morderstwa nie były
dziełem legendarnych wampirów, choć rany ofiar
właśnie to przywodziły na myśl. Zastanawiał się, czy
o to chodziło mordercy, czy chciał wywołać takie
właśnie wrażenie. Jeśli tak to dlaczego? Tego musiał
się natychmiast dowiedzieć. Na**

nic nie zda się dalsze leżenie w łóżku; tu na pewno nie dowie się niczego.

Starannie ubrany, zszedł do kuchni i wyjął z lodówki talerz z jarzynami. Choć nie był stuprocentowym wegetarianinem, to swą sprawność fizyczną przypisywał naturalnej diecie, eliminującej wszelkie ciężkostrawne pokarmy. Musiał zachować dobrą formę. Każdy gram tłuszczu czynił jego szczupłe ciało mniej sprawnym. Wykluczał ze swego jadłospisu również cukier. Obniżał on refleks i przytępił umysł.

Dziś wieczorem ma przecież wkroczyć do akcji. Wejść bez wahania w tę czerwono oświetloną przestrzeń, gdzie w mroku czai się śmiertelne niebezpieczeństwo, którego istnienia był pewien. Zapadał już wieczór, gdy opuszczał swój wygodny dom w północnej dzielnicy Londynu. Jego daimier mknął bezszelestnie na południowy wschód. Nie spieszył się: godzina była jeszcze wczesna. Miał mnóstwo czasu.

Wieczorny ruch słabł powoli. Ludzie spieszyli do domów, zamykano ostatnie magazyny. W miarę jak oddalał się z centrum miasta, było coraz ciemniej. Nieliczne latarnie słabo oświetlały ponure zaułki i zaniedbane dzielnice przedmieścia. Naznaczone piętnem rozpadu, wyludnione, martwe - niewiele się zmieniły.

Trasa Sabata nie była w najmniejszym stopniu przypadkowa. Nie był to również rutynowy wypad w

nadziei natrafienia na jakiś ślad prowadzący bezpośrednio do sprawców nikczemnych morderstw. Ale coś mu chodziło po głowie.

Po około godzinnej jeździe zatrzymał samochód. Stanął przy wąskiej uliczce, zabudowanej rzędem starych,

27

trzy piętrowych kamienic. Znajdowały się tu domy publiczne, przynoszące niewielkie, ale pewne zyski: małe bur-deliki, knajpy, zadymione tawerny.

Zamknawszy daimiera wszedł po wąskich schodkach i zadzwonił do domu, na którego drzwiach widniał numer 66. Ze sposobu, w jaki słuchał dochodzących z hallu kroków, można było wywnioskować, że nie był tu po raz pierwszy.

- O, pan Sabat! - na twarzy szczupłej, rudowłosej kobiety pojawił się wyraz miłego zaskoczenia. Smuga światła uwydatniała każdy szczegół jej szczupłej sylwetki. Zbliżała się z pewnością do pięćdziesiątki, podobnie jak dom, w którym mieszkała, a jednak oparła się upływowi czasu. Jej drobne zmarszczki były tak nakremowane, że stały się praktycznie niewidoczne, a doskonały makijaż mógł obcego wprowadzić w błąd. Wyglądała co najwyżej na czterdziestkę. Jak zwykle pociągająca i zmysłowa, ubrana kusząco w długą, spływającą tunikę - wydawała się dość atrakcyjna. Jej ruchy były pełne wdzięku, zwłaszcza gdy odwróciła się tyłem i gestem małej dłoni nakazała, by wszedł do środka.

- Dobrze, że cię widzę, Ilono - uśmiechnął się, gdy zamykała za nim drzwi. Wprowadziła go do korytarza, a potem do wykwintnie umeblowanego holu, gdzie otworzyła przed nim barek. Jego zawartość mogłaby ozdobić niejedną rezydencję w West Endzie.

- Whisky?

- Proszę. Z odrobiną pepermintu.

- Nie ucieszyłabym się bardziej z żadnego spotkania. Jej smukłe, zadbane ręce drżały lekko, gdy nalewała bursztynową ciecz do dwu szklanek.

- Rozważałam nawet możliwość skontaktowania się
28

z tobą. Moje dziewczęta boją się wyjść stąd w nocy. Ogarnia je przerażenie na myśl o potencjalnych klientach. To może naprawdę rozłożyć interes.

- Czy zamordowane dziewczęta pracowały u ciebie? - Sabat przyglądał się jej z uwagą. W zielonych oczach kobiety dostrzegł lęk. Skinęła głową.

- Dwie z nich, Joyce i Elaine. Trzecia pracowała u Nicka i chociaż nienawidzę tego tłustego alfonsa, to takiej śmierci nie życzyłabym żadnej z jego dziewcząt. No i jeszcze to biedne, niewinne dziecko. Co się u licha dzieje, Sabat? Słyszałam pogłoskę, że... że ich gardła miały taki charakterystyczny znak... tak jakby padły ofiarą wampira!

Sabat z trudem opanował zniecierpliwienie. Czytał już popołudniowe wydania gazet i jakkolwiek nie brzmiałyby oświadczenia policji, to prasa wyciągała

z nich własne wnioski. Właściwe informacje otrzymywała z sobie tylko wiadomych źródeł. Zawsze tak było.

- Sądzę, że prasa nieco przesadza - stwierdził. - Niemniej jednak zdarzyły się naprawdę upiorne morderstwa, i to cztery w ciągu jednej nocy. Morderca, czy też mordercy, są jeszcze na wolności. Dlatego tu jestem.

- Dzięki Bogu. - Ilona zdobyła się na uśmiech. - Co zamierzasz zrobić. Sabat?

- Nie mam zamiaru szukać mordercy siedząc tu, przy tobie, choć to bardzo miłe - odparł. - Jeśli zaś wyjdę i będę wałęsał się po ulicach to mało prawdopodobne, że ktoś, kto czyha na kobiety, zaatakuje właśnie mnie. Dlatego...

- Dlatego potrzebujesz przynęty. - Wargi Ilony były zaciśnięte. Jej twarz nagle pobladła. - Chryste, Sabat, przypuśćmy, że...

- Wiem, co ryzykuję. A która pójdzie na wabia, mo-
29

że zginać, nim będę mógł ją uratować. Jednak to jedyny sposób. Musimy zaryzykować jedno życie, by uratować być może dziesiątki innych. Obawiam się, że policyjne patrole nic tu nie poradzą.

- Kogo? - jej głos był napięty. - Kogo chcesz, Sabat?

- To nie zależy ode mnie. To musi być ochotniczka, ktoś, kto chętnie postawi na szalę swoje życie.

- Wobec tego to będę musiała być ja.

Przyglądał jej się przez moment. Na jego twarzy odmalował się podziw. Ilona nie była zwykłą burdelmama. Jej dziewczęta stanowiły jej "rodzinę".

Każda dosłownie ubóstwiała tę wysoką, pociągającą rudą kobietę, która dobrze płaciła i dawała pełną swobodę. Mogły przychodzić i odchodzić kiedy tylko chciały. Bez gróźb czy szantażu, który przykułby je do łóżek na piętrze. Przede wszystkim zaś oddawały społeczeństwu nieocenioną przysługę ratując, być może, dziesiątki niewinnych kobiet przed żądnymi mocnych wrażeń drapieżnymi, rozgoryczonymi mężczyznami. Stanowiło to jeszcze jeden powód, dla którego Sabat musiał pomóc prostytutkom. Śmierć groziła każdej, która znalazła się na słabo oświetlonej ulicy po zapadnięciu zmroku.

- W porządku - skinął głową. - Z nikim bym chętniej nie pracował niż z tobą, Ilono. Proponuję zacząć tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

- Pójdę się przebrać.

Otworzyła prowadzące do holu drzwi. Sabat usłyszał kobiecy śmiech dochodzący gdzieś z góry. Wieczorne igraszki już się zaczęły.

Noc była parna. Czulo się nadchodzącą burzę. Sabat i Ilona oddalali się od jasno oświetlonych ulic. Szpilki pro-

30

stytutki wygrywały na chodniku nocny capstrzyk.

Kroki Sabata były prawie bezgłośnie. Sunął lekko w swoich czarnych trampkach, idealnie dobranych do

czarnego sportowego stroju. W ciemności był prawie niewidoczny. Mnóstwo myśli przychodziło mu do głowy. Wspominał z sentymentem rozkosze, jakie Ilona kiedyś mu dawała. Wspominał ciepło jej łóżka, które tak różniło się od łóżek innych "panienek". Umiał docenić jej urok. Zwłaszcza wtedy, gdy dokuczała mu samotność. Myślał o fizycznej rozkoszy, którą potrafiła mu dać, umiejętnie wyczuwając jego nastrój. Pod pewnymi względami przypominała Ka-trionę Lealan.

Sabat znał i rozumiał prostytutki. Najlepiej poznał je w latach swej kapłańskiej posługi, gdy jego własna osobowość stanowiła jeszcze dla niego tajemnicę.

Toczył ze sobą niekończącą się walkę. Wytrzymał jednak tę burzę bez szwanku, bogatszy o siły psychiczne, których istnienia nie podejrzewał.

Nauczył się używać egzorcyzmów... a potem

Quentin! Zamarł w bezruchu. Zdawało mu się, gdzieś w głębi siebie, że usłyszał śmiech upiorny i cyniczny. Być może duch jego brata ożył w nim na mgnienie, raz jeszcze zdecydowany wziąć go w posiadanie, by później strącić w czeluście piekielne.

Jakby dla poparcia swych diabelskich sztuczek, wywiesił na maszt czarną flagę zła, zła pociągającego i odrażającego zarazem.

- Zatrzymaj się tutaj. - Sabat chwycił Ilonę za rękę i wciągnął ją do wnętrza budynku, który niegdyś był zajezdnią autobusową, teraz zaś, w połowie zrujnowany, straszył gruzem na podłodze i

wielobarwnymi, odrapanymi malunkami na betonowych ścianach.

- Stań tutaj spokojnie i zapal papierosa. Będę w jednej z tych bram po drugiej stronie ulicy. W

przypad-

31

ku jakichkolwiek kłopotów zjawię się tu w ciągu kilku sekund.

- Dzięki. - Jej głos był zachrypnięty, a palce mocno ścisnęły jego dłoń. Straszliwie się bała, lecz decyzję podjęła już wcześniej i teraz nie mogła się wycofać. Sabat przywarł do muru, po czym wcisnął się w wąską bramę. Kiedyś na dole mieścił się tu jakiś sklep. Teraz jego drzwi i okna zabito deskami. Z wnętrza dochodził zatechły zapach zapomnienia, które jakby dla udokumentowania kolejnej fazy życia uległo absurdalnemu rozkładowi. Teraz ogromne buldożery miały dokończyć dzieła zniszczenia.

Po drugiej stronie ulicy widział żar papierosa Ilony. Światelko wyzwalające wzruszenie, synonim bezpieczeństwa, spokoju. Znowu się zamyślił.

Niewinne dziewczęta umierały i była za to tylko jedna kara: śmierć! W kodeksie moralnym Sabata kara śmierci nie została nigdy zniesiona. Wściekłość płonęła w nim jak rozżarzone węgle, jak rozpalony do białości piec. Dziś wieczorem nie da się zwieść litości, będzie tak bezwzględny i okrutny jak ci, których szukał.

- Jesteś głupcem, Sabat. Odejdź i zostaw to, co nie należy do ciebie.

Głos Ouentina był głośniejszy, czystszy i bardziej szyderczy niż zwykle. Demon zła zaczął poruszać się w jego wnętrzu. Jadowite kły były gotowe do ataku. Sabat zaklął szeptem. Wiedział, że walka się już zaczęła. W chwili, gdy w najbliższej okolicy czaiło się zło, dusza jego brata budziła się, by je godnie powitać, starając się pokonać żelazną wolę Sabata.
- Dam sobie radę, Ouentin! Będę walczył, aż zwyciężę. Pewnego dnia zniszczę również ciebie!

Usłyszał znowu coś z własnego wnętrza. To nie był powiew wiatru ani dźwięk zwiastujący burzę. Sabat wiedział, że to drwiący, ironiczny śmiech Quentina. Nauczył się już nie zwracać uwagi na jego obecność. Chciał opanować się na tyle, by mógł uciszyć ten głos i śmiech, a jednocześnie nie zabić w sobie wrażliwości na otaczające go zło.

Znowu odezwały się ptaki nocy; ich głosy na moment sparaliżowały Sabata. Po chwili rozpoznał pohukiwanie sowy. Można je było spotkać w tych okolicach. Za dnia te ptaki przesiadywały w mroku, w ruinach domów, zaś nocą polowały na szczury i myszy, których w zniszczonych domach nie brakowało.

Tak, była to noc szczególna, noc wielkiego polowania. Myśliwy i zwierzyna wyszli już, by rozpocząć łowy. Teraz panowała zupełna cisza. Taki spokój może czasem ukołysać, uśpić czujność.

Zwłaszcza w całkowitych ciemnościach. Ruiny domów tworzyły wyizolowaną realność, skuteczną pułapkę zastawioną w mrokach.

Sabat wsparł się na pośladkach, opierając plecy o znajdujące się za nim drzwi. Jego skulona postać, spięta i przyczajona, gotowa była do natychmiastowego skoku. Od czasu do czasu spoglądał na zegarek. Chodził dokładnie tak, jak zegar wybijający godzinę gdzieś w oddali: była pierwsza trzydzieści. Zapowiadała się długa noc. Jutro i pojutrze również. Tygodnie mogą upłynąć na beznadziejnym czuwaniu. Cierpliwość i wytrwałość były jednak jedyną drogą. Sabat znów czuł się jak agent SAS, jak samotnik zaangażowany w pozornie niewykonalne zadanie. Mógł mieć tylko nadzieję, że niebawem się z nim upora.

Znowu zaniepokoił go głos sowy. Tym razem znacznie bliżej. Rozległo się niskie "huu, huu", jak gdyby ona rów-

2 - Krwawa bogini

33

niez bała się zakłócać nocną ciszę. Sabat znieruchomiał. W gęstej czerni przed sobą dostrzegł papieros Ilony. Wytężył słuch, gotów wyłowić każdy podejrzany szmer. Usłyszał, jak wewnątrz sklepu rozbiegają się szczury i... coś jeszcze. Coś, czego początkowo nie potrafił dokładnie określić. Śliski szmer węża sunącego piaszczystą drogą. Stwierdził, że dochodzi z przeciwnej strony ulicy... w czasie, gdy gotował się do skoku, papieros Ilony odbił się od

chodnika w snopie iskier. Krzyk został stłumiony, nim zdołał się dobyć z jej ust. Ciało glucho upadło na ziemię. Sabat błyskawicznie poderwał się do skoku. Rzucił się jak czarny upiór - ku Ilonie. Mimo pośpiechu poruszał się ostrożnie. Ledwie mógł rozróżnić kontury dwóch zmagających się ze sobą postaci. Były jak cienie na czarnym tle. Ilona walczyła. Ktoś nad nią przyklęknął, mocno przyciskając ją do ziemi. Jedną ręką trzymał za gardło, drugą uniósł, zacisnąwszy palce na czymś długim i wąskim... broń błysnęła w świetle. Sabat powstrzymał się od przekleństw, dopóki mocno nie chwycił nadgarstka napastnika. Zgiął go szybko do tyłu. Rozległ się ostry trzask łamanej kości i gardłowy okrzyk bólu.

- Ty pieprzony gnoju! - warknął Sabat. Pchnął silnie głowę przeciwnika. Potem zanurzył głęboko zęby w jego uchu. Napastnik zawył jak raniony zwierz. Po chwili krzyk ustał. Sabat zdołał chwycić go za gardło. Ktoś nadal wył. Być może była to pokutująca dusza Quentina, którego plany zostały tak przemyślnie pokrzyżowane. Sabat wzmocnił uścisk. Z trudem mógł się opanować. Praktyka w SAS nauczyła go, jak zabijać szybko i cicho. Tego człowieka musiał mieć jednak żywego. Napastnik stał się bezwładny: stracił świadomość. Dopiero wtedy Sabat po-

czuł ulgę. Wpatrywał się w ciemność. Ilona próbowała podnieść się z ziemi.

- W porządku? - w jego głosie zabrzmiała prawdziwa troska.

- Prawie. - Oddychała ciężko, otrzepując ubranie. Drżała. - Boże, zupełnie go nie słyszałam. Zaskoczył mnie.

- Hm... Nie sądzę, by próbował napadać na kogokolwiek w najbliższym czasie... jeśli w ogóle będzie do tego zdolny w przyszłości.

Sabat patrzył ponuro.

- On nie... nie... - Ilona teraz dopiero zaczęła łkać.

- Nie. Żyje. Wyłącznie po to jednak, bym mógł mu zadać kilka pytań. Potem odejdzie z tego świata.

Ilona zamarła w bezruchu. Gdy patrzyła, jak jej towarzysz opiera nieprzytomnego człowieka o ścianę zajezdni, przeszedł ją dreszcz. Sabat po omacku zaczął czegoś szukać.

- Jest!

Podniósł się z ziemi. Ponieważ nie mógł dostrzec przedmiotu w ciemności, zaczął go obmacywać.

Wyglądało to na długą rurkę przytwierdzoną do pojemnika.

- Przytrzymaj to - podał przedmiot Ilonie. - I uważaj - końcówka rurki jest ostrzejsza od żyłki.

Wzięła przedmiot. Trzymała go w pewnej odległości od ciała. Drżała tak mocno, że obawiała się, iż go upuści. Lęk i odraza nie potrafiła powstrzymać jej od baczego obserwowania Sabata. Zdziwiła ją swoboda, z jaką podniósł nieruchome ciało

nieznanego mężczyzny i zarzucił na ramię. Poruszał się tak, jakby ono nie ważyło nic, zupełnie nic. Znała jego sprawne mięśnie, podziwiała ich siłę. Z przyjemnością patrzyła, jak napinają
35

się pod czarnym ubraniem. Znała przecież piękno jego ciała.

Gdy wracali, sowa pohukiwała natarczywie, jakby pozbawiono ją towarzysza. Jej głos dobiegał skądś z daleka.

Rozdział III

- Idealny.

Sabat uśmiechnął się, badając wzrokiem pokój, do którego wprowadziła go Ilona.

Kiedyś była tu piwnica, lecz w trakcie odnawiania domu przerobiono ją na suchą i ciepłą suterенę.

Znajdowały się w niej dwa elektryczne grzejniki łagodnie ogrzewające powietrze oraz lampy

jarzeniowe ostro oświetlające białe ściany. Nie było jednak żadnych mebli. Do ścian przykuto kajdany i łańcuchy. W kącie znajdowała się kolekcja biczów i trzcин. Pokój przypominał prawdziwą salę tortur.

Ofiary przychodziły tu z własnej inicjatywy, szczerze płacąc za biczowanie i niewolę.

Sabat zrzucił z ramion przyniesiony ciężar. Bezwładne ciało posadził pod ścianą w statycznej pozycji, tak że więzień kolanami podpierał brzuch. Potem skuł kajdanami jego nadgarstki i kostki stóp. Głowa obcego opadła do przodu. Z jego rozchylnych warg dobył się cichy jęk. Sabat powstał i uważnie przyjrzał się swemu jeńcowi. Był to kilkunastoletni chłopak ostrzyżony na skinheada. Rysy jego zdradzały tępotę i okrucieństwo tak typowe dla grup, które napadały starszych ludzi w podziemnych przejściach i dźgały nożem na zatłoczonych trybunach stadionów.

- Szczeniak!

Głos Sabata stężał z pogardy, a nienawiść znowu opanowała jego myśli.

37

- Margines cywilizowanego kraju. - Chłopak na moment uniósł powiekę. - Niezle naćpany. - Sabat mruknął ze źle ukrywaną złością. - Spójrzmy więc na to narzędzie, które znaleźliśmy w opuszczonej zajezdni.

Ilona podała mu je z uczuciem ulgi, zadowolona, że może pozbyć się ohydneho przedmiotu, przy pomocy którego prawdopodobnie poprzedniej nocy popełniono morderstwa. Sabat uniósł je nieco do góry. Urządzenie z pozoru przypominało niewielką, ogrodową sikawkę. Zamiast jednak prądnicy, na jej końcu znajdował się podobny do igły cylinder o długości około 6 cali. Ujście cylindra zwężało się.

Jego zewnętrzna krawędź była ostra jak brzytwa. Na drugim końcu znajdowała się plastikowa butelka o litrowej pojemności wyposażona w przycisk, a właściwie cyngiel.

- Diabelnie sprytne - wymamrotał Sabat i nacisnął. Ilona skrzywiła się na odgłos zasysania powietrza do wnętrza pojemnika.

- Spora strzykawka. Tyle, że działa odwrotnie. Igła wnika do ciała i wydostaje się po chwili z litrem krwi. Nawet Drakula nie zdołałby jej wyssać szybciej.

Ilona poczuła, że robi jej się słabo. Musiała oprzeć się na zwisających ze ściany kajdanach. - I on miał zamiar...

- Tak. - Sabat odłożył broń i obrócił się w kierunku chłopaka, który zaczął wyraźnie odzyskiwać przytomność.

- Podzieliłabyś los tych czterech dziewcząt, Ilono. Mimo to mieliśmy szczęście, że udało nam się natrafić na chociaż jednego tak prędko.

Najprawdopodobniej niewiele prostytutek odważyło się wyjść dziś wieczór w teren. To, oczywiście, ułatwiło nam zadanie. Teraz rozbierzemy

niewiele tego faceta, by przygotować go na odrobinę perswazji... Chyba że sam zdecyduje się udzielić nam kilku cennych informacji...

Rozległ się odgłos rozrywanej tkaniny. Smukłe, lecz silne palce Sabata rwały dzinsową kurtkę skina na strzępy. To samo stało się ze spodniami i bielizną.

Teraz wyblakłe, niebieskie skrawki tkaniny skąpo okrywały nagie ciało. Po chwili szkliste, zamglone oczy chłopaka otworzyły się. Wpatrywał się w Sabata w napięciu, a w jego spojrzeniu płonęło nieme wyzwanie, siła i nienawiść.

- Zasrana świnia! - warknął wyrostek. - Zapłacisz za wszystko, gnoju. Zmuszą cię...

- Kto? - Sabat zdecydował się na cyniczny uśmiech, lecz w wyrazie jego twarzy próżno by szukać czego innego niż niechęci i pogardy. - To właśnie chciałbym wiedzieć. Kto?

- Uczniowie Lilith!

Sabatowi zaparło dech w piersiach. Lilith. Było to imię, którego nie spodziewał się usłyszeć z tych wykrzywionych nienawiścią warg. Najważniejszy z demonów. Lilith była nienasyconą seksualnie boginią ciemności. Nocne godziny spędzała wyszukując sobie na ziemi śmiertelnych kochanków. Podobna była pod wieloma względami do Erzulie, Czarnej Wenus. W odróżnieniu od niej, nigdy nie schodziła ze Ścieżki Lewej Ręki. Uwodziła swych przyszłych partnerów we śnie, by potem ssać krew z ich wyczerpanych ciał. Niektórzy sądzą, że była pierwszą kochanką Adama, nim pojawiła się Ewa. Bóg stworzył jej zmysłowe ciało z nieczystości i przysłał ją jako ucieleśnienie demonicznego zła.

Wampirzyca przeważnie mordowała niemowlęta. Nie miała jednak nic przeciwko zemście na swych kobiecych

**rywalkach. Jej imię, jej styl mordowania można było
be;**

trudu rozpoznać w wydarzeniach minionej nocy.

**- Gdzie to dostałeś? Kto ci to dał? - Sabat macha
śmiercionośnym narzędziem przed oczami
skinheada.**

**Nastąpiła ponura cisza. Chłopak na próżno próbowa
uwolnić się z krępujących go więzów. Skrzywił się z
ból. Złamana ręka bolała dotkliwie. Jego spojrzenie
zachmurzyło się. Potem nagle rozjaśniły je iskierki
złości. Nie otworzył jednak ust. Sabat chciał dać mu
do zrozumienia, że zna sposób na to, by skłonić go do
rozmowy. Szybko doszedł jednak do wniosku, że
zabrzmiałoby to sztucznie, staromodnie. Właśnie w
chwili, gdy rozważał tę kwestię, na lewym
przedramieniu skina dostrzegł jakiś znak. Przyjrzał
mu się uważniej. Był to tatutaż, swastyka w
czerwonym kółku. U góry znajdowała się jakaś data,
najprawdopodobniej 9 listopada, a poniżej litery
FW. 9 listopada miał miejsce zamach na Hitlera, FW
znaczyło Front Wyzwolenia.**

**- Faszystowski skurwysyn, co? - Sabat wyduł warg w
szyderycznym grymasie. - Tak jak Hitler
wykorzystujess ciemne siły. Wiedz, przyjacielu, że ty
i tobie podobni maszerujecie z zawiązanymi oczami
przez pole minowe. Te nie jest bezpieczne!
- SiegHeil! Fanatyczny wrzask sprawił, że szczęknęły
kajdanki.**

- Chcę wiedzieć dwie rzeczy - głos Sabata zmieni się w cichy syk, podobny do głosu drapieżnika, który szykuje się do skoku. - Gdzie jest sztab i kto wami dowodzi? - spojrzał na zegarek. Potem odwrócił się. - Mas; trzy minuty, tylko trzy minuty! By zdecydować się, czy; chcesz pójść na kompromis. Nie obiecuję ci wcale wolności, jeśli stwierdzisz, że możesz odpowiedzieć na moje pyta-

nią. Mogę ci jedynie przyrzec, że twoja śmierć będzie szybka i bezbolesna. Jeśli zdecydujesz się milczeć, to oświadczam ci, że będziesz umierał powoli i w męczarniach!

Ilona żałowała, że nie może wyjść. Zapewne Sabat nie chciał uczynić z niej świadka niehumanitarnych tortur, jakie zada temu młodemu faszyście. Przez chwilę zdawał się zupełnie nie zwracać uwagi na jej obecność. Był tylko czarno odzianym katem grającym znakomicie swą rolę. Miał zadanie do wykonania. Nastoletni morderca mógł jeszcze wybierać, zdecydować, jaką śmiercią woli umrzeć. Wiedziała, że Sabat spełni swoją groźbę bez wahania - kilka minut wcześniej dostrzegła znajomy błysk w jego oczach. Sabat chciał zabijać - zrozumiała to natychmiast.

- Zostało ci trzydzieści sekund. Brak odpowiedzi.

- Piętnaście.

Ciągle brak odpowiedzi.

Po czasie, który mógł wydawać się wiecznością. Sabat obrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z człowiekiem, który wisiał na ścianie jak owad przekłuty igłą, za szybą gabloty kolekcjonera. Jego ciemna twarz miała straszny wyraz. Ilona odwróciła się. Chciała uciekać. Musiała więc przypomnieć sobie, co ten wyrostek zrobił z czterema dziewczynami poprzedniej nocy i co zrobiłby z nią dziś wieczorem. Teraz miał poznać prawo Sabata, jego gniew.

- Masz jeszcze odrobinę czasu na zmianę zdania. - Sabat podniósł do góry śmiercionośne urządzenie i sprawdził cyngiel.

Usłyszała dźwięk podobny do tego, jaki wydaje tonący człowiek, gdy przelyka mieszaninę powietrza i wody.

41

- Daję ci jeszcze kilka sekund - głos Sabata dochodził z daleka.

- Sabat...

Ilona zachwiała się.

- Ilono! Tak mi przykro...

Sabat odwrócił się nagle. Był tak opętany myślą tym, co zaraz zrobi, że zupełnie zapomniał o jej obecności.

- Idź stąd. To nie jest miejsce dla ciebie. Zobaczył jeszcze, jak Ilona wybiega, potykając się na schodach. Usłyszał trzask zamykanych pośpiesznie drzwi. Potem obrócił się do jeńca. Ujrzał owo martwe, pozabawione wszelkiego wyrazu, obojętne spojrzenie.

Chłopa utracił nadzieję. Był zdecydowany na wszystko. Wiedzia że u nrze. Błaganie o litość nic nie pomoże. Została m ostatnia, niewielka okazja do zemsty: milczenie. Saba wiedział, że obietnica wrócenia wolności mogłaby skłoni go do odpowiedzi na pytania, które przed chwilą zadał Ale pragnienie mordu przeważało i nic nie mogło go pow| strzymać. Brutalnie pchnął ogoloną głowę na ścianę i mocno ją przytrzymał. Podniósł "broń" do góry, aż zaostreń) otwór znalazł się w bezpośrednim sąsiedztwie gardła ofia ry.

- Umrzesz chłopcze - mruknął. - I nikt nie będzie za tobą tęsknił.

Przez moment zastanawiał się, czy przemyślnie tortur nie pozwoliłyby mu wydobyć pożądanych informacji. Nii mógł mieć jednak nadziei. Ten chłopak był nie tylko na ćpany. Ktoś, kto posłużył się nim zeszłej nocy, musiał g< również nieźle przeszkolić. Być może nie był nawet dosta tecznie zorientowany. W każdym razie, by iść i zabija'

42

r

wystarczyło czyjeś polecenie, rozkaz poparty tajemnym autorytetem. Nie musiał to być nawet ktoś znaczący, o ambicjach przywódcy...

Sabat dokonywał precyzyjnego rachunku. Ta noc nie była jednak stracona. Odnalazł przecież broń, którą się posługiwano. Wiedział też, że walczy z wściekłymi

wampirami, handlarzami krwią polującymi na bezbronne, choć niekoniecznie niewinne kobiety. Sabat surowo wpatrywał się w oczy jeńca. Dostrzegł w nich znowu jedynie nienawiść i butę. Szczęki miał ściśnięte jak wąż plujący jadem. Kropla śliny rozprysła się na policzku Sabata.

- Zdychaj, łajdaku!

Sabat zanurzył igłę w ciele ofiary. Poczował, jak przedostaje się przez miękkie tkanki. Nacisnął przycisk. Purpurowa ciecz trysnęła do pojemnika gęstą strugą.

Ofiara wiała się teraz w żelaznym uścisku Sabata i ciężkich kajdanach. Bulgotała coś niezrozumiale. Być może w tej chwili młodzik zmienił zdanie. Zapewne wyjawiłby już tę odrobinę prawdy, która była mu znana. Za późno! Nic nie mogło go teraz uratować.

Sabat uśmiechnął się ponuro, obserwując podnoszący się poziom krwi w pojemniku. Uniósł głowę. Znów spojrzął tamtemu w oczy. Tym razem malowało się w nich przerażenie. Brawura i buta zniknęły. Morderca cierpiał rzeczywiste męki na miarę piekieł, którym służył. Wiedział, że po śmierci czeka go wielka tajemnica, przed którą nie ma ucieczki. Drżał, gdy krew uchodziła z jego ciała. Oprawca puścił ogoloną głowę ofiary. Szybko, posługując się jedną ręką uwolnił skute kończyny. Chłopak osunął się pojękując. Sabat dźwignął z podłogi ciało

.umierającego. Ruszał się z niewiarygodną prędkością; tr) skająca krwią rurka znajdowała się ciągle jeszcze w garc le, a poziom krwi osiągał górną granicę, gdy trzema susa mi doskoczył do umywalki w rogu pokoju. Podtrzymują więźnia w pasie, wepchnął jego głowę do zlewu. Potel wyciągnął "broń" z chrakterystycznym dźwiękierr Brzmiało to, jakby nie zatkany otwór zasysał powietrz< Gęsta purpurowa krew trysnęła pod ciśnieniem. Błyska więźnie wypełniła zlew i strugą zaczęła spływać w rur wylotową.

Sabat pociągnął nosem. Wyczuł metaliczny zapac krwi. Uśmiechnął się łagodnie do siebie, cały czas ze swe bodą dźwigając ciężar znieruchomiałego nagle ciała. Cze kał aż do chwili, gdy krew przestanie płynąć i zmieni si w wąską strużkę, aby w końcu zakrzepnąć w dużych, pui purowych kroplach. W końcu tętnica szyjna opróżniła si zupełnie.

Sabat otworzył kurek i splukał resztki purpurowej pla my. Następnie palcami wytarł do czysta emaliowaną po wierzchnie zlewu. Dopiero wtedy opuścił zwłoki na podłe gę i zatkał ranę papierem. Rozejrzał się niespokojnie. Był pewien, że wszystkie ślady zostały zatarte. Potem poszedł na górę.

Ilona była w salonie. W ręku trzymała szklankę whi sky. Jej palce drżały.

- Boże... - szepnęła - to było straszne. Tak m przykro, Sabat, lecz nie mogłam tam zostać. Ja...

- Pociesz się myślą, że to co przydarzyło się jemu mogło spotkać tej nocy ciebie.

Sabat objął ją ramieniem i delikatnie pocałował.

- Tak się składa, że wszystko dobre, co się dobrze kończy. Happy end - moja mała - tak mówią.

- Czy dowiedziałeś się czegoś?

- Nie. - Sabat zacisnął wargi w bezkrwistą linię świadczącą o zdecydowaniu i stanowczości. - Nie sądzę, by on zbyt dużo wiedział. To najemny morderca, narkoman, działający na czyjeś zlecenie. Wiemy przynajmniej, z kim walczymy.

- Co teraz planujesz?

Ilona miała nadzieję, że nie użyje jej znowu jako przynęty.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. - Sabat wolno pokiwał głową. - Jeślibym wychodził każdej nocy w tygodniu i likwidował jednego z morderców, to niczego wielkiego bym nie dokonał. To faszystowski ruch, organizacja Frontu Wyzwolenia. Nazywają siebie uczniami Lilith. Stanowią oczywiście najgorszą, bandycką zbiorowość:

szumowiny, narkomani, zakompleksione szczeniaki żywiące urazę do całego świata. Muszę dotrzeć do ludzi, którzy za tym stoją. Jeśli mam cokolwiek osiągnąć.

- Zabiłeś go. - Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

- I nie żałuję - uśmiechnął się. - Nikt nie będzie żałował takich jak on. Nie martw się. Zabiorę ciało z

twojego domu. Być może uczniowie Lilith będą zaskoczeni, gdy się dowiedzą, że mimo wszystko nie są niepokonani.

^ Ilona próbowała się uśmiechnąć, lecz wargi jej drżały. Bez względu na to, co Sabat zyskał tej nocy, groźba czająca się w słabo oświetlonych zakątkach dzielnicy nie zniknęła. Nikt nie mógł czuć się bezpieczny. Bestie będą się kłócić.

» Trzydzieści minut później Sabat powrócił na miejsce, gdzie zaatakowano Ilonę. Ostrożnie oparł nagie ciało wy-

45

rostka w tej samej opustoszałej zajezdni autobusowej. Nawet po śmierci oczy chłopaka wpatrywały się w niego zuchwale. Usta miał zaciśnięte w sposób wyzywający ostateczny.

Sabat wracał szybko do miejsca, gdzie zaparkował swego daimiera. W upiornej ciszy rozpoznał znajome pukanie puszczyka. Tym razem głos był natarczywy ostry. Krążył jak widmo po wyludnionych ulicach, przenikając nielicznymi przechodniów dreszczem grozy.

Rozdział IV

Mandy Wickham była dumna ze swego siedmiotygodniowego synka. Nie pochodził z legalnego związku, ale nie miało to większego znaczenia. W jego żyłach płynęła krew ludzi Wschodu. Zdradzała go żółtawa cera i charakterystyczne rysy twarzy. Jej rodzice nie mogli znieść obecności chłopca. Wyrzucili ją na ulicę. Przez pewien czas cierpiała dotkliwie. Ból samotności złagodziła radość, którą doznała, otrzymując od rady miejskiej jedno z miejsc dla matek samotnie wychowujących dzieci.

Mandy uśmiechnęła się, popychając używany wózek o High Street. Opuściła budkę, aby przechodnie mogli wobodnie podziwiać jej maleństwo. Nazywała go Davey, ponieważ istniała możliwość, że to właśnie Wielki Dave jest jego ojcem. Równie dobrze mógł to jednak być Mike. Zastanawiała się, czy Johny Ross również może wchodzić w grę, było to jednak mało prawdopodobne. Ross pochodził z Jamajki, więc skóra małego Davey'a byłaby znacznie ciemniejsza, a rysy znacznie bardziej ordynarne. Musiał to być zatem syn Dave'a. Może pewnego dnia opadnie do niej, by przyrzeć się swemu dziełu. Istniał zagrożenie szansy, że nie pozostanie obojętny, ale właściwie było to mało prawdopodobne.

Sarah Miikenic też miała z nim dziecko. Było to jednak bez znaczenia, przynajmniej zdaniem Mandy. I kiedy ewna moralna starucha z opieki społecznej próbowała odwiedzić się, z kim ostatnio utrzymywała stosunki, od-

parła dość arogancko, że lepiej byłoby, żeby skoncentrowała całą swoją uwagę na własnych przeklętych interesach (Wielki Dave należał do mężczyzn, którzy potrafili stawiać się szczególnie nieprzyjemni, gdy ktoś zakłócał ich spokój). Po chwili zastanowienia doszła nawet do wniosku, że w końcu Dave'owi zawdzięcza. Gdy zmagając się z hamulcem postawiła wózek przed witryną sklepu, miała nieprzytomne spojrzenie. Stan potarganych włosów, których nawet wiatr nie mógłby dziej splątać, poprawiłoby zapewne solidne mycie. I rzadna kąpiel - oto czego jej brakowało! Dobrze, aron tyczne mydło mogłoby usunąć ten przykry zapach naft; ny dobywający się z jej zbyt obszernego, nabytego na w sprzedaży płaszcza. Miała go od zeszłej soboty. Płaszcz trwałym zapachu, nieznośnym już w momencie kup: Nie może się jednak skarżyć. Kosztował tylko 15 pensów. Wygląd już dawno przestał mieć dla niej znaczenie. Była zaniechana i świetnie zdawała sobie z tego sprawę. Nie ma po co się odchudzać, mówiła sobie. Skoro zdecydowała się na dzieci - musiała utyć. Nawet ma przypominała jej o tej zasadzie. Znała się na tym dobi. Miała dziesięcioro potomstwa. Nawet jedenaścioro, j' brać w rachubę jedno poronienie.

Faldy tłuszczu po p stu były, mimo stałej chipsowej diety.

Pod brudem i otyłością Mandy Wickham tkwiły szcze szczątki kobiecej urody, którą mogłaby wskrze gdyby podjęła zdecydowane kroki. Od urodzenia Dave nie pamiętała o sobie. Jako istota kierująca się wyłącz2 instynktem - czuła się prawie szczęśliwa.

Wszyscy patrzą tylko na jej dziecko - Mandy cz się jednocześnie dumna i skrępowana. Rumieniła sprawdzając, czy kocyk dokładnie otula malutkie ciało

48

Nie opodal, czerwona cortina, zawracając na wstecznym biegu, wjeżdżała właśnie na puste miejsce do parkowania. Opony hałaśliwie ocierały się o krawężnik. Siedząca w środku kobieta bardziej jednak przejęta była oglądaniem małego Davey'a, anizeli udzielaniem wskazówek kierowcy.

Mandy podniosła wzrok. Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Kobieta w wozie była pociągającą blondynką, starszą od Mandy o rok lub dwa.

- Mamusia zaraz wróci, kochanie - Mandy uniosła głowę, zwracając się pieszczotliwie do śpiącego malca, spowitego w błękitne koce i za duży różowy czepek, który udało jej się nabyć na wyprzedazy za jedyne pięć pensów. - Teraz chwilkę poczekaj i bądź grzeczny.

Przystanęła w bramie, by jeszcze raz rzucić okiem na wózek. Tak, każdy podziwiał Davey'a. Kobieta wysiadła z samochodu. Była dużo wyższa niż można by przypuszczać. Odziana na czarno - jak gdyby udawała się właśnie na jakiś pogrzeb - wyglądała szalenie elegancko. Mandy nie lubiła takich kobiet. Prawdziwe arystokratyczne snoby. Chwilowo jednak wybaczyła obcej jej status społeczny, z powodu spojrzenia i uśmiechu, jaki skierowała ku małemu Davey'owi.

Mandy weszła do sklepu. Pogrzebała w przepastnych kieszeniach swego płaszcza, by odnaleźć poszarpaną na rogach, pomiętą książeczkę, umożliwiającą korzystanie z zasiłku. Głowy kupujących odwróciły się na moment. Spojrzenia powędrowały w jej kierunku. Oczywiście pogarda, którą jej okazywali, irytowała Mandy. Próbowwała jakoś zareagować, lecz nikt już na nią nie patrzył.

Nie miała szans! "Prawdziwe suki" - pomyślała z pogardą. Były zazdrosne, bo ich dzieci miały ziemistą cerę i

49

wszystkie wyglądały tak samo, jak rzędy identycznych zabawek ustawionych równo na półkach.

Czy wiecie, że Mandy Wickham ma nieślubne dziecko? Tak. Tak. Czy wiecie, że nawet ona nie jest pewna, kto je spłodził? Chociaż... sama tego chciała. Od kiedy porzuciła szkołę, była małą, brudną

puszczalską. Słuchajcie uważnie. Wkrótce ujrzycie ją, jak włóczy się po ulicach nocą. Jej siostra już też zarabia w ten sposób.

Do licha z nimi. Nie ośmielą się tego powiedzieć, nim nie wyjdzie na zewnątrz. Lecz to nie ma najmniejszego znaczenia. Mandy pchnęła swą książeczkę w stronę komputera, nie spoglądając nawet na pana Barnwella, niższego urzędnika poczty. Był równie prymitywny jak reszta... Wszyscy pewnie myślą, że oni muszą płacić za nią i utrzymanie Davey'a z własnej kieszeni. Być może nawet jest tak naprawdę - okreśną drogą, przez poborcę podatków. Mandy niezręcznie podniosła pomiętą książeczkę i zgarnęła banknoty swymi grubymi palcami. Nigdy nie udało jej się zwalczyć nawyku obgryzania paznokci. Nerwy. Na tym polegał cały problem. Nienawidziła wtorkowych poranków. Czuła się tak, jakby przypędzono ją tu. Dobrze. Już nigdy nie będzie tu przychodziła na jakieś cholerne zakupy. Łajdak Barnwell i te tuziny jego "ofert specjalnych". Wszystko to kosztowało kilka pensów mniej, dalej, w dużym sklepie Tesco. I będzie tam chodzić, nawet jeśli marsz tam i z powrotem zajmie jej dwadzieścia minut. Poranek był bardzo miły. Davey mógłby przynajmniej zażyć świeżego powietrza.

Z głową zadartą do góry, nie oglądając się w lewo ani w prawo, Mandy Wickham ostentacyjnie pomaszerowała w swych nędznych pantoflach do

wyjścia. Odetchnęła z ulgą, gdy wydostała się na rozświetloną słońcem ulicę,
50

która z jakiejś dziwnej przyczyny nie wyglądała dziś na brudną.

Mandy zastanawiała się, jak to się dzieje, że takie oddalone od centrum przedmieścia, jak to, są zatłoczone. Ludzie spieszyli dokądś, tak nerwowo i histerycznie, jakby mieli za chwilę umrzeć.

Niekończący się strumień samochodów ciągnął w obu kierunkach. Czerwona cortina miała właśnie trudności z włączeniem do ruchu. W końcu, gdy przejeżdżająca ciężarówka zwolniła i błysnęła światłami, udało się kierowcy wjechać na pas. Opony zapiszczały. Sprzęgło zostało puszczone zbyt energicznie. Samochód przejechał raptownie przez skrzyżowanie właśnie w chwili, gdy pomarańczowe światło zmieniało się na czerwone. Mandy dostrzegła jedynie profil blondynki na miejscu obok kierowcy. Panna Wickham nie śpieszyła się. Jej gniew minął. Czowała się miło rozluźniona. Oczekiwała z niecierpliwością spokojnego marszu i prowadzenia wózka w strumieniu uśmiechów kierowanych ku jej synkowi przez ludzi, którzy nie znali jej historii, których nic nie obchodziło.

- Mamusia już wróciła, kochanie. Zaraz pójdziemy na miły...

Raptem zamarła w bezruchu, pochylając się nad zniszczonym, starym wózkiem. Jej pulchne,

ogryzione palce dotykały nerwowo pustych, pomiętych kocyków. Po chwili gorączkowo je rozrzuciła. Podniosła poduszkę i pogryzioną, wielobarwną grzechotkę, która także pochodziła z wyprzedaży. Nabyła ją za jednego pensa. Dziecko zniknęło! Nie wierzyła własnym oczom. Rozglądała się wokół ze zdumieniem malującym się na jej pulchnej, tępej twarzy.

**Davey Wickham przepadł! Wózek był pusty, a stru-
51**

mień przechodniów mijał ją obojętnie, nie patrząc nawet w jej stronę.

Przenikliwy krzyk zrozpaczonej matki zginął w huku pędzących pojazdów. W głębi High Street czerwona corti-na szybko zniknęła za następnymi światłami sygnalizacyjnymi.

Dla przypadkowego obserwatora mogło to wyglądać na pstre zebranie anarchistycznej młodzieży przed koncertem pod gołym niebem. Bądź na zebranie Aniołów Piekieł, nietypowe, gdyż nie było widać nigdzie czarnych motorów - "narowistych koni". Odziane w drelichy postacie wypełniały płytką dolinkę wśród z rzadka rozsianych drzew. Ich ubrania były niemal jednakowe, mimo drobnych różnic w odcieniu materiału. Nogawki spodni podwijali, tak by widać było ciężkie, zbyt duże buty, podobne do kaloszy Mickey Mouse. Stalowe okucia na czubach robiły szokujące wrażenie. Włosy zgromadzonych sięgały ramion i były zlepione

brudem lub sterczały przyszczyżone tuż przy skórze... Przeważnie byli młodzi. Kilku ledwie dorastających. Próbowali zamaskować swój młody wiek nonszalancką pozą i paleniem papierosów, których ostry zapach roznosił się wokół. Było też kilka dziewczyn łaszących się jak kotki do swych partnerów.

W duchu każde z nich odczuwało lęk. Lecz gęstniejący mrok ukrywał ich uczucia pod maską pogardy i obojętności. Kucali lub leżeli w niewielkich grupkach. Na kurtkach wszyscy mieli znaki - ręcznie wyszyte emblematy. Niektórzy nosili je na ramionach, inni na plecach. Miejsce nie miało znaczenia, byle było widoczne. Czerwone koło obejmowało czarną swastykę, nad którą znajdowała się data: 9 listopada. Poniżej inicjały FW.

52

Kilkudziesięciu uczniów Lilith zeszło się w to miejsce wezwanych jakimś tajemniczym sygnałem. Zebrali się tu z obawy przed samotnością i dlatego, że właśnie tu czuli się wolni. Czasem rozdawano im w tym miejscu pieniądze, w zależności od tego co robili i jak dobrze im to szło.

Gdy zapadła noc, grupy zwały się ze sobą tak, że nie można było odróżnić pojedynczych osób. To nie była naturalna sceneria ich spotkań. Czuli się tu obco. Brak budynków i ludzi przerażał ich. Nie było tu podziemnych przejść, gdzie można by się wyspać, tylko żywopłoty i lasek, w którym tajemnicze,

zagadkowe istoty poruszały się w czasie nocnych godzin. Mieli nadzieję, że ich przyśpieszone oddechy i drzenie rąk nie będą dostrzeżone. Modlili się, żeby z rana nakazano im wracać do metropolii. Modlili się o przetrwanie tej upiornej nocy.

Czekali w ciszy. Nasłuchiwali. Gdzieś na falistych nizinach zaćwierkał wijący gniazdo kulik - jego śpiew był prawdziwą symfonią samotności. W oddali zawyla lisica. Jedna z dziewcząt lękliwie wstchnęła, tuląc się do swego partnera.

I wtedy odezwał się puszczyk. Wiedzieli, że nadszedł czas, że noc zła i grozy zacznie się lada chwila.

Wszyscy rzucili się na ziemię. Po chwili unieśli głowy, patrząc na piękną i zimną kobietę, która nazywała siebie Lilith. Należała do istot niezwykłych. Nawet Fuhrer składał jej hołd. Przedtem ukazała się tylko raz, tuląc do nagiego i zimnego łona niemowlę spowite w łachmany. Noc wypełniła się żalonym kwileniem. Kiedy nadszedł świt, pozostały jedynie cienkie dziecinne szmatki przesiąknięte krwią.

Fuhrer ostrzegł, że dzisiejszej nocy przyjdzie znowu. Słuchający zadrżeli, gdy uszu ich doszedł dźwięk łama-

53

nych gałązek i ciężkie, rytmiczne kroki. Skulili się. Narkotyki doprowadzały ich myśli do szału. Chcieli uciekać, ale nie mieli dokąd. Jej zemsta będzie zbyt straszna, by o niej myśleć.

- Powstańcie! Patrzcie!

Potężny wojskowy głos zmusił ich do powstania. Zaczęli niezdarnie gramolić się i otrzepywać powalane ziemią ręce. Ramiona mieli uniesione w kierunku wysokiej postaci. Sylwetka majaczyła na tle gwiaździstego nieba, około dwudziestu jardów przed nimi.

- Seig Heil! - gardłowy krzyk rozległ się w ciszy, a ręce wzniosły się w geście faszystowskiego powitania. Człowiek, któremu składali hołd, odwzajemnił im pozdrowienie. Uderzył głośno obcasami skórzanych butów. Jego twarz znajdowała się w cieniu. Znali ją jednak wystarczająco dobrze. Była pociągła. Nosił mały wąsik, który miał rywalizować z wąsikiem Hitlera. Mężczyzna miał na sobie nieskazitelnie skrojony mundur z rzędem medali połyskującym na piersi. Robiły wrażenie, nawet jeśli nie znało się ich symboliki.

Nowy Flihrer poprowadzi dalej dzieło zmarłego. Zdobędzie najwyższą władzę na ziemi.

To Lilith, Bogini Ciemności, wybrała go, by mówił w jej imieniu. Dzisiejszej nocy przeżyją inicjację. Będą obcować z Lilith tak długo, aż ona użyje tłumowi wiernych swej nadzwyczajnej mocy. Musieli czekać.

Uniesione ręce znieruchomiały w geście pozdrowienia. Zaczęły boleć omdlałe ramiona, ale nie miało to już znaczenia. Oczy wodza zdawały się jarzyć w ciemności. Spojrzenie było pogardliwe, demoralizujące i władcze.

Zadrżeli. Wiedzieli, że nocny obrzęd związany jest ze śmiercią Franka - znanego w środowisku jako Franz.

Jego blade, martwe ciało znaleziono w opustoszałej dzielnicy Londynu, w której tak chętnie przebywał. Wokół nie było ani kropelki krwi. "Znak śmierci" widniał na jego szyi. "Broni" nie było nigdzie. Winą za jego śmierć Fuh-rer obarczał zgromadzonych. Nie znosił porażek. Zostaną więc ukarani. Wszyscy! Czas mijał. Księżyc świecił jasno, srebrzyście. Wschodnia część nieba rozjarzyła się intensywnym blaskiem. Księżyc rzucał świetlne refleksy. Plamy białego światła robiły niesamowite wrażenie na tle czarnych sylwetek drzew. Dopiero wówczas Fiihrer polecił im opuścić posągowo uniesione ręce. Milczącym gestem nakazał zebranym paść na kolana.

Sowa zahuczała teraz zupełnie blisko. Jedna z dziewcząt - zbyt przerażona, by panować nad sobą - jęknęła. Ktoś warknął na nią gardłowo. Zamilkła. Potem nastąpiła złowroga, absolutna cisza. Słysząc tylko było krople spadające z drzew. Lodowaty wiatr przenikał chłodem spocone ciała chłopców. Chcieli przymknąć oczy, nie patrzeć, uciec w bezpieczny mrok przed tym, co miało nastąpić. Ich powieki jednak stawiały niezrozumiały opór.

Nagą postać Lilith i światło księżyca srebrzące jej skórę dojrzeli jednak dopiero, gdy stanęła tuż przed nimi, na niewielkim wzniesieniu. Nawet Fiihrer klęknął i schylił głowę w geście wiernopoddańczej pokory. Sowa zahuczała raz jeszcze i zamilkła. Przerazającą ciszę przerwał głośny płacz dziecka.

**Lilith tuliła do swej piersi otulone w łachmany
zawiniątko. Uczestnicy obrzędu patrzyli z
udręczeniem.**

**Ona, której czyny zdominowała żądza niemowlęcej
krwi, Ona, wiecznie nienasycona - napije się jej
znowu,**

55

**skąpana w srebrzystej poświacie, piękna i groźna
zara zem.**

**Poczuli, że nie potrafią odwrócić wzroku. Jej ócz)
zniewalały ich swą magiczną siłą. Usta wiernych
poruszały się w niemym posłuszeństwie,
wypowiadały jakąś mód litwę, której pochodzenia
nie znali, choć przeczuwali je istnienie gdzieś w
sobie.**

- Spójrzcie na mnie.

**Jej głos był donośny i dźwięczny. Jej nagie ciało prze
pełniało ich zmysły pożądaniem, które, z czego
zdawał sobie sprawę, nigdy nie mogło zostać
zaspokojone.**

**- Ja jestem Lilith. Czy nie ja byłam pierwszą kobieta
Adama, nim narodziła się Ewa? Czyż to nie ja?
Jej głos zmienił się w pisk, histeryczny skowyt
domagający się potwierdzenia i bezgranicznej
akceptacji.**

**- Tak. - Ich odpowiedź brzmiała bezbarwnie, mar
two. Przypominała rodzaj zgodnego jęku. - Ty byłaś
pierwszą kobietą Adama.**

- A wy jesteście moimi uczniami.

- Tak. Jesteśmy twoimi uczniami - powtarzali nabożnie.

- I będziecie robić to, co wam rozkażę. Uczynię was wszechmocnymi. Niepokonanymi dla śmiertelnych. Niebezpiecznymi dla wrogów. Niezlomnymi, wielkimi.

Z oczu zebranych zniknął lęk. Zastąpił go fanatyczny spokój. Ich ciała zadrżały. Tym razem z żądy oddania się we władzę tej, która się do nich zwracała. Tej, której spojrzenie paliło ich świętym ogniem.

- Lilith... Lilith... Lilith... Okrzyki wzmagaly się. Uniosła zawiniątko w górę, wysoko ponad głowę. Ujrzeni maleńkie ręce i nogi, które kopały powietrze. Usły-

żeli okrzyk zgrozy podobny do jęku ranionego ptaka. leżeli bezwiednie zbliżać się do niej, lecz zimny błysk)czu Lilith osadził ich w miejscu.

- Bądźcie cierpliwi, moi uczniowie, bo tej nocy wszyscy zaczerpniecie sił z krwi dziecka. Podzielę się z wami moją władzą, moją siłą, moją nienawiścią. Teraz Flihrer, uroczysty i poważny, stanął obok Lilith. ^oś srebrzystego zamigotało w jego ręce w świetle księży-a. Lilith podniosła płaczące głośno dziecko ku niemu. rozległo się ostatnie, bolesne kwilenie. Niemowlę ucichło. Crew ciężkimi kroplami spłynęła do ozdobnego pucharu.

- Spójrzcie, oto kielich Lilith... pijcie z niego i ofia-'ujcie jej swe dusze.

Wysoki mężczyzna stał z kielichem w dłoniach w smu-Ize białego światła. Jego naga towarzyszka ukryła się w nroku. Była teraz cieniem, nierealnym i tajemniczym jak w obrzęd, w którym uczestniczyła. Tłum podszedł do przodu, ustawiając się w zadziwiająco uporządkowany szereg. Każdy z wiernych brał kielich w dłoń i uroczyście unosił do ust. Nikt nie zwracał wagi na gęste szkarłatne strużki, spływające po brodach, capiące na ubranie. Upojeni, szczęśliwi powracali na swoje miejsca w kotlinie. Wpatrując się w ekstazie w postać Lilith, ponawiali śluby wierności. Z tysiąca ust wydobywał się natchniony szept.

Światło księżyca zgasło na moment, przyćmione przez przemykającą chmurę, by nagle rozbłysnąć na nowo. Tym razem Lilith stała w pełnym blasku. Dłonie miała puste. Żała dziecka nigdzie nie było. Jej twarz zmieniała się w maskę o niezwyklej urodzie, pięknej i niebezpiecznej.

- Należycie do mnie - wyszeptała. - Każdy z was.

57

W tym życiu i w życiu przyszłym, i w świecie, z którym przybywam. Służcie mi, a nagroda przekroczy wszelkie oczekiwania. Jeżeli jednak ulegniecie podszeptom nawiedzonych kaznodziei i odważycie się na bunt - męki i kielne was nie ominą. Będziecie zmagać się z cierpieniem którego istnienia nawet nie podejrzewacie. Uczynię was samotnymi! Potępię na wieki!

Zgromadzeni cofnęli się. Szeptali teraz słowa przysi poruszając bezwiednie wargami, na których wciąż a chały strużki krwi.

- Dobrze! - zdecydowała niespodzianie, podnoś głos do krzyku: - Idźcie więc i służcie mi! Zabijaj Mordujcie i milczcie! Nie wyjawiajcie nikomu mego ir nią! Imię Lilith jest święte! Spokojnie znoście tortury, 2 cię bowiem los tych, którzy zdradzili. Jeden z moich i bardziej oddanych uczniów został zabity przez wróg Moja zemsta będzie straszna. Nieprzyjaciel zagraża na sprawie. Nie można już marnować czasu. Kobieta, kt mu pomogła, musi umrzeć także. Flihrer poprowadzi do tej pary szaleńców. Nim minie pełnia księżyca, złóż; tu, na ołtarzu ofiarnym głowę człowieka imieniem Sal To będzie ostrzeżenie! Już nikt nie odważy się podn ręki na wyznawców Lilith. Wielkiej Lilith! - Lilith - Bogini Ciemności! - Lilith! Lilith! - wtarzało echo coraz ciszej.

Z mroku wyłamały się teraz wyraźnie kontury dr2 Nadejście świtu zwiastowały krzyki i pohukiwania] ków. Mgły i białawe opary z wolna otulały kotlinę. Potem, jakby na komendę Bogini Ciemności, mroc chmury przysłoniły bladą tarczę księżyca. Znowu wsz ko ucichło i pograżyło się w nieprzeniknionej czerni.

**Kiedy srebrzysta poświata rozproszyła mrok, jed[^]
58**

ęczyzna w mundurze pozostał na wzgórzu. Lilith zni-łęła równie cicho i niespodziewanie, jak się pojawiła.

- Słyszeliście - wódz zwrócił się do zgromadzonych. • Zapamiętajcie Jej słowa. Idźcie więc, aby zabijać. Mor-ijcie, aż cały świat zdrży na wspomnienie Uczniów Liii. Bądźcie bezlitośni i nieprzejednani! Tamtych dwoje usi umrzeć natychmiast! Właścicielka domu publicznego ż niebawem zapłaci za swą bezgraniczną głupotę. Z Saltem nie pójdzie tak łatwo! Mówi się o nim jak o egzor-fście. Podobno dysponuje siłami przekraczającymi ludzkie możliwości. Teraz jednak, gdy piliście krew z kielicha ilith, jesteście wystarczająco silni. Ja służę jej wiele lat i iem, że spełnia swe obietnice. Nie toleruje upadków i wazek. Ale potrafi każdy sukces sownie wynagrodzić. prawianie zła jest sztuką - fascynującą jak hazard. en, kto przyniesie jej głowę Sabata, zdobędzie przywilej lania z Wielką Lilith, przywilej, z którego przed laty ko-ystał Adam! Słowa te wywarły wielkie wrażenie. W dziesiątkach iemych wyzwoliły pożądanie, obudziły nadzieje. Horda izalałych z rozkoszy mężczyzn zawyła. Syci krwi, pijani wspektywą wielkich uniesień - przysięgali posłuszeństwo i uległość.

Rozdział V

**Ilona nie mogła przestać myśleć o Sabacie. Tracił
prawda przy bliższym poznaniu, bo nie dbał o
pozory nie udawał dżentelmena. Sabat był
bezpośredni i spont niczny, ale pod maską "luzu"
krył jakąś upiorną tajemnicę. W miłości i nienawiści
potrafił być prymitywny i bfl talny.**

**Leżała w wygodnym, miękkim łóżku. Złote promień
wczesnego przedpołudnia kładły ciepłe refleksy na
rózofl pościel, wlewając się do pokoju przez
rozchylone stor Przedostatnia noc była koszmar.
Przypominała upion sen schizofrenika. Wiedziała
jednak, że wszystko to zd rzyło się naprawdę.
Przypomniała sobie chłodną wściekłość Sabata,
g(zabierał się do swej ofiary. Był bardziej okrutny i
be względny niż zawodowy morderca, niż facet,
którego zł pał. Gdy nadejdzie noc, powróci zapewne
do londyński dżungli, by dalej bawić się w
myśliwego. Sabat żył wedh sobie tylko wiadomych
zasad.**

**Ilonę przeszedł dreszcz niepokoju. Większość dzi
wczął odeszła z interesu i nie mogła mieć o to pretens
Nie próbowała nawet ich przekonywać, by zostały
wbre własnej woli. Jedynie Jackie i Emma były jej
jeszcze wie ne. Głównie dlatego, że nie miały dokąd
pójść. Żadna u ca nie dawała bezpieczeństwa po
zmroku.**

**Oh, Boże! Żałowała, że Sabat nie zaopiekował się n
w sposób bardziej zobowiązujący. Modliła się, by
szybi**

wrócił, na tyle szybko, by chciała jeszcze szukać spoko-w jego ramionach.

Najprawdopodobniej wiedziała o Sabacie więcej niż akolwiek inny. Zdawała sobie sprawę, co działa na nie-, co go podnieca... lecz o bardzo wielu rzeczach nie do-e się nigdy. Zastanawiała się, ilu ludziom tak tajemni-y i niezwykle mężczyzna jak Sabat, mógłby zaufać. Za-wne był samotnikiem. Kochał się z wieloma kobietami, ;z z żadną nie związał się uczuciowo.

Przypomniała sobie, jak po raz pierwszy odwiedził jej m. Teraz jeszcze na myśl o tym nie może ukryć rozba-enia. Młody ksiądz Sabat - brzmi to nieprawdopodob-;! Nie krył poczucia winy, że rozminął się z powoła-;m. Dosłownie płakał na jej nagim ramieniu. Było w D coś niezwykle emocjonującego! Wtedy to zrodziła się ;ędzy nimi jakaś niła, ledwie wyczuwalna nić porozu-iema. Sabat otworzył się przed nią z ujmującą szczerós-[-. Opowiadał o swych homoseksualnych przeżyciach z resu dorastania. Nie było to łatwe - tak obnażyć się zed drugim człowiekiem, odkryć do końca własne uło-łości, kompleksy.

Chciał poświęcić się pokucie i medytacji, schronić się zed światem pod opiekę Kościoła. Nie udało się. Był yt krytyczny i inteligentny, by zostać mnichem. Nie osił hipokryzji, nienawidził sztuczności. Nagle uprzyto-lił sobie, że stał się ateistą. Religia, jej

obrzędowość, ^podważalny system prawd i wartości - wszystko to ^dawało mu się naiwne.

Pewnego razu rozmawiał z nią o samobójstwie. Coś powstrzymywało. Może lęk. A może obawa przed ka-,,. Ilona znalazła argumenty, żeby go przekonać o bez-isowności tej obsesji. Poza ideałami istnieją jeszcze inne

61

rzeczy, dla których warto żyć. Seks, miłość... - moi wtedy.

Zaczął odwiedzać ją prawie regularnie. Początko przez całe noce jedynie siedzieli i rozmawiali.

Stopnic zaczęła dostrzegać, że staje się pewny siebie, opanowe Sabat zaczął pracować nad sobą. Ilona nauczyła go mi ci, wspaniałej, zmysłowej. Dyskretnie kształtowała j gust, stosownie do swoich upodobań.

Drżała cała myśl, że jego ciało spoczywa na niej.

Czuła jego silne chy, które zdawały się spychać ją w inny wymiar. Za minali się w miłosnej ekstazie. Nie chciała wracać do czywistości, do interesów, do nieustannej dbałości o kl tów.

Potem pewnego dnia Sabat przestał do niej przyć. Poczowała się ograbiona... i bardzo samotna.

Wszys straciło sens.

Później dowiedziała się, że Sabat zrzucił sutannę i dopełnił ślubów. Minął rok. Nie traciła nadziei, że kie znowu go zobaczy. Pewnej nocy wkroczył nonszalan do jej domu, tak jakby nigdy nie

wychodził stąd na (żej. Zmienił się. Jego wewnętrzna siła i dojrzałość zaczęły imponować! Kochali się. Znowu mu uległa. Czowała s tym znakomicie. A potem, gdy leżeli wyczerpani, zdys2 i pełni wrażeń - zapominali o wszystkim. Chciał dać dowód zaufania, związać ją ze sobą. Powierzył jej t mnicę. Znalazł nową religię - religię siły i walki. Dav pokonał w sobie teologiczne zapędy. Poszedł w przeciwnym kierunku. Oddał się służbie tak wymagającej, że ko garstka wybranych mogła jej sprostać. Został członkiem SAS. Nauczył się zabijać i stał się mistrzem w sztuce. Nowa rola stanowiła dla niego wyzwanie rzuci przez los. Budził respekt i strach. Ten strach odezw

iovi ona również, mimo pozornego spokoju, jaki zawsze otaczała ją w tym przytulnym wnętrzu. Ko'w Bała się nie Sabata, lecz niebezpieczeństw, które stały się istotną esencją jego życia - niebezpieczeństw tego duchowego fan data, które mogła tylko przeczuwać. Ilo Zbyt późno zdała sobie sprawę z istnienia jego wewnętrznej siły, która budziła obawy i pociągała zarazem. Ibat żył w innym, niedostępnym wymiarze, bliski egzorcyzm. Wierzyła w jego zwycięstwo, choć nienawidziła jego zimnej, wyrafinowanej żądzy zemsty. Zemsta czy-i z niego oprawcą, nadawała jego działaniu cechy odni. Sabat stawał się zły. Przygotowując akcję był >biażgowy i pedantyczny.

Zapoznawał się gruntownie tylko z magią i czarnymi sztukami.

Pracując uparcie nad sposobami obrony, poddał się że obrzezaniu w okolicznościach, które zmuszają go szukania schronienia w kredowym pentagramie, bo-;m panicznie bał się przeniesienia jakiejś istoty zła, >ćby w formie zwykłego, brudnego ziarnka piasku. ciał więc żyć przez jakiś czas w "czystości". Stał się wolnikiem idei.

Ilona wiedzona nieomylnym instynktem kobiety prze-iwała, że czuje się opętany przez Quentina. Wydawało jej to irracjonalną bzdurą, bezsensowną obsesją. Wie-ała o jego duchowych męczarniach, ale wiedziała rów-ż, że Sabat poradzi sobie, bowiem był niepospolitym owiekiem.

Myśli jej ciągle krążyły wokół tych trzech morderstw. stanawiała się, czy była to tylko bezsensowna masakra, istniały jakieś inne, głębsze motywy. Jedynie Sabat rozproszyć jej wątpliwości. Musiała czekać. Była tarką własnego domu, własnego burdelu, marnie

63

idącego interesu. Została właściwie sama, jeśli nie lic;

tych dwóch dziewcząt, które po prostu bały się wyci dzić.

Nagle zadzwonił telefon. Ostry dźwięk zabrzmiał n przyjemnym dysonansem. Gdy sięgała po słuchawkę, n rzyła o spotkaniu z Sabatem. Modliła się o nie,

wypow dając w duchu tajemne zaklęcia. Kobięca intuicja mów jej jednak, że to nie on. Nawet gdyby tak szybko wró - to nie dzwoniłby teraz. Ostatnio ich kontakty były ti sporadyczne...

- Ilona, słucham.

Niski, opanowany głos mężczyzny wzmógł jej czujne i spotęgował niejasne obawy. Klienci czasem polecali swym przyjaciółom, zawsze jednak istniała możliwość p licyjnej pułapki. Było to ryzyko zawodowe, nieodłączr związane z do niedawna dobrze prosperującym interesen

- Nazywam się Lassiter - mówił powoli, staram dobierając słowa.

- Lassiter - powtórzyła. „A jeśli to psudonim?" Ktoś mógł pomyśleć, że nazwisko Jones lub Smith s1 ło się odrobinę wyświechtane.

- Mówił mi o tobie jeden z twoich klientów, Richa Baynham - ciągnął nieznajomy. ~ Dlaczego milczysz? Ilona rozluźniła się odrobinę. Richard Baynham t bogatym biznesmenem, który odwiedzał ją raz lub d\ razy w miesiącu. Bez wątpienia miał szerokie kontakt Mogła to zawsze sprawdzić - wystarczył jeden telefon.

- OK. Znam Richarda. W porządku!

- Zastanawiałem się, czy będziesz miała 'czas d; wieczorem.

- Tak. Miło mi będzie gościć w domu mężczyz przez godzinę czy dwie. Będę wolna około dziesiątej.

e nczjj _ Doskonale. Zatem jesteśmy umówieni?
wych<j Teraz już nie ukrywała zadowolenia.

Natychmiast po

odłożeniu słuchawki wykręciła numer biura
Baynhama. lał ni«>odobnie jak Sabat nauczyła się
zmierzać do celu naj--ę, m< yótszą drogą.

powii _ Bardzo mi przykro, ale pana Baynhama nie
będzie tiowil y/ biurze w tym tygodniu.

wróć Ton głosu sekretarki był poprawny, choć
wyczuwała iy ta ^ nim przyczajoną niechęć. Być
może intuicja podpowiedziała jej, że Ilona jest
dziwką. Zapewne miała romans z szefem i irytowała
ją potencjalna rywalka.

ijność _ pan Baynham jest w Belgii i nie będzie go w
biurze a" J do poniedziałku. Czy zostawi pani
wiadomość? c P° Ilona odłożyła słuchawkę i
westchnęła. No i stało się. czm< Cholerny zbieg
okoliczności! Nie istniała możliwość sem.

sprawdzenia Lassitera. Nie mogła również odwołać
spot-inm< kania. Klient nie zostawił numeru. Nie
wiedziała o nim nic, zupełnie nic. Poczula niepokój.
Jeszcze chwila, a wpadnie w histerię. Nie pora
rezygnować z klientów. Inte-sta resy stoją bardzo
źle. Klient to klient. Zawsze istnieje
niebezpieczeństwo. Może ją naciągnąć. Zabawi się - i
nie lar<^ da ani centa! Z tym zawodem zawsze wiąże
się ryzyko.

Obecność obcego faceta, prawdopodobnie
przystojnego, ^ dobrze jej robi. Uspokoi duszę,
zaspokoi ciało - pomyś-[wa lała z humorem. A jak

wspaniale brzmiał jego głos... ^y- "Może to znany aktor, albo nadziany facet z branży Ri-charda" - pomyślała. Skąd u licha ten strach! Uspokój się mała i zrób sobie drinka. To zawsze dodaje otuchy.

zls Zastanawiała się, czy nie iść na piętro i nie zaprosić

Jackie albo Emmy na szklanekę whisky, lecz rozmyśliła się. ne W miarę jak zapadał zmrok i gasły ostatnie latarnie, jej niepokój wzrastał. Nie mogła jednak denerwować dzie-

3 - Krwawa bogini

65

wczą. Miały swoje własne pokoje, swoje domy, i jeślib chciały jej towarzystwa to zaprosiłyby ją same. Widoczni nie była im potrzebna. Ilona szanowała ich upodobania. Takie miała zasady do wszystkich, także do dziewcząt, którymi pracowała.

Spojrzała na pusty ekran telewizora - pewnie trwi dziennik. Nie chciała go oglądać. Nie chciała, by przypo minano jej o mroźnych krew w żyłach wydarzeniach po przednich nocy. Lassiter będzie najprawdopodobniej zwy kłym, wymagającym klientem, fachowcem od spraw se\ksu, a jego towarzystwo uwolni ją na jakiś czas od koszmaru niepewności. Czowała, że nie pragnie niczego więcej aniżeli zwykłej rozmowy i normalnego zbliżenia. Jako doświadczona profesjonalistka, potrafiła zawsze maskować uczucia, co nie znaczyło, że nie lubiła uprawiać miłości.

Kwadrans po dziewiątej zaczęła się malować. Staranny makijaż, elegancki ubiór. Tego oczekiwali klienci. Była wyrafinowanie piękna - pełna wdzięku, wolna od tandety - wymarzona kochanka i dama do towarzysztwa. Nie wiedziała, czego ten facet oczekuje. Zgadywanie nie miało sensu. Umiała przecież zagrać każdą rolę.

Czarny biustonosz i pasujące do niego figi ukryte były pod zwiewną, długą oliwkowo-zieloną suknią. Z zewnątrz można było dostrzec jedynie kontury bielizny i doskonałą linię bioder rytmicznie poruszających się przy każdym kroku.

Na dziesięć minut przed dziesiątą ukończyła przygotowania. Uczucie przejmującego niepokoju wróciło, gdy usiadła beczynn timer. Zapaliła papierosa zaciągając się szybko, nerwowo. Strąciła popiół do czarnego wnętrza kominka. Gdybyż Sabat tu był. Nie ma go jednak i mało prawdopodobne, że przyjdzie. Pewnie przygotowuje się do ko-

lejnej nocy wypełnionej walką z tajemniczymi mordercami.

Zegar wybijał właśnie dziesiątą, gdy rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Każdym nerwem czuła obeność nieznajomego. Mięśnie jej brzucha napięły się w bolesnym skurczu. Tak szybko... Boże, już dziesiąta! Przebiegł ją dreszcz. Gdy schodziła do holu, nie mogła opanować drżenia nóg. Zamek u drzwi stawiał opór. Musiała użyć siły. Czyżby jeszcze jeden zły

znak? Ostrzeżenie, by nie wpuszczać gościa?

Zlekceważyła je.

- Dobry wieczór.

Mężczyzna stojący w progu był wysoki. Miał ciemne, gładko zaczesane włosy, które wyglądały jak natarte żelem i pachniały odurzająco. Krótko przystrzyżony wąsik wydawał się nieco komiczny. Spojrzenie nieznajomego było chłodne i... przenikliwe. Serce Ilony zaczęło bić szybciej. Nie chciała się przyglądać jego oczom. Jednak musiała! Musiała wbrew sobie patrzeć mu prosto w oczy. Zrobiła krok do tyłu.

Jakaś tajemna siła kazała jej szeroko otworzyć drzwi. Choć instynkt radził, by raczej je zatrzasnąć. Nagle owładnęło nią uczucie rezygnacji. Czowała, że dziwna, wewnętrzna siła, która opanowała jej wolę, zmusza do posłuszeństwa i pokory wobec gościa. Machinalnie poprowadziła go do bawialni. Czowała swą niemoc.

- Napije się pan czegoś? - usłyszała swój własny, uległy głos.

- Brandy.

Jego głos brzmiał aksamitnie. Zdawał się odbijać w jej mózgu echem. Dla Ilony był jednak pusty i bezbarwny.

Udało jej się, pokonując drżenie rąk, nappełnić szklankę miarką alkoholu. Podawała ją gościowi.

Zauważyła, że

palce, którymi chwycił szklankę, są trupio blade, chude długie. Potem znowu spojrzała mu w oczy.

- Jesteś sama w domu. - Nieznajomy raczej stwiei dził, niż zapytał.

- Nie. Jackie i Emma są w swoich pokojach na go rżę.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się spokojnie. Miał ład ne, mocne zęby. Był powściągliwy i opanowany.

- Domyślam się. że mają tu panie... że tak powiem miły pokój rozkoszy dla tych. co lubią wyszukaną róż kosz połączoną z karą cielesną.

- Tak - mechanicznie skinęła głową. - Kiedyś była tu piwnica. Przebudowałam ją i urządziłam.

- Chętnie obejrzę.

Nie mogła protestować. Klient miał prawo do swoich dziwactw. Propozycja brzmiała jak rozkaz.

Człowiek, który przedstawił się jej jako Lassiter. ruszył pierwszy. Zachowywał się tak obojętnie, że przeszedł ją dreszcz.

Odwróciła się, by pokazać drogę. Doznała nagłego zawrotu głowy. Musiała się podeprzeć ręką o ścianę.

Poczuła się bezpieczniej dotykając znajomej, chropawej powierzchni. Nie schodziła na dół. od kiedy Sabat... O Boże, nie chciała już w'ięcej tam schodzić! Jakaś siła zmusiła ją jednak, by pokonała lęk. Miała wrażenie, że mężczyzna stojący za jej plecami popycha ją nieznacznie w kierunku schodów. Lecz on nawet nie dotknął jej ramion. Nie uczynił żadnego ge'.tu.

Zachwiała się na wąskich, ciemnych schodach, które prowadziły do położonego niżej pokoju. Owionął ich przenikliwy, przykry chłód. Pomieszczenie migotało zielonkawym, fluorescencyjnym światłem. Teraz

Lessiter

pchnął ją naprawdę. Chciał, być może, dotrzeć jak najszybciej do miejsca, gdzie wielu mężczyzn, krzycząc z bólu, wiło się w rozkoszy. Tam, w strasznych okolicznościach zginął ten chłopak. Mniej niż czterdzieści osiem godzin temu.

Ilona czuła się współwinna. Badawczo lustrowała ściany i podłogi. Nigdzie nie było nawet najdrobniejszej plamki krwi. Tak jak we wszystkim, i tu Sabat okazał się perfekcjonistą.

- Czy... czy chciałbyś, bym... bym przebrała się w coś... stosowniejszego?

Wskazała zasłoniętą w rogu pomieszczenia alkowę, która kryła w sobie rozmaite dziwne ubiory. Może, gdy gość zamieni się w bezradnego niewolnika, poczuje się lepiej.

- Nie, moja droga - zaśmiał się miękko - po prostu zdejmij ubranie. To wysicirczy.

Ilona wiedziała, że posłusznie wykona każde polecenie. Nie był to jednak kuszący strip-tease. Spotkanie nie miało nic wspólnego z erotyczną przyjemnością. On nie był pożądanym podglądaczem. Zsunęła z ramion suknię. Powoli zdjęła czarną, elegancką bieliznę.

Czuła swą bezsilność. Naga skuliła się przed jego natarczywym wzrokiem. Czuła suchość w ustach. Drżała. Jej opalone ciało pokryło się nagle gęsią skórką. Lassiter milczał. Podprowadził ją do najbliższej ściany. Zakuł jej kostki i nadgarstki w stalowe, zimne kajdany. Nie było po nim widać ani śladu podniecenia. Był zimny i sprawny. Jego stoickie rysy przypominały zastygłą w bezruchu maskę.

- W porządku.

Zrobił krok do tyłu, by przyjrzeć się swemu dziełu.

69

- Wyglądasz ekscytująco! Nagle zmienił ton.

- Czy to jest miejsce, gdzie Sabat zabrał krew życia jednemu z uczniów Lilith?

Jego słowa wstrząsnęły nią, przeraziły. Nie mogła wy dobyć słowa. Chciała kłamać: Nie, nie! Nikogo tu nie za bito! Co za absurdalne podejrzania!

Zamiast tego mimowolnie skinęła głową. Wyznanie pozostało nieme. Było równoznaczne z wydaniem na się- 'bie wyroku śmierci. Nie mogło być inaczej.

- To bardzo niemądrze.

Lassiter zanurzył rękę w kieszeni marynarki.

Wyciągnął przedmiot, który Ilona знаła aż nazbyt dobrze.

Chciała krzyczeć. Próbowwała krzyczeć. Nie mogła. A więc tak wygląda śmierć? Z ust Ilony wydobył się chrapliwy, stłumiony szept, a potem rżenie.

Przerażała ją myśl o długim, samotnym konaniu.

- Twoja wczorajsza ucieczka nie mogła trwać długo - przysunął się do niej. - Byłoby lepiej, gdybyś umarła wczoraj. Miałaś szansę na śmierć lekką i prawie bezbolesną. Teraz będziesz cierpiała.

- Kim jesteś? - szepnęła.

- Jestem Führerem!

Jego oczy rozbłysły upiornym, fanatycznym blaskiem.

- Jestem wcieleniem tego, który umarł, nim dokonał swego dzieła zniszczenia. Jestem wcieleniem wielkiego wodza, niezłomnego Adolfa! Ja również jak on mam swoich wrogów. Wrogowie muszą być zniszczeni! Uczniowie Lilith zdobędą władzę nad światem!

Chciała przymknąć oczy. Pragnęła, by wroga twarz zniknęła, lecz jej powieki nawet nie drgnęły. Pod wpływem jego intensywnego, natarczywego spojrzenia poczuła

I zawroty głowy. Nagle uświadomiła sobie, że w myśli u-^sprawiedliwia się przed nim za udział w akcji Sabata. | - Ludzie uczą się odczuwać lęk przed imieniem Bogi-Ini Ciemności. - Twarz Lassitera znajdowała się w odleg-|tości kilku cali od niej. Czowała jego oddech i zapach mięty. tCzy to możliwe? Tak jakby niedawno żuł gumę. Mięta Iprzypominała jej dzieciństwo. | Jego głos wrócił jej poczucie rzeczywistości. t - To dopiero początek drogi - powiedział katego-|rycznie. - Zrzucimy ulice bezkrwistymi zwłokami, a na-| si wysłannicy, gdy

staną się świadomi własnej potęgi, podważą podstawy państwa.

| Chciała krzyknąć: Jesteś szalony! - Trudno jej jednak nawet było to pomyśleć. Jej wola i umysł nie należały już do niej. Gdyby teraz ten człowiek, który podawał się za ponowne wcielenie austriackiego malarza, poprosiłby ją, by przyłączyła się do niego, poszłaby za nim i posłusznie.

- Musisz zapłacić za twoje zbrodnie - uśmiechnął się łagodnie. - Jednak, tak jak powiedziałem, twoja śmierć nie nastąpi szybko. W tej szczególnej chwili zrozumiesz, dlaczego wydaliśmy na ciebie wyrok. Będziesz po-i-kornie błagała o wybaczenie, którego nie otrzymasz.

f Pochylił się i niemal w tej samej chwili łydkę Ilony i przeszył straszliwy ból. Poczula, jak ostrze igły zanurza się w jej miękkim, delikatnym ciele. Tam, gdzie w prze-izłości tyłu mężczyzn całowało ją z czułością, był tylko k ból. Prawie natychmiast narzędzie cofnęło się. Wijąc się w ^histerycznych konwulsjach widziała, jak oprawca spokoj-fenie podchodzi do umywalki i obojętnym ruchem zwalnia jtbiodkę. Gęsta purpurowa ciecz trysnęła do zlewu. Była bliska omdlenia. Marzyła o ucieczce w nieświa-
71

domość. To jednak nie było jej dane. Spostrzegła, że Li siter znowu wraca i pochyla się nad nią. Tym razem, g w drugiej łydce poczuła ten sam ostry, przeszywający i - zdołała krzyknąć. Po chwili cofnął

śmiercionośne c rzędzie. Opróżnił zawartość
pojemnika do rury ścieków Gęsty, lepki strumień
ciekł jej po nogach, tworząc u st< czerwoną kałużę.
Wiedziała, że to jej krew. Nie mogła t;
ko uwierzyć. To przecież nie dzieje się naprawdę!
Krz czata histerycznie, próbując zerwać więzy, lecz
skrępow ne ciało przynosiło jedynie ból.
Tym razem powoli, z rozmysłem dotykał jej ramieni)
Zacisnęła zęby w oczekiwaniu. Próbowwała odwrócić
głów tak, by nie widzieć przerażających plam krwi.
Rana zosti ła zadana gdzieś na wewnętrznej stronie
przedramieni Znowu wysłał niewielką ilość lepkiej
cieczy, którą szybko wylał do zlewu. Potem przyszła
kolej na lewe ramię. Hor powoli traciła świadomość.
Skądś, z daleka, jakby z;
grubej tafli szkła, dochodził szyderczy głos morderc
Czuła, jak drobne strużki krwi spływają po jej ciele,
czuł jak gęstnieją i zmieniają się w szerokie
strumienie zlewaj ce się w prawdziwe morze u jej
stóp. Słodki zapach mdl był po prostu obrzydliwy.
Jezu Chryste, zabij mnie! Skończ już z tym wszys
kim! Wydawała chrapliwe, niezrozumiałe dźwięki.
T11 twarzy kata pojawił się znowu uśmiech. Było
tak, je przewidział. Błagała, prosiła o wybaczenie. Na
próżn Tracąc świadomość próbowała zgadnąć, jak
wiele cza;
minie, nim wykrwawi się zupełnie. Gdzieś czytała,
otwartą tętnicą cała krew uchodzi w niespełna
dziesL minut. Ten szatan okaleczył ją tylko. Na

śmierć bądź więc czekać jak na wybawienie. Krew wolno sączyła się otwartych ran.

Potem dostrzegła zakrwawione ostrze srebrzystego na-?dzia. Znała je już dobrze. Teraz wielka igła uwolni ją koszmarne cierpienia, przyniesie ukojenie. Tym rani zagłębi się w jej smukłej, wypiełgnowanej szyi. Czu-a, jak stalowy trzon zanurza się w gardle. Nagle ból zni-mął. Minęła już ową granicę, za którą nagie, sponiewierane ciało czuło cokolwiek. Utraciwszy zdolność reagowa-ua, opierania się śmierci, mogła jeszcze przez krótką fchwile cieszyć się pozostawioną jej odrobiną życia. Tym razem napastnik usunął się. Tryskający z niespo-ziewaną siłą ciemnoczerwony strumień mógł go pobru-zić. Przez ciemniejącą mgiełkę Ilona dostrzegła jeszcze, ak pedantycznie czyści wielką, dobrze skonstruowaną itrzykawkę, jak opłukuje ją w strumieniu zimnej wody.

Śmierć wciąż nie nadchodziła. Wisząc przykuta do iciany, Ilona oddawała się spokojnym refleksjom. Czowała się niemal szczęśliwa, wyzwolona. Człowiek podający się a Lassitera ciągle coś mówił. Jego głos brzmiał jak głu-he dudnienie bębnów w dżungli. Wszystko jednak słysza-i i rozumiała.

- To bardzo rozsądne z twojej strony. Pokój jest Izwiękoszczelny. Są jeszcze dwie dziewczyny, mówisz? Na ewnątrz mam kilku młodych, zapalonych chłopców, któ-trzy pragną ich ciał. Spotka je taki sam los jak ciebie. A | potem przyjdzie

czas na Sabata. Naprawdę dobra, nocna rrobota. Lilith będzie zadowolona!

| Jej ciało zwisało ciężko ze ściany. Ilona po raz ostatni |dostrzegła Lassitera. Właśnie wychodził. Nie spojrzał na-|wet za siebie. Wiedziała, że z nią już koniec. On musiał | zadbać o wykonanie innych zadań. Nie zamknął nawet | drzwi i jeszcze wtedy, gdy oczy jej zasnęła purpurowa l mgła, nadal docierały do niej jakieś przytłumione dźwięki.

73

Frontowe drzwi otworzyły się z trzaskiem i zamknęły. słyszała jakieś kroki i szepty. Uczniowie Lilith nade Zaraz złączą swój wielki magiczny obrzęd.

Ilona dosłyszała także dochodzące z góry krzyki: i paczliwe, histeryczne krzyki dziewcząt. Jakież także (musiały znosić męczarnie! Jak wielki przeżywały strach

Ostatnią świadomą myślą modliła się, by Sabat stał wyzwaniu, by straszna zemsta dosięgła wyznawc Wielkiej Lilith.

Mandy Wickham wędrowała ciemnymi ulicami. pulchna twarz - otepiała i pozbawiona wyrazu - rób koszmarne wrażenie. Pantofle Mandy szurały po chód ku. Zaglądała w każdy ciemny zaułek, wysilając obol od płaczu oczy. Napięcie, które przeżyła, zamroczyło Płakała do czasu, gdy spod jej piekących powiek chci. jeszcze płynąć łzy.

Policjanci nic nie pomogli. Jej nieszczęście zupełnie | nie poruszyło. Mogli sobie pozwolić na zupełną obój ność. To nie ich dziecko. Zdobyli się jedynie na spisa relacji i włączenie jej do akt. Wyrazili nadzieję, że dziec gdzieś się znajdzie. Jeśliby tak się nie stało, to i tak mieli się czego obawiać. Postępowali zgodnie z przepi mi. Ileż dzieci ginie co dnia w tak wielkim mieście.

- Ten samochód, z którego wysiadła tamta kobiet, Ta, która tak sympatycznie przyglądała się małemu... C pamięta pani może numer rejestracyjny?

- Nie, oczywiście, że nie.

- A markę, rodzaj wozu?

- Nie mam pojęcia. Taki większy samochód, i pan, z tych co to czasem pokazują w telewizji w polic nych pościgach.

Konstabi westchnął i spojrzał w niebo. Po chwili za-ł znowu.

- Jakiego koloru był ten samochód?

- Czerwony.

- Świetnie. To pierwsza rzecz, którą udało nam się bis ustalić. Czy przyjrzała się pani uważniej mężczyźnie, pory prowadził?

t Nim policjant zupełnie stracił cierpliwość i poszedł sodę, Mandy wszystko się pokręciło, pomieszało.

Zaczęła tekać. Niebawem płacz zamienił się w szloch. Nie pano-jfała już nad sobą. Rzucała różnymi przedmiotami o trudną ścianę swego małego pokoju.

W końcu upadła Ityczerpana na zabłoconą podłogę. Leżała tak przez parę godzin. Robiło się już ciemno, gdy podjęła decyzję. Nale- (y działać, leżenie nic nie da! Pójdę szukać Davey'a - kała.

[Nareszcie poczuła, że ma coś do zrobienia. To uspokoiło ją trochę. Cieszyła się, że nie musi siedzieć i nasłuchiwać, czy nie zadzwoni telefon, który teraz milczał jak ikłety. Gliniarze nie wrócą, by jej powiedzieć, że odna-żli dziecko.

Najprawdopodobniej już dawno o nim za-wniali.

Skończyli zapewne służbę i siedzą teraz w ja-iejś zadymionej knajpie. Zastanawiała się, czy nie należa-bby iść z prośbą o pomoc do rodziców.

Stwierdziła jed-|ak, że to bez sensu. Nie jest już małą dziewczynką. R^szyscy w rodzinie byłiby zadowoleni, że straciła dziecko. Nieślubne dziecko.

Bękart, który przynosił tylko |aóbę i wstyd, a którego wcale nie chcieli oglądać. Albo... •ć do

Wielkiego Davida... nie, jego to nic nie obchodzi. yć może wściekłyby się, gdyby tylko wspomniała, że to go dziecko. Była więc zdana na siebie. To dodało jej sił.

Narzuciła byle jakie okrycie i wyszła. Nie bardzo wie-

75

działa, dokąd iść. Nie rozumiała, do czego tamta kob mogła potrzebować małego Davey'a... chyba że stara nie mogła mieć własnych dzieci i zdecydowała się zwę< bachora innej.

Kiedyś w telewizji widziała program o takich suka co to kradły biedne, niewinne maleństwa innym matk< Mandy wzruszyła się niespodziewanie. Łzy spływały po upudrowanych policzkach. Te kretynki próbowały są sobie wmówić, że są faktycznie matkami. Z drugiej st ny... promyk nadziei przemieszanej z lękiem zaświtał jej głowie... czasami, gdy zdawały sobie sprawę z tego, zrobiły, ogarniał je strach i porzucały dzieciaki w dzi nych miejscach: na progu domów, na przystankach, n wet w koszach na śmieci. Mój Boże! Myśl o Davey'u p zostawionym w kopcu śmieci pchnęła ją do desperacki poszukiwań. Grzebała w municypalnych koszach t zwracając uwagi na brud i rany, jakie pojawiły się na j grubych, brzydkich rękach, gdy trafiały na ostre prze mioty.

Swoje poszukiwania zaczęła za urzędem pocztowyn gdzie dziecko zniknęło z wózka. Samochód odjechał i dół High Street. Minał zapewne pierwsze światła - szikanie dziecka przed nimi nie miało więc sensu. Po prost musi iść naprzód, główną drogą, być może porzucili g gdzieś tutaj przed... nie. Boże, tylko nie w Tamizie!

Mandy męczyła się szybko. Nie nawykła do wyprądalszych niż do pobliskich sklepów. Zmuszała się do p< wolnego marszu. Odpocznie, coś wymyśli. Nie będz bieгла. - Proszę, kimkolwiek jesteś, zwróć mi moje dziei ko! Są przecież tysiące innych, kórych nikt nie chce. 0< daj mi Davey'a. Proszę! - Nie wiedziała kogo, a przeci< prosiła, błagała.

Dawno już minęła granice dzielnicy handlowej. Stała ezradna w mroku pustej ulicy. Przed sobą miała dziesiąt-i porzuconych budynków. Były to domy przesiedlonych Bugrantów; narożne sklepiki, które nie wytrzymały kon-urencji z sieciami nowoczesnych, eleganckich supermar-etów.

Ogarnęło ją przygnębienie.

I Niemal upadła potknąwszy się o wystający próg. Za-uęła cicho. Doszła do wniosku, że miejsce to jest dobre ek każde inne, by odpocząć i rozprostować utrudzone Bogi. Usiadła. Z natężeniem wpatrywała się w gęstniejący mrok. Widziała światła samochodów przejeżdżających za Krzyżowaniem przy końcu ulicy. Nikt l u już me przycho-|ził... z wyjątkiem, być może, porywaczy Davey'a. Dziec-KO mogli porzucić wszędzie, na jakimś zapomnianym Bnietniku... do rana może już nie żyć.

| Znowu zaczęła drzeć, lecz instynkt macierzyński zmu-lił ją do logicznego myślenia, do swoistej kalkulacji. pczywiście w glanicach jej skromnych możliwości. Jeśliby pavey był gdzieś w pobliżu, słyszałaby jego płacz. Wrze-czałby tak jak w domu. Nie lubił ciemności. Bez swiat-, bez ciepła i bliskości matki - szalałby z przerażenia.

Nagle coś usłyszała. Jakiś lekki, delikatny dźwięk, jakby szelest ubrań... wyprostowała się. Znowu to samo. tyl-KO wyraźniej, bliżej. Szybko podniosła się,

gotowa biec tam skąd dochodził głos. Nagle uświadomiła sobie że Ktoś się do niej zbliża.

| - Kto.. to'? - Mandy nie oczekiwała, że kogoś tutaj iBpotka.

l - HelSo. No proszę. Jaka piękna istota sama o tak Ipóźmej porze. Nie masz na dziś chłopaka, kochanie? - l'ozległ się niemal drwiący głos.

Mandy wstrzymała oddech. Próbowała określić wyg-
77

ład mężczyzny. Sądząc po głosie był to młody człowiek nastolatek, niewysoki, ogolony na "skina".

- Ja... utraciłam dziecko. - Trudno było nadać t słowom brzmienie, które oddałoby udrękę ostatnich dv nastu godzin. - Ukradzono mi je. Miałam nadzieję, że ktoś porzuci je gdzieś... i ja je znajdę.

- Więc to twoje dziecko, tak?

Była zaskoczona. Nie mogła wymówić słowa.

- Co... co mówisz?

Z trudem zadała pytanie, mając nikłą nadzieję, że a zumiała go właściwie.

- Zapytałem, czy to twoje dziecko, tak?

- Ty... ty znalazłeś Davey'a?

- Właśnie. Był zawinięty i spał jak zabity.

Nieznajomy wybuchnął śmiechem. Nosił ciemne ub nie i poza konturem twarzy był prawie niewidoczny.

- Zabierz mnie do niego. Błagam. Zabierz mnie mojego dziecka.

- Oczywiście. - Wyrostek oparł się o ścianę za żywszy nogę na nogę. - Lecz wszystko we właściw;

czasie. Nie popędzaj mnie. Mamy całą noc, kochanie.

- Chcę mieć moje dziecko. Dobrze. Zrobię wszystko żeby...

- To ciekawe, kochanie. Zrobisz wszystko, by dostać dziecko, czy tak?

Chłodny lęk ściał jej serce, gdy ukryta w tych słowach sugestia dotarła do jej otępiałego mózgu. Czuli się jak zaskoczona. Coś dusiło ją w gardle. To nieważne. Była tak wzruszona. Więc mały Davey - żyje! Żyje i śpi spokojnie. O Boże! Gdyby tylko mogła go zobaczyć!

- No więc, kotku, tak czy nie? Bo jeśli nie to żegnajcie...

**- Nie, proszę. - Rozpaczliwie powstrzymywała 3
78**

(acierzyński instynkt okazał się silniejszy niż kiedykolwiek).

- Co... - przełknęła ślinę tak, że z trudem wypowiedziała słowa. - Co chcesz, bym zrobiła?

- Nie jesteś zbyt inteligentna kochanie, prawda? OK, wyjaśnij mi to. To nic strasznego. Co byś powiedziała na D, żeby znaleźć jakieś wygodniejsze miejsce i popieprzyć i??

Mandy zacisnęła dłoń tak, że paznokcie wbiły jej się w skórę. Pieprzenie. W taki właśnie sposób określał to Wielki Dave. Zwłaszcza wtedy- gdy ogarniała go Zwierzę-3, dzika żądza. W chwili jednak, gdy chodziło o życie jej dziecka, wszystko traciło znaczenie. "Nazywaj to ciupcia-kiem czy

pieprzeniem - jak chcesz, smarkaczu" - myślała. To nie ma większego znaczenia. Liczy się tylko Da-ey.
- W porządku. - Oblizwała spieczone wargi. - Zro-ięto.
- Dobrze - zachichotał. - Chodź. Znam pewne su-le miejsce w jednym z tych domów. Są tam nawet mate-ice.

Złapał jej ramię zbyt mocno, by mogła iść swobodnie. [iała wrażenie, że nie puściłby jej, nawet gdyby zmieniła imiar. Gdyby dała do zrozumienia, że los Davey'a nic ją e obchodzi. Nie miała jednak ochoty rezygnować. Musi /korzystać każdą szansę! Nagle jej towarzysz przystanął i wciągnął ją w głąb smnego korytarza. Drzwi otworzyły się zaskakująco /obodnie. Gdy weszli do środka, silnym kopnięciem zagasnął je. Przesunęła się, zawadziwszy nogą o coś ostre->. Krzyknęła z bólu. Nie spojrzał nawet w jej stronę.

- Hej, tu jest zupełnie ciemno - odezwała się, by
79

przerwać milczenie. Jego spazmatyczny, głośny odde przerażał ją.

- My żyjemy w mroku - ton jego głosu zaczął pn pominąć monotennie powtarzane zaklęcia, uroczyste sl wa modlitwy. Na twarzy odmalowało się fanatycz uwielbienie.

- To świat Wielkiej Lilith, Bogini Ciemności.

- Słuchaj - jej głos załamał się - powiedziałam, pozwolę ci na wszystko, więc ruszaj się, a potem póki mi, gdzie jest dziecko.

Znowu zapanowała cisza przerywana jakimiś dźwięki mi - odgłosami, których nie umiała zidentyfikować. Mandy pomyślała, że chłopak rozbiera się. Zastanawiał się właśnie, czy też ma zdjąć część swej nieefektywnej gąsi deroby. Nagle chwycił ją z przerażającą wściekłością. Krzyczą łaby, gdyby jego palce nie zacisnęły się wokół jej gardła. Po co ją napadł - zdążyła jeszcze pomyśleć. Przecie obiecała, że... Kręciło się jej w głowie.

- Ohydna kurwo! - warknął, pocierając jej bo czymś, co trzymał w ręku. W panicznym lęku zasłoniła się ramieniem. Bała się, że mógł mieć jakąś pałkę albo nóż.

- Nie widziałem twego dziecka, chyba że było to ni(mówię, które pożarła Lilith, dzieląc się jego krwią ze sw) mi uczniami - oświadczył brutalnie. - Pijemy krew, b stać się silnymi. Ty i takie jak ty to pijawki na ciele gnije cego, rozlazłego społeczeństwa. Ludzie w tym kraju cz(kaja na nowego Mesjasza. On już jest pośród nas. Nać szedł silny i wielki - potężny. Wybrała go Bogini Ck mności. Ma stworzyć rasę panów. Przedtem musi jedna wykończyć to robactwo ulic, te tłuste sentymentalne istc ty, naiwne i tępe jak ty! Dlatego musisz umrzeć!

Mandy Wickham zdołała zaledwie coś wyszeptać, śmiertelnie przerażona. Oślepiający ból sprawił, że zaczęła się szarpać, gdy srebrne ostrze przebiło jej

skórę na szyi. Ostrze zagłębiało się w ciele.
Próbowała wydobyć przekłete ostrze z gardła.
Boże drogi, to jakiś zboczony morderca! - zdążyła
pomyśleć. Przyciągnął ją tu tylko po to, by zabić.
Poczuła, jak jej ciepła, lepka krew spływa wsiąkając
w używane brudne ubranie. I ten ohydny, mdły
zapach.

Dusiła się. Jej gardło zalala krew. Poczuła ssanie.
Tak jakby ogromna pijawka przywarła do jej
spoconej, niedomytej szyi.

Nagle w ciszy zabrzmiał głos puszczyka. Tajemnicze,
groźne pohukiwanie drażniło jej zmysły z
niesłychaną siłą. W ostatniej chwili przestała myśleć
o sobie. Widziała Da-vey'a, jego ciemną skórę,
miękką i delikatną w dotyku. Widziała, jak wyciąga
ku niej swoje drobne rączki i płacze. I stało się tak,
jakby dziecko i matka w jakiś dziwny sposób
spotkali się w miejscu, gdzie nie b} to bólu, gdzie
nikomu nie przeszkadzał bezruch i chłód. Spoglądali
z wysoka na opustoszałe ulice slumsów, po których
odziane w ciemne stroje postacie kroczyły jak cienie.
To jeźdźcy Apokalipsy, aniołowie zagłady, wyznawcy
czarnej religii - zwiastujący zło. Była szczęśliwa, że
jest ze swym dzieckiem, że wszystko się skończyło, że
brud miasta został gdzieś w dole.

Rozdział VI

- Dobrze. - Sierżant McKay z wydziału śledczego wpatrywał się natarczywie w Sabata przez mgielkę papie- _ rosowego dymu. - Nie możemy już dłużej trzymać tego w sekrecie. Zapewne przeglądałeś poranną prasę.

- Owszsm. - Sabat, którego pracownik CID-u po raz drugi wyrwał z łóżka, owinął swe nagie ciało miękkim szlafrokiem.

Pułki Drakuli najeżdżają miasto - tak to właśnie idiotycznie brzmiało - pułki Drakuli...

- Ile mamy ofiar?

- Osiemnaście do wczorajszej nocy. Nie wątpię jednak, że nasze patrole odkryją więcej ciał jeszcze dziś rano, może zaraz, za chwilę! Sądząc po tym, że sypiasz w dzień, Sabat, mogę podejrzewać, że nocy nie spędzasz w domu. Domyślam się, co robisz.

- To prawda - odpowiedział powściągliwie, hamując gniew.

Co ich, u Ucha, obchodzi, jak spędzam noc! To nie ich interes! Nie zdradzę się ani jednym słowem - myślał. Nie mógł przecież pozwolić na to, by go śledzili, by zdradzali go swoją niezręcznością i demaskowali swym policyjnym stylem bycia.

Przekłęci gliniarze! Dlaczego nie pozwalają mu działać samotnie.

- Spędziłem bezowocnie chłodną noc. Nic nie widziałem. Nic nie słyszałem. Straciłem całą noc, przyznaję - bez sensu.

82"

- Szef przypominał psa chwytającego własny ogon. Robił dużo hałasu i kręcił się po tych samych śladach. Jego działanie to gra pozorów, a on sam stał się groteskowy i śmieszny. Szykuje się jednak niezły numer. Wielki karnawał w Notting Hill ma być demonstracją weteranów. Osiem faszystowskich grup zapowiada manifestacje uliczne w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Każda ma występować pod inną nazwą. Minister Spraw Wewnętrznych nie może im tego zabronić bez przekonującego powodu. Pościągano już wszystkich z urlopów, sprowadzono tabuny policjantów. Niektórzy chłopcy pracują po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Naprawdę jest niewesoło. W mieście zaczyna się szerzyć histeria.

- Czy ci nie przyszło do głowy, że może istnieć jakiś związek między tymi pozornie odległymi sprawami?

- Masz na myśli te morderstwa i faszystowskie awantury?

- To może być jakieś rozwiązanie.

- Zapewne. Na razie jednak znamy osiem czy dziesięć różnych odłamów skrajnej prawicy.

Nieustannie się o coś oskarżają, walczą ze sobą. Nie ma więc szans na stworzenie silnego, nazistowskiego koalicyjnego reżimu. - Może to jest kupa gówna i zwyczajna propaganda, coś co ma zamydlić ludziom oczy?

Sabat uśmiechnął się dziwnie. - Nowa armia Hitlera już maszeruje.

- Czy ty coś wiesz? Coś szczególnego, co mogłoby się nam przydać?

McKay pochylił się. Teraz był czujny, uważny. Szukał tropu, śladu. Może Sabat wie więcej niż oni. Może jednak próbuje coś zataić?

**- To po prostu przeczucie, domysł - stwierdził Sa-
83**

bat beznamiętnie. - Zazwyczaj się je lekceważy. Jednak nie pozwól im się zwieść, choć oczywiście mogę się absolutnie mylić ~ dodał, Agent CID powitał.

- Zapamiętam to. Dziękuję za wskazówkę. Kiedy odchodził, dobrze wiedział, że Sabat już coś postanowił. Nie zdradzi mu swego odkrycia, chyba że akurat będzie mu to na rękę. Nie wcześniej jednak. W tej chwili Scotland Yard był bezradny. Każda informacja mogła naprowadzić na fałszywy trop.

Gdy Sabat został sam, spróbował skontaktować się z Iloną. Sygnał rozbrzmiewał wyraźnie, ale nikt nie podnosił słuchawki. Uparcie ponawiał próbę, wielokrotnie wyk-ręca^ ten sam numer. Na jego spokojnej twarzy odmalowało się zdumienie. Ilona nie mówiła, że wyjedzie. Poza rym były przecież tamte dwie dziewczyny: Jackie i Emma. Co do licha! Coś się tam ch\ba stało.

Ogarnęło go dobrze znane uczucie. Pewność, że wydarzyło się coś złego. Nie krył już zdenerwowania. Gdzieś z wewnątrz dos/edł go szydrczy śmiech

Quentma. Jego chichot zmroził Sahata. Jego brat rzadko się mylił w takich sprawach.

Sabat pośpiesznie wyszedł z domu. Wycofał daimiera ze spokojnej zatoczki. Z brawurową szybkością włączył się w główny nurt ulicznego ruchu. Z najwyższym trudem opanował uczucie buntu. Chciał trąbić, krzyczeć, przeklinać. Wygrażał pięścią pod adresem kierowców wlokących się samochodów, które zatrzymywały się co kilka jardów. Może mimo wszystko się mylił. Może Ilona z dziewczętami poszły do miasta na większe zakupy.

Quentin był innego zdania i to wystarczyło, b) mięśnie

84

Sabała naprężyła się aż do bólu. Pokutująca dla brata funkcjonowała jak najdoskonalszy system ostrzegawczy.

Tym razem zrobił się cholerny korek. Droga była pełna samochodów, a sygnalizacja świetlna zablokowała się. Dojeżdżające pojazdy jedynie zwiększały gigantyczny zator. Dwóch mężczyzn w pomarańczowych kamizelkach grzebało w kontrolnych skrzynkach świateł. W końcu jednak rozpoczęli tradycyjne, ręczne kierowanie ruchem. Czekająca masa limuzyn, furgonetek i ciężarówek powoli ruszyła. Nim Sabat wydostał się z pułapki, upłynęło dwadzieścia minut.

Daimier zdawał się podzielać rozgoryczenie kierowcy. Zazwyczaj gładko pracujący silnik, teraz

szwankował. Coś tam się działo pod maską, skrzypiało, chrobotalo.

Sabat był doskonałym i wrażliwym kierowcą. Gdy siedział za kierownicą, samochód stawał się jego częścią. Tworzyli jeden doskonale funkcjonujący organizm.

Ostatni odcinek drogi był najgorszy. Rząd ciężarówek i kolejny zator" -- komuś wysiadł silnik. - Cholera, akurat teraz!

Nikt nie zwracał uwagi na tworzący się kilometrów[^] korek. Sabat wciąż słyszał histeryczny, przenikliwy śmiech Quentma.

W końcu, gdy wjechał \v uliczkę, przy której mieszkała Ilona, niespodziewany widok sprawił, że omal nie stracił panowania nad kierownicą i nie zderzył się z zaparkowaną przy krawężniku furgonetką.

Policyjne samochody i czarny mikrobus siały przed posesją numer 66. Mogły się tu zjawie tylko z jedengo powodu. Sabat już wiedział, że przeczucia okazały się prawdziwe. Przed domem Ilony stał poiiicjant 'i pilnował wejścia. Sabat zaparkował samochód

85

Quentin śmiał się w nim jak szalony! Sabat był pewien, że Ilona nie żyje. Całą winę wziął już na siebie. Nie powinien był zostawiać jej samej. Trzeba było zabrać Ilonę i dziewczęta w jakieś bezpieczne

miejsce. Nie wkalkulował w swą walkę śmierci Ilony - to był błąd. Ale teraz było już za późno.

Upiory mordujące pod osłoną ciemności zapewne odnalazły dom, w którym zginął jeden z ich współbraci. Najprawdopodobniej któryś z włóczących się wampirów dostrzegł Sabata, jak wynosił stąd ciało wyrostka.

- No, no. Sabat. Wystarczy chwila nieuwagi i znów się spotykamy.

Sabat odwrócił się gwałtownie. Tak był pochłonięty własnymi myślami, że nie usłyszał, jak czarny Ford Granada zatrzymał się tuż za nim.

Sierżant McKay wysiadał z samochodu. Towarzyszył mu jakiś facet, także w mundurze.

- Co się tu dzieje? Co się tu u diabła stało? Głos Sabata zabrzmiał ostrym dysonansem. Jego ponura twarz była bardzo blada.

- Powinieneś wiedzieć. - McKay patrzył nieufnie, niemal wrogo. - Dotarłeś tu przede mną.

- To przeczucie, o którym ci wspomniałem - odparł z ironią. - Poszedłem za nim. Miałem nadzieję, że się mylę. Moje przeczucia rzadko mnie jednak zawodzą. Niestety - dodał.

- Ktoś telefonował, kiedy wracałem do Yardu - McKay ruszył szybko przecinając ulicę. Dał znak, by Sabat szedł za nim.

- Skoro już tu jesteś, to sędzę, że możesz się temu przyjrzeć.

Przed domem numer 66 zaczęły się gromadzić następ-

ne samochody. Niewielki, żądny sensacji tłum uformował się przed drzwiami.

- Zastrana prasa! Wszędzie węższą! - mruknął McKay w tym momencie, gdy konstabl otwierał drzwi, by wpuścić trzech mężczyzn. - Czasem mam wrażenie, że są uczuleni na zapach krwi w powietrzu; są nieomal zawsze równocześnie z policją - dyszał.

"A może zostali poinformowani przez kogoś - pomyślał Sabat. - Ktoś chciał mieć pewność, że sprawa dostanie się na łamy porannych wydań. Mordercy pragną reklamy."

Swoimi przypuszczeniami nie podzielił się jednak z nikim.

W środku było już kilkunastu detektywów. Dom Ilony zrobił się nagle gwarny, jak w czasach największej prosperity. Drzwi prawie się nie zamykały.

W holu słychać było szmer przyciszonych rozmów. Sabat szedł za McKay'em. Podążali dobrze znanym korytarzem w głąb mrocznej piwnicy.

- Jezu Chryste! - McKay jęknął przez zaciśnięte wargi.

Widok, który się przed nimi roztoczył, spowodował, że Sabat wciągnął w płuca powietrze i wstrzymał oddech.

Ten koszmar zadał mu ból. Spłynęła nań gwałtowna fala przerażenia. Serce w nim zamarło. Poczul

ogromny żal i złość. Chłodna wściekłość sprawiła, że zaczął drżeć.

Uczestniczył kiedyś w prywatnym pokazie dokumentalnego filmu - relacji o potwornościach z faszystowskich obozów tortur, o nieludzkim traktowaniu ludzi przez ludzi. Jednak nawet sadystyczna pomysłowość faszystów nigdy nie zaszła tak daleko. Dziś dopiero pokazali, na co ich stać.

87

Bezwładne, żalosne ciało Ilony zwisało ze ściany. Z trudem je można było rozpoznać. Skórę pokrywały wyschnięte strużki krwi. Głowa opuszczona na jeden bok odsłaniała ziejącą, okrągłą ranę w gardle, a wokół niej zakrzepłą purpurowo-brązową skorupę. Krew była wszędzie. Częściowo jeszcze lepka. Jej mdły zapach przenikał powietrze, wypełniał nos i płuca. Sabat wpatrywał się w ciało Ilony. Również na udach i ramionach dostrzegł podobne rany. Domyślał się już, jaki był przebieg zdarzeń. Tak jakby czytał książkę. Mord został popełniony z żądz zemsty. Ofiarę skazano na powolną śmierć. Życie zaczęło z niej uchodzić na długo przedtem, nim igła położyła mu kres, zanurzając się w tętnicy. Sabat kipiał z wściekłości. Wraz z detektywami wszedł na pierwsze piętro, gdzie powitał go jeszcze jeden obraz śmierci i tortur. Całe pomieszczenie poplamione było krwią. Prześcieradła pod ciałami dziewcząt były nią przesiąknięte aż do materacy.

Na łóżku leżały Jackie i Emma, dwie nie tak dawno jeszcze pociągające dwudziestolatki pracujące dla Ilony. Na ich szyjach widać było również charakterystyczne rany. Nic poza tym. Jeśli nie znało się tła zabójstwa, zbrodnia ta mogła wydawać się kompletnie niedorzeczna.

Taki będzie również twój koniec, Sabat!

Wzdrygnął się, gdy usłyszał wyraźnie słowa Quentina. Zło, które znalazło siedzibę w duszy brata, zostanie uwolnione, gdy Sabat umrze. Mimo całej rozpacz i gniewu Sabat zrozumiał ostrzeżenie. Jeśli uczniowie Lilith wiedzieli, gdzie szukać Ilony, i wiedzieli, jaki był jej udział w walce z nimi, to musieli także mieć świadomość, że Sabat jest na ich tropie. Bez wątpienia również jego imię znajdowało się na faszystowskich listach śmierci. Mało prawdo-

podobne, że będą zwlekać z próbą uregulowania rachunków!

- Myślę, że nie ma co żartować z twoich przeczuć - mruknął McKay. gdy Sabat zbierał się do wyjścia. Sabat z dezaprobatą potrząsnął głową.

- Moje przeczucia sprawiłyby, że przez najbliższy miesiąc cała policja biegałaby w koło jak opętana, a mimo to nic by nie działała. W tym samym czasie te "wampiry" korzystając z zamieszania polowałyby jak nigdy.

- Hm... - wargi detektywa zacisnęły się. Sabat mówił tylko wtedy, gdy był do tego przygotowany. Nigdy wcześniej. - Wypuścimy nocne patrole. Ustawimy

kilka policjantek jako przynętę. Damy im ukrytą obstawę.

Sabat odparł, że to strata czasu i niepotrzebne narażanie policjantek na ryzyko. Sposób, w jaki te rozszalałe wyrostki polowały i mordowały, był tak niezwykły i tak skuteczny... jakby to oni przeszli niebyle jakie szkolenie. Skuteczniejsze od tych, jakie mogła im zaoferować jakakolwiek faszystowska organizacja.

- Albo szkolenie... albo skutecznie używali ciemnych mocy! - warknął, jakby do siebie. - Nie można tego absolutnie wykluczyć.

- Dobrze wiem. Sabat, że nie będziesz zabiegał o kontakty ze mną, lecz ja spróbuję. - W głosie McKay'a można było wyczuć nutę żalu.

Po chwili Sabat opuścił dom Ilony.

W drodze powrotnej myślami uciekał daleko. Jak robot, z największą precyzją prowadził samochód. Nie dopuszczał do siebie żadnych zbędnych szczegółów. W jego analitycznym umyśle nie było miejsca na nieistotne drobiazgi.

89

Wszedł do domu frontowymi drzwiami. Wiedział, że teraz przede wszystkim musi rozpalić swą wściekłość, doprowadzić ją do białości, a potem ograniczyć do kontrolowanego gniewu. Stan, w którym był, jego rozedrgane uczucia, mogły utrudnić rozumowanie i właściwą ocenę faktów. Dawało to uczniom Lilith wyraźną nad nim przewagę.

Zszedł schodami do piwnicy, do rozległego kwadratowego pomieszczenia. Znajdował się tam różnoraki sprzęt sportowy. W pewnym sensie przypominało to piwnicę Ilony, ale wewnątrz nie było zaprojektowane z myślą o masochistycznych rozkoszach.

Był tam koziół gimnastyczny, sznury do wspinania się, wór bokszerski i różne trapezy. W odległym końcu urządzono strzelnicę z kulochronem w tle. Sabat rozebrał się do naga. Jego mięśnie drżały z niecierpliwości, z żądzы wysiłku i z wściekłości, która po prostu wrzała w jego prężnym ciele. Zaczynała już kipieć. Blizna na policzku stała się bardziej widoczna, tak jakby gniew rozpalił ją do białości. Jego oczy płonęły.

Zaczął od bokszerskiego worka. Strumień ciosów wprawił ten stukilowy przyrząd w drżenie.

Uderzenia były błyskawiczne i wściekłe. Każde trafiało dokładnie w cel. Liny, przy pomocy których wór przymocowany był do podłogi, mogły pęknąć w każdej chwili. Przez czerwoną mgiełkę dostrzegł nieznaną twarz. Mogła należeć do szefa oprawców - samozwańczego faszystowskiego Fuhrera. Chciał go tłuc, zniekształcić ten obraz. Po chwili ujrzął, jak żywą, Ilonę. Jej niepotrzebnej śmierci nic już nie odwróci. Sabat wiedział, że jedynie zemsta uspokoi jego sumienie.

Uderzał coraz szybciej. Dudnienie jego nagich pięści

na skórze wora brzmiało jak oddawane z oddalenia strzały maszynowego karabinu. Jego ciało pokryło się gęstym potem. Oczy zaszyły mgłą. Ledwie postrzegał otoczenie, a jednak każdy cios sięgał przeznaczenia. Bił bez przerwy, systematycznie, do czasu, gdy jego wewnętrzna wściekłość zaczęła słabnąć. Dopiero wtedy podbiegł do konia i swobodnie go przeskoczył. Potem przyciągnął trapez. Z niego, z siłą i zręcznością pawiana, przeskoczył na liny. Gdy wspinał się, nabrzmiałe mięśnie drżały. Wysilek był ogromny, znacznie przekroczył poziom znany mu ze zwyczajnych treningów. Wreszcie znieruchomiał. Oddychał odrobinę szybciej niż przed ćwiczeniami. Podeszedł do rozrzuconych ubrań i znalazł swoją 38-kę. Spokojnie wziął pistolet. Dłonie już mu nie drżały. Jedną przytrzymał broń, drugą podpierał uchwyt. W dali widniał cel - sześć celi. Były to szczapy drewna opałowego wciśnięte w piach. Ich szerokość nie przekraczała ćwierci cala. Strzały były niemal tak szybkie jak ciosy wymierzone w boksyński worek. Ogłuszające echo wy-.pełniło dźwiękoszczelne, zamknięte pomieszczenie. Powietrze zgęstniało od gorzkiego dymu. Gdy Sabat opuścił broń, po szczapach pozostały jedynie drzazgi, rozrzucone na czerwonym piasku. Nic właściwie nie ocalało.

Schował 38-kę do futerału w marynarce. Ruszał się teraz JUŻ wolniej, z większym opanowaniem. Nie był zmęczony. Ogarnęło go uczucie odprężenia i

**zadowolenia. Stał się człowiekiem, który bez
uszczerbku przeszedł przez ogień piekieł.
Po chwili zniknął za zasłoną prysznicą. Westchnął w
zimnych strugach orzeźwiającej wody. Ta kąpiel
zmieniała wyraz jego twarzy. Pojawił się na niej
smutek, który zetrzeć mogła tylko tryskająca woda.
Jeśli nawet płakał, to**

91

**Izy splukiwane znikwały bez śladu. Tak. Nawet Sabal
czasem płakał.**

**Wytarł się ręcznikiem do sucha i zaczął się ubierać.
Potem wolno wydobył z rewolwera puste łuski i
ponownie go starannie załadował. Jego nozdrza
rozszerzały się rytmicznie. Próbował opanować
oddech. Walczył ze złością i nienawiścią, jaką budził
w nim Front Wyzwolenia. Znowu zmienił się w
maszynę do walki. Był groźny, a może nawet
groźniejszy niż wtedy, gdy działał w SAS.**

**Wiedział dobrze, że niebawem Fuhrer nasię na niego
morderców. Był gotów ich przyjąć!**

**Trzecli wyrostków spotkało się w półmroku
budowlanego placu. Na ich twarzach malowała się
niepewność i obawa. Żaden z nich nic nie mówił -
rozmowa była zakazana. Nigdy nie przyszło im na
myśl, by łamać ten zakaz. Pouczenia,
przypieczętowane palącym wzrokiem Flihrera, na
trwale wpijały się w ich pamięć. Nie istniały dla nich
pojęcia ani porażki, ani sukcesu. Zabijali już
wc/eśniej. Dziś znowu ruszają na polowanie.**

Okropień-stwo sprzed dwóch nocy. gdy mordowali wraz z Fuhre-rem, wódz zatarł w ich pamięci. On sprawił, że zapomnieli wszystko, co mieli zapomnieć, podobnie jak z jego mocy pamiętali wszystko, co mieli zapamiętać. Byli żołnie--^ami w jego lunatycznej armii.

Zadanie brzmiało konkretnie: nazwisko i adres. Zlokalizowali JUŻ miejsce, w którym stał dom i przyjrzeni mu si? z oddal' w gęstniejącym mroku. Upewnili się, że nikt ich nie widzi. Teraz musieli tylko czekać. Nie byli już zdenerwowani. Mieli po prosta jeszcze jedno zadanie. Dumni bv3i ze swej służby. Nazwisko. Powtarzali je wielokrotnie
92

w myśli Sabat... Sabat... Sabat... To człowiek, którego mieli zabić!

Nastala noc. Ciemność zarzuciła swą oponczę na dzielnicę na wpół ukończonych domów. Szczegóły zatarły się. Nawet gwiazdy niechętnie pokazywały się tej nocy - była to noc Zła.

Czekali cierpliwie. Nie ruszali się, ale uporczywie. wręcz bezprzytomnie wpatrywali się w czerń nocy. Wiedzieli, kiedy mają ruszyć. Usłyszeli pohukiwanie sowy. Gdy wypełnią zadanie i wrócą tu ponownie, powinni odpowiedzieć tym samym głosem. Wtedy zbiorą ich razem. Potem długie godziny spędzą leżąc w budzie trzęsącej się furgonetki, ukryci pod stosem koców, dopóki z powrotem nie dojadą na miejsce. Tam, gdzie nie ma budynków, a są jedynie drzewa i

łąki, gdzie ukradkiem przemyka zwierzęcy drobiazg w mroku nocy. Dopiero tam będą się bać.

Ruszyli w milczeniu szeregiem. Grube, gumowa podeszwy ich butów tłumili kroki. Co jakiś czas przystawali, by czujnie nasłuchiwać. Potem ruszali znowu. Gdy dotarli do oświetlonych ulic, zrzę/Rie korzystali z cieni. Nikogo jednak nie spotkali Dawno już minęła północ.

Ujrzeni kontur znajomego domu. Rosnące wokół niego krzewy świetnie nadawały się na kryjówkę.

Znowu czekali. Nie musieli się śpieszyć.

Sabat wiedział, że przyjdą tej noc\.' pewnym sensie cieszył się z obecności duszy Quentina, która sama będąc złem, z daleka zło wyczuwała, ostrzegając go skuteczniej, aniżeli zrobiłyby to jego zmysły i intuicja. Teraz Quenlin milczał, jak gdyby on także oli/ymał polecenie z jakiegoś nieznanego źródła. Czas już .->ię zbliżał.

93

Przed samym zmierzchem Sabat zamknął drzwi i sprawdził czy okna są bezpieczne Nieproszeni goście i tak, dzięki swemu przeszkoleniu, znajdą jakieś wejście Nie chciał jednak budzić ich podejrzeń Zastanawiał się -czy rzeczywiście posiadali jakieś nadprzyrodzone siły, czy polegali tylko na doskonałej strategii Jesl'by to pierwsze miało okazać się prawdą, to jego przygotowania mogą być niewystarczające Powinien wówczas szukać schronienia również w magicznym pentagramie Jeśli

prawdą było to drugie, to fakt zaskoczenia tylko by mu sprzyjał Z dużą satysfakcją sprawdził po raz kolejny 38-kę i włożył ją do kieszonkowego futerału W tym momencie przypomniały mu się Ilona, Jackie i Emma Jego rysy stwardniały Naczelna zasada - życie za życie - kazała mu więc teraz zabić trojkę przeciwników Potem natychmiast uszy na poszukiwania sycącego się krwią pająka, który ciągle wił swą purpurową sieć zła Po kolei zaczął wyłączać wszystkie światła w domu Na końcu doszedł do sypialni Wyłącznik nacisnął po upływie kwadransa od momentu rozpoczęcia wyciemniania domu Wrócił z powrotem na dół Teraz dla niego przyszedł czas czekania

Gdy mijali krotką, zwirową alejkę, na moment oświetlił ich pomarańczowy blask ulicznej lampy Mieli identyczne fryzury i ubiory Na lewych ramionach ich zniszczonych drelichów wyraźnie była widoczna swastyka Podwinięte nogawki spodni odsłaniały ciężkie, przyduże buty Rysy ich twarzy były zdecydowanie podobne Oczy płonęły, usta mieli ściśnięte i blade - nieomylny znak okrucieństwa Komuś, kto me widział ich nigdy przedtem, mogło się wydawać, że grupę łączą więzy krwi Tylne okno nie stanowiło specjalnej przeszkody Za-
94

ostrzona końcówka ssącej broni przecinała szkło jak dia-nent. Po chwili otwór, pozwalający na łatwe dosięgnięcie zasuw, był gotowy.

**Wkrótce wszyscy znaleźli się w środku. Zamknęli ?
kno. Przez chwilę czekali nasłuchując. W domu
panowa-ta zupełna cisza. Ruszyli lekko. Niemal
bezszelestnie przeszukiwali każdy pokój. Potem
przyszła kolej na gabinet, kuchnie i garderobę.
Wreszcie zdecydowali się iść na górę. Tu byli
ostrożniejsi. Palce spoczywały na uchwytach ich
morderczych przyrządów. Byli już pewni, że
mężczyzna, którego szukają, schronił się na piętrze.
Ale okazało się to wcale nie takie proste. W
sypialniach nikogo nie zauważyli. Na żadnym łóżku
nie znaleźli śladów.**

**Pięć minut później spotkali się u szczytu schodów.
Stali, zdziwieni, blisko siebie, nie bardzo wiedząc co
robić dalej. W końcu zdecydowali się zejść na dół i
rozpocząć poszukiwania od nowa. Nauki
zakodowane przez ich fanatycznego przywódcę
mówiły im, że byli nieuważni i coś przeoczyli.
Po kolejnych pięciu minutach trafili na drzwi,
których dotąd nie otwierali. Znajdowały się one przy
schodach, obok szafy. Stanowiły jakby część
podwójnego wejścia do schowka na miotły i sprzęt
do czyszczenia. Wkrótce otworzyli je. W bladym
świecie ulicznej latarni, wpadającym do środka przez
okno w holu dojrzeli jeszcze jedne schody, wiodące
prawdopodobnie do piwnicy.**

**Ostrożnie zaczęli schodzić. Gdy ostatni z chłopaków
minął próg, drzwi zamknęły się z lekkim
skrzypnięciem. Zaległ gęsty mrok. Ani promyka
światła. Zatrzymali się, mprzytomniwszy sobie**

daremność błędzenia po omacku ^po ciemnym, podobnym do grobowca miejscu. Łatwo mogli coś przewrócić i niepotrzebnym hałasem zdradzić i swą obecność.

95

Jeden z nich wyciągniętą ręką dotknął włącznika światła. Wyrostek zawahał się. Pamiętał zasadę: zawsze w ciemności. Potem zdecydował się zaryzykować. Tylko na tyle, by zorientować się w otoczeniu.

Po nagłym rozbłyśnięciu przerywanego światła lampy jarzeniowej musieli zmrużyć oczy. Zdziwieni westchnęli na widok tego, co zobaczyli.

Pomieszczenie przypominało salę gimnastyczną. Wszystko było schludne i utrzymane w najwyższym porządku. Każdy przedmiot nosił ślady właściwego użytkowania. Ujrzeli konia ze skórzanym, wypolerowanym wierzchem, dwie maty z sitowia, liny do wspinania oraz dół z piaskiem, w którym leżały roztrzaskane kołki i zgniecione kule.

I nagle dostrzegli Sabata!

Siedział okrakiem na wiszącym nad nimi trapezie, osiem stóp od ziemi. Był taki spokojny, jakby właśnie zakończył wyteżony trening. Wyraz jego twarzy jednak sprawił, że wycofali się o kilka kroków do tyłu. Sabat był trupio blady. Jego twarz przypominała emblemat z pirackiej flagi. Napięte pod ubraniem jak sprężyny mięśnie gotowe były

zrzucić go na nich. Jego oczy płonęły wściekle, tak jak oczy Fiihrera i Lilith.

- Parszywe skurwysyny - rozległ się głos podobny do syku jadowitego węża, gotującego się do skoku.

Nagle, bez ostrzeżenia, rzucił się na nich czarny anioł śmierci. Zaszybował bez mała jak sokół w locie, by po chwili uderzyć w niczego nie spodziewającą się ofiarę. Jego stopy zadały druzgocące ciosy. Twardym kopnięciem trafił w twarze dwóch wyrostków.

Rozszczepił kości, poranił skórę. Pierwszy atak rzucił ich na podłogę. Sabat nie czekał ani chwili. W okamgnieniu przygotował się do na-

96

stępnego starcia. Trzeci skinhead był wyraźnie zaskoczony, lecz nie zdradzał najmniejszego lęku. Zmarszczył swą szpetną twarz. Wydał nienawistny pomruk. Ledwie spojrzął na swoich towarzyszy wijących się obok z pokrwawionymi twarzami. Nikt nie mógł stawić czoła broni, którą właśnie uwalniał z przyszytego do wnętrza drelichowej kurtki futerału. Nawet Sabat!

Skinhead ćwiczył ten cios tysiące razy. Rywalizował z całą armią konkurentów, by ostatecznie zdobyć drugie miejsce. I nikt go nie prześcignął. Teraz jego ruchy stały się ociężałe i dziwnie sztuczne. W końcu szarpnięciem wydobył broń z futerału. Zrobił to dość szybko, lecz szybkość ta nie dorównywała pędowi twardej pięści, która uderzyła go w szczękę z nadzwyczajną mocą. Rozległ się metaliczny szczęk,

chrzęst, podobny do odgłosu repe-towania 38-ki. Krwawa broń uderzyła o kamienne płytki i pomknęła po wypolerowanej do połysku powierzchni podłogi.

Wyrostek miał wrażenie, że jak oszalały bąk kręci się w miejscu - szybciej i szybciej. Wreszcie stracił równowagę i runął na podłogę. W głowie migotały mu roje wielobarwnych gwiazd. Leżał nieruchomo. Czuł się tak, jakby umieszczono go na pokładzie promu, który znalazł się na wzburzonych wodach i przechylał się z ogromną siłą to na jedną, to na drugą stronę. Miał wrażenie, że za moment wymiotuje.

Sabat jeszcze w SAS do perfekcji opanował sztukę walki bez broni. Dobrze znał dolne kopnięcie nożycowe czy wzmocnione uderzenie hakiem. Takie chwytaki stosował, gdy konieczny był atak od góry. W trzy sekundy było już po wszystkim. Prędkie zwycięstwo usatysfakcjonowałoby każdego, lecz nie Sabata.

4 _ Krwawa bogini

7 /

Wpatrywał się w trzech powalonych wyrostków. Postrzegał teraz wszystko, czego cywilizowane społeczeństwo nienawidziło: swastyki, okute buty i dzikość twarzy, które, zmiażdżone, przypominały grzęzawisko. Przypominał sobie co tacy, jak ci tutaj wyrządzili Ilonie i dziesiątkom innych dziewcząt. Uświadomił sobie, jakim okropieństwom ich towarzysze mogą oddawać się nawet w tej chwili.

Wściekłość, która gotowała się w nim przez ostatnich kilka godzin, zaczęła znowu kipieć. Bokserski worek posłużył mu do treningu. Dzięki niemu mógł nabrać sprawności. Teraz miał już żywe cele i. dalibóg, zapłacą za to, co zamierzali z nim zrobić. Ruszył w kierunku pierwszej dwójki. Z ich kurtek wyjął "pistolety" i cisnął je, w ślad za pierwszym, na podłogę. Trójka wyrostków miała liczebną przewagę 3:1, ale Sabat nie dawał im jednak żadnych szans. - Wstawać, cholerne gnoje! - blizna na policzku Sabata ujawniła się z niezwykłą siłą. - Ruszać się! Możecie walczyć o życie.

Na twarzach wyrostków pojawił się lęk. Nie tyle lęk przed Sabatem, ile świadomość tego, że przegrali... a dobrze wiedzieli, jaka jest cena porażki. Gdyby jej nie znali, być może ukorzyliby się, błagali...

Przypomnieli sobie jednak bezwzględność Lilith i to, co robiła z tymi, którzy nie spełniali jej oczekiwań. W jakiś dziwny sposób dodawało to im sił. Powstali gwałtownie z kolan. Pobita, zakrwawiona trójka nadal zdecydowana była na walkę.

Sabat był zaskoczony. Nie oczekiwał tak jednomyślnej żądzy zemsty u tych, na których rany strach było spojrzeć. Rzucili się ku niemu. Zaczęli go walić pięściami, kopać kutymi butami. Jeden z impetem uderzył go w ramię. Sabat zatoczył się, potknął o gimnastycznego konia i ru-

nał na grubą matę. Dopadli go. Okładali pięściami, rwali ubranie. Krew z ich ran rozpryskiwała się na jego twarzy.

Nie stosowano żadnych reguł gry. Każdy walczył tak jak potrafił. Nagrodą zwycięzcy miała być śmierć przeciwnika. jego fizyczny rozpad, beznadziejna klęska. Wśród zwierzęcych warknięć napastników Sabat usłyszał donośny i wyraźny śmiech Quentina. I to właśnie dodało mu potrzebnej siły, by teraz wyjść z opresji.

Chwycił jakąś łydkę. Palce błyskawicznie ruszyły w górę. Namacał ciepło i miękkość krocza, i zgniół je żelaznym uściskiem. Napastnik podskoczył w górę przeraźliwie wyjąć. Coś rozlało się w ręce Sabata, przeciekło przez palce jak zgniłe jabłko, które spada z drzewa. Zluzował. Wiedział, że szansę wroga zmalowały.

Pozostała dwójka ponowiła atak. Jeden zaszedł Sabata z tyłu i próbował związać mu ręce, drugi właśnie przygotowywał się do rozstrzygającego kopnięcia w pachwinę. Sabat napiął się. Poczul niewiarygodną siłę chłopaka, który go trzymał. Był tylko jeden sposób, by pokonać żelazny uścisk... gwałtownie walnął głową w tył, krótko, kość w kość. Otaczające go ręce osłabły i Sabat w samą porę wysliznął się, przyjmując żelazny cios okutego buta w udo. Bolało. Nie było to jednak nic poważnego. Mógł walczyć dalej.

Szybko rzucił okiem za siebie. Dostrzegł zakrwawioną twarz. Nos i usta wyglądały jakby

zgnieciono je na miazgę. Trzeci napastnik ciągle wił się z bólu na podłodze, rękoma przytrzymując zmiażdżone jądra. Ten, który kopnął go w udo, zachwiał się i na moment stracił równowagę. Mruknął coś półgłosem i zatoczywszy się, cofnął o krok do tyłu. Walka z nim była jeszcze nie skończona. Był ciężko zraniony, ale zdecydował się nie poddawać aż do końca.

ca. Dostrzegł broń w kącie. Ruszył jak rozszalały byk. Sabat szedł za nim krok w krok.

Tym razem to Sabat wykonał pierwszy ruch - po gwałtownej zmyłce w lewo, która ściągnęła uwagę przeciwnika, nastąpił szybki, prawy hak, taki sam jak ten, który powalił go nieco wcześniej. Teraz cios był precyzyjny i zgubny.

Drugi wyrostek wyprostował się. Być może było to optyczne złudzenie, ale wydawało się, że jego stopy przez moment zawisły nad ziemią. Czubek jego podbródka był pęknięty jak przejrzały pomidor, skóra rozchodziła się na boki, a krew płynęła gęstą strugą. Wtedy Sabat uderzył go znowu. I jeszcze raz. Seria krótkich ciosów była szybka, niedostrzegalna dla oka. Padały potężne razy. Chłopak zgiął się, upadł na kolana i na sekundę zwiesił głowę. Odziana w tenisówek stopa trafiła go w gardło i niemal uniosła z klęczek. Coś chrupnęło, pękło głośno. Jego oczy błysnęły na moment. Potem wolno osunął się na podłogę.

Sabat był już przy pozostałych, nie dając im ani chwili wytchnienia. Przeciwnik już był powalony, nie można więc pozwolić mu powstać.

Wyciągnął rękę i złapał zgiętego w pół wyrostka, który przez cały czas trzymał się za krocze i cisnął go wysoko ponad swoją głowę. Ten za późno wyciągnął rękę. Za późno próbował złagodzić siłę rzutu. Ciało uderzyło w ścianę. Coś strzeliło tak, jakby ktoś nadepnął na suchą gałąź. Krzyk zamarł chłopakowi na ustach. Upadł na podłogę. Potoczył się i pozostał w bezruchu.

Dwaj nie żyją. Został jeden. Teraz przewaga była po stronie Sabata. Wspomnienie zmalretowanego ciała Ilony powróciło, gdy zaczął się zbliżać do ostatniego wyrostka. Znowu ujrzał jej rany. Strumyki zaschniętej krwi. Cierpia-
100

ła. Nie miała żadnych szans. Tak samo muszą skończyć ci trzej.

Trzeci wyrostek nie mógł ustać o własnych siłach. Nogi miał miękkie, jak z waty. Sabat złapał go za kołnierz drelichowej kurtki. Przytrzymał jedną ręką w pozycji pionowej, drugą zacisnął w pięść - pocisk, który miał za chwilę wystartować. Przez sekundę Sabat wpatrywał się w młodzieńczą twarz. Rysy już uległy zatarciu, oczy puchły i ciemniały. Sabat zaczął powoli rozumieć. Narkotyki, z pewnością, lecz nie tylko. Nieruchome, utkwione w jednym punkcie spojrzenie wyjaśniało wszystko - hipnoza!

Z trzecim napastnikiem było tak jak z gazetą, którą się w pierw czyta uważnie, a potem gniecie i wyrzuca. Cios wypuszczony przez Sabata runął na jego szczękę. W tej samej chwili ciało chłopaka poleciało do tyłu i uderzyło w ścianę. Po chwili bezwładnie osunęło się na podłogę. Nawet jeden bolesny jęk nie wydobył się z jego warg.

Sabat zaczerpnął powietrza w płuca i opanował oddech. Rozejrzał się uważnie wokół, lustrując pole bitwy. Wyższy z trójki, sądząc po nienaturalnym ułożeniu głowy. musiał mieć złamany kark.

Drugiemu bez wątpienia zmiażdżył czaszkę, trzeci najprawdopodobniej miał tylko złamaną szczękę i kilka wybitych zębów. Bez dokładnego badania trudno było cokolwiek stwierdzić. Sabat nie miał zamiaru zabierać się do tego. Jeden na pew'-no JUŻ nie żył Drugi z pewnością umrze wkrótce, a najszcześliwszy z nich wyzdrowieje we właściwym czasie, zniekształcony jednak do końca życia.

Sabat podniósł ..strzykawki'" i przypomniał sobie raz jeszcze, co urobił ze swym więźniem w piwnicy Ilony. Przez wzgląd na nią powinien dokończyć dzieła, które rozpoczął. Nie było U. jednak takie proste. Trudniej było

101

pozbyć się trzech ciał niż jednego. Mieszanie w to wszystko prawa będzie stratą czasu. Być może McKay poradziłby sobie z tym bez zbędnych

komplikacji. Nie wykluczone, że był jedynym policjantem, który mógł to zręcznie załatwić. Lecz nie w tej chwili. Sabat poczuł ogarniające go silne, dotkliwe znużenie. Gdy wspinał się po schodach, w całym ciele czuł ból. Jeszcze raz rzucił okiem na trzy unieruchomione ciała i zamknął za sobą drzwi. Do jutra. Teraz potrzebował snu. Umysł i ciało domagały się odpoczynku.

Gdy wchodził po szerokich schodach zastanawiał się, kiedy właściwie zamarły niemrawe docinki Quentina. Czyżby brat poniósł chwilową klęskę? Tego nie był pewien, ale wiedział, że walka była wystarczająco krwawa, by uspokoić go na jakiś czas. Sabat zatrzymał się na półpiętrze. Delektował się nocną ciszą londyńskich ulic. Teraz, gdy walka się skończyła, wszystko było takie spokojne. Słyszeć było jedynie pohukiwanie sowy, lecz nie przeszkadzało ono nikomu.

Rozdział VII

Tuż przed zaśnięciem kłębiące się myśli nie dawały Sabatowi spokoju, ale kiedy położył głowę na poduszce, zapadł nieomal natychmiast w głęboki sen. Teraz jego astralne ciało ożywiło się wyraźnie. Czuł, że chce go opuścić, że pragnie wybrać się jakby do pierwszego wymiaru. Czasem Sabat posyłał je tam

świadomie. Zwłaszcza jeśli istniało jakieś miejsce, które chciał po prostu odwiedzić. Zwykle jednak pozostawiał niespokojnemu, astralnemu duchowi swobodę wyboru. Teraz, gdy spał, czuł, że trzyma się go bardzo blisko, ale równocześnie odnotowywał w sobie jego rosnącą niecierpliwość. Być może w tej chwili powinien był szukać ochrony w penta-gramie narysowanym kredą pod dywanem sypialni. Być może powinien zmieść podłogę i wypełnić kielichy święconą wodą. Okazało się to jednak konieczne. Tym razem jego wrogowie byli wystarczająco realni - byli to skin-headzi-faszyści, pseudo-wampiry. Wiedział, że na dzisiaj walka już się zakończyła, a jutro zadzwoni McKay. Poda mu wszystkie szczegóły, a tamten pozwoli mu zająć się sprawą na dobre. Ale to nie interesowało Sabala. Bo cóż może go obchodzić zwykły bandytyzm czy szczeniacka armia działająca pod wpływem narkotyków i hipnozy. Imię Lilith realnie znaczyło niewiele, podobnie jak powoływanie się dzisiaj na Adolfa Hitlera. Mając o tych sprawach Sabat pograżał się coraz głębiej we śnie. Zdziwił się, że właśnie w chwili, gdy przekraczał granicę

nieświadomości, pojawiła się w jego myślach Katriona Lealan.

Po kilku sekundach już się unosił. Sunął w górę. Sufity i dachy nie stanowiły poważnej przeszkody dla jego astralnego ciała. Obejrzał się. W dole pozostały domy, malutkie trawniki, ogródki i ulice.

Wszystko było opuszczone. Gdzieś w pobliżu jego domu furgonetka ruszała z krawężnika. W Londynie samochody jeździły o każdej porze dnia i nocy, więc nie zwrócił na nią specjalnej uwagi.

Światło dnia rozlało się obficie. Po chwili nie widać już było domów ani samochodów - jedynie pusty ugór, na którym z rzadka rozsiane kaktusy walczyły o przetrwanie. Było coraz goręcej. Słońce wspinało się po nieboskłonie.

Sabat nagle wylądował. Teraz zmienił się w opalonego pustynnego podróżnika, którego jedyną część garderoby stanowiła przepaska wokół bioder. Z upału i słońca na jego skórze zaczęły pojawiać się pęcherze. Szedł. Nagie stopy wzbijały piaszczyste tumany. Nie przyśpieszył, nawet gdy dostrzegł wodę, wiedział bowiem, że to tylko fatamorgana, która rozplynie się w roziskrzonym powietrzu, gdy tylko podejdziesz bliżej.

Widział jeszcze wiele pustynnych miraży nim dotarł do Pola Bitwy. Być może ono również było złudzeniem, ale zawsze wyglądało tak samo. Ziemię pokrywały martwe, okaleczone ciała. Niektóre były jasne, ich skóra przypominała jego własną, inne zdecydowanie ciemniejsze. Siły Dobra i Zła raz jeszcze starły się w potyczce o wieczne panowanie nad światem. Nie było zwyciężonego ani zwycięzcy. Bezsensowna walka zapowiadała się po wsze czasy, chyba że pojawi się coś nowego, decydującego. Ewentualność ta stanowiła źródło nieznośnego lęku.

Sabat przystanął, wpatrując się w twarze martwych wojowników o ciemnej skórze. Ich podobieństwo do Quentina było wstrząsające, zdawać by się mogło, że łączą ich więzy krwi. Zadrżał mimo panującego wokół żaru.

Pożywiające się na miejscu dawnej rzezi sępy spoglądały na Sabata leniwie, lecz nie uciekały. Nie bały się nikogo. Były tak przejedzone, że ich zdolność lotu była niezwykle ograniczona. Przyglądały się beczelnie. Czekwały najwyraźniej, aż Sabat również dołączy do grona martwych.

Niespodziewany ruch przykuł na moment uwagę Sabata. Spojrzał w lewo. Leżało tu więcej trupów.

Ciała były poranione, z głębokimi śladami po mieczach i nożach. Stamtąd właśnie wyłoniła się wysoka postać odziana w białą tunikę i kaptur, chroniący przed promieniami słońca. Brodaty mężczyzna o krzaczastych brwiach i błękitnych, ożywionych oczach przyglądał się Sabatowi. Był sędziwy, miał zgarbione ramiona i sękaty dłonie.

- Wiedziałem, że przyjdiesz. Sabat - głos obcego był matowy.

- Czyżby Quentin obwieścił moje przybycie?

Wyraźnie nie mogę wśliznąć się na te ziemie, by mój brat nie zdążył ostrzec każdego przede mną - dodał.

- Wszyscy tu są martwi - zaczął mówić obcy mężczyzna. - Lecz dziś w nocy powstaną, a jutro znowu podejmą walkę. Tak będzie to trwało.

Wieczna walka. Ciemne siły życzą sobie tego.

Sabat przyjrzał mu się uważnie. Wiedział, że bogowie potrafili ukazywać się w różnych strojach. Czasami więc trudno było odróżnić w porę dobro od zła. To miejsce, przepojone śmiercią, było niebezpieczne i zdradliwe.

Przez kilka chwil panowała cisza. Sabat czuł własną
105

słabość. W tym miejscu mógł tylko słuchać woli bogów. Oczy nieznajomego skryły się pod kapturem, a jego wargi poruszyły się, ukazując w bolesnym grymasie szczerzące i połamane zęby.

- Lilith odeszła stąd - wymamrotał - do świata śmiertelnych.

- Na ziemi jej nie ma - odparł Sabat. - Używa się tylko jej imienia.

- Nie, to ona, nikt inny. Zawładnęła ciałem i duszą śmiertelnej kobiety szerząc zło. Z miejsca, gdzie czas nie istnieje, uciekła do Adama i nawet anioły posłane przez Boga nie mogły ściągnąć jej z powrotem.

Często nawiedza świat śmiertelnych jako demoniczny sukub, uwodząc mężczyzn we śnie, zniewalając ich dusze i polując na krew nowo n; rodzonych. Sanvi, Sansavi i Semangelaf, trzy anioły posłane przez Boga również nie mogły nic na to poradzić. Dlatego cieszę się, że cię tu widzę, Sabat. Tylko śmiertelny człowiek, z takimi jak ty siłami, może ją pokonać.

- Gdzie mogę ją znaleźć? - tętno Sabata szalało. - W imię Boga, powiedz mi, kimkolwiek jesteś.

- Niestety, nie mogę - westchnął mężczyzna. - Chyba że przypadkiem spotkasz ją i rozpoznasz. Nie mam prawa iść między śmiertelnych. Ta rzeź, którą tu widzisz, jest drobnostką w porównaniu z tym, co się stanie w twoim świecie, jeśli Lilith nie zostanie na czas unicestwiona. Wiesz przecież, że zaczęła już działać.

- Byłem świadkiem niegodziwości popełnianych przez jej uczniów - Sabat drżał. - Widziałem wcielenia tych, którzy są gorsi nawet od mojego brata Ouentina. Widziałem człowieka, który ma już na swoich rękach krew milionów ludzi.

- Możliwe, jednak Lilith już szerzy zło, oddana
106

krwawym planom, których celem jest zniszczenie cywilizacji. Potem zdobędzie najwyższą władzę nad światem. Powstanie piekło, o jakim nigdy nie śniliście. Nie przybyłeś tu ze swej własnej woli. Sabat. Zostałeś wezwany przez najwyższą władzę. Masz zapobiec straszному rozlewowi krwi na ziemi, wyniszczeniu rodu śmiertelnych. Niech twe ciało astralne znajdzie Lilith, nim nie jest za późno. Pamiętaj! Być może już ją znasz!

Sabat zamarł w bezruchu. W błękitnych czystych oczach starca dostrzegł iskierkę. Wiedział, że daje mu w ten sposób wskazówkę.

Zakazano mu brać udział w walce Dobra ze Złem w świecie śmiertelnych. Nie zawiódł zaufania bogów, ale dał Sabatowi znak: "Być może już ją znasz!"

Sabat odwrócił się. Gdy odchodził z przesiąkniętej krwią ziemi, czuł na sobie spojrzenie oczu nieznanego. Sępy uniosły głowy, by patrzeć, jak się oddala. Pożądliwie spoglądały na żywe, miedziane ciało Sabata.

Wkrótce uniósł się znowu. Z dala od tej strasznej krainy zmienił się w sokoła. Ptactwo rozpierzchało się na jego widok. Zwolnił. Unosiły go silne prądy powietrza. Jego astralne ciało błąkało się, niepewne swego przeznaczenia.

Wokół zajaśniało. Ogarnął go słoneczny blask. Tym razem nie czuł żaru, lecz przyjemne ciepło.

Uspokajał się powoli. Drażniła go tylko świadomość beznadziejnego zadania, które, wydawało się, przerasta jego siły.

Ziemia pod nim była zielona i świeża. Rzeka wiała się spokojnie przez łąki. Krowy szukały spoczynku w cieniu rozłożystej wierzby. Znowu widział pola i ogrodzone farmy. Jego uwagę zwrócił duży dom zbudowany o milę od drogi na rozległych wrzosowiskach. Wysokie cisowe żywopłoty chroniły go przed zimnymi wiatrami i zamieciami

107

oraz przed zainteresowaniem przypadkowych przechodniów.

Sabat unosiłby się bez wątpienia dalej, gdyby nie skrzydła, które, ku jego zaskoczeniu, same skierowały go ku cisowemu ogrodzeniu wielkiego domu.

Znowu zmienił postać. Tym razem stał się nurkującą jaskółką. Sokoły bowiem rzadko spotykano w tych okolicach i pewnie taki ptak budziłby niepotrzebne zainteresowanie. Zniżał więc teraz jaskółczy lot. Mógł się uważniej przyjrzeć wielkiemu domowi. Zbudowano go z białych i czarnych belek, którym teraz przydałby się już remont. Okna były tak brudne, jakby chroniły wnętrze domu przed okiem ciekawskich. Ogród o powierzchni co najmniej jednego akra, zaniedbany od lat, cały zdziczał. Pozostały tylko krzewy i trawa. Za domem otwierała się jeszcze większa przestrzeń. Było to ogrodzone, zarosłe pastwisko schodzące w kierunku świerkowego lasu i nieopodal wijącej się rzeki. Piękno zakątka szpeciły porzucone zniszczone przyczepy kempingowe i stare namioty. Ziemia wokół pokryta była warstwą śmieci. Przed okiem przypadkowych obserwatorów osadę chroniło ukształtowanie terenu. Przedstawiciele władz chyba tu nigdy nie zaglądali. A może nawet nikt nie wiedział o jej istnieniu.

Sabat jako jaskółka okrążył dom i usiadł na górnym parapecie okiennym. Próbował zajrzeć do środka. Ujrzał ogromną sypialnię, w której centralnym meblem było ogromne łóże z baldachimem. Leżała na nim kobieta. Miała długie, starannie uczesane jasne włosy. Rysy jej twarzy, z wyjątkiem pewnej surowości wokół linii oczu i ust, czyniły ją po prostu piękną.

Jej jędrne piersi ukryte były w skąym biustonoszu. Brzuch miała płaski i gładki. Szerokie biodra podkreślał

108

czarny pas. Nogi, w ażurowych pończochach, ułożyła lekko je rozsuwając. Mogła mieć równie dobrze dwadzieścia pięć albo trzydzieści pięć lat.

Była odprężona. Leniwie przeglądała magazyn mody. Czasem wydawało się, że na jej twarzy malował się gniew. Pewnie irytowała się treścią pisma, ale w tym momencie nie miała nic lepszego do roboty niż bezmyślne wertowanie stron.

Dla Sabata był to szok. Jego ciało i umysł zamarły w bezruchu. Gdyby jego ptasia postać była materialna, z pewnością osunęłaby się w przepaść. Rozpoznał dziewczynę na łóżku. Przypomniwał sobie również to miejsce, choć był tu tylko raz i to trzy lata temu.

To Langdon Manor, dom pułkownika Vince'a Lealana, byłego agenta SAS, a ta kobieta wyciągnięta na łożu z baldachimem to nie kto inny jak sama rozkoszna Katrio-na Lealan, ekspertka od pejczów i kijów. Jej hobby stanowiło upokarzanie silnych, przystojnych mężczyzn.

Sabat nie mógł tu dłużej pozostać. Nie miał pojęcia, ile czasu minęło od chwili, gdy opuścił swe prawdziwe ciało. Podróżował przez krainę, gdzie pojęcie czasu nie istniało. Zbyt długie przebywanie poza ciałem było bardzo niebezpieczne. Przeciwnik mógł w każdej chwili zaatakować. Był zupełnie

bezradny. Aż nazbyt dobrze pamiętał chwilę, gdy siły zła starały się spalić go w Dun Cow Inn korzystając z nieobecności jego astralnego ciała. Oszołomiony i wstrząśnięty odfrunął znowu, zmieniając się. dla uzyskania większej szybkości, w sokoła.

Wiedział jednak, że wróci do Langdon Manor niedługo. Taką władzę nad jego ciałem posiadała Katriona.

Rozdział VIII

Gdy Sabat otworzył powieki, poczuł, że jego członek znajduje się w stanie erekcji. Odczuwał przyjemne podniecenie związane ze wspomnieniami z astralnych wypraw. Dłonie powędrowały w dół, lecz powstrzymał się. W jego głowie tłoczyły się myśli, które zakłócały dobry nastrój.

Kobieta, która nazywała siebie Lilith - Bogini Ciemności, była w rzeczywistości Lilith opętana przez suku-by. Używając narkotyków i stosując hipnozę, zorganizowała armię wyrostków. Posyłała ich by, jak wampiry, mordowali ludzi i szerzyli masową histerię, która miała doprowadzić do anarchii i rządów faszystowskich. Wówczas Lilith osiągnęłaby swój cel. Sabat nie mógł przestać o tym

myśleć. Nie była to już tylko perspektywa policyjnej walki przeciwko groźbie faszystowskiego przewrotu. Raz jeszcze będzie musiał dać z siebie wszystko, by stawić czoła potęgom zła. Wewnętrzna walka z Ouenti-nem rozgorzeje na nowo. A zemsta? Boże, jakże on chciał się zemścić na tych, którzy zamordowali Ilonę!

Gdy wszystko przemyślał, odprężył się. Musi odnaleźć i zniszczyć Lilith. Wówczas wrzód zostanie przecięty. Być może jest już blisko celu.

Poranne pragnienie wróciło. Katriona Lealan, kobieta, która kiedyś zapanowała nad jego ciałem, teraz, gdy ich związek się skończył, powróciła znów w jego erotycznych rojeniach. Ujrzał ją taką. Jaka ukazała się jego astralnemu ciału: zmysłową, zepsutą... nieodpartą'

110

Palce Sabata ześliznęły się w dół ciała. Wiedział, że musi ją odnaleźć, i to szybko! Nawet teraz, mimo że nieobecna, oddziaływała - jego ciało naprężyło się i zaczęło szybko drgać. Zdawało mu się, że słyszy głos, miękki i matowy, a jednak stanowczy: - Przyjdź do mnie, Sabat, dam ci wszystko, czego zapragniesz! Po wzięciu prysznic Sabat ubrał się pośpiesznie. Dlaczego nie zadzwonił do Katriony wcześniej? Teraz to wymagało pewnej odwagi; jego ręce drżały, gdy zaglądał do książki telefonicznej: Lealan V. Pułk. Ten łajdak wciąż jeszcze używał swego wojskowego stopnia. Nikt nie miał na to wpływu,

ponieważ wszystko, co dotyczyło SAS było okryte ścisłą tajemnicą. Władze bardzo bały się skandalu. Zdecydowano, by były pułkownik pozostał pułkownikiem - odrobina snobizmu jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Sabat zaczął wykręcać numer. Nie jest wykluczone, że w słuchawce usłyszy głos samego Vince'a Lealana. Gdyby tak się stało, odłoży słuchawkę i zadzwoni później. Tak czy inaczej będzie próbował nawiązać kontakt z Katrioną. Nigdy nie przerywał w połowie. Gdy potrzebował kobiety, tak bardzo jak w tej chwili, wszystko inne musiało czekać, włącznie z Lilith i jej hipnotyczną armią. Katrioną nie była zwyczajną kobietą. Był zły, że uświadomił to sobie właśnie teraz. Winę za to ponosiło jego astralne ciało. Miał trzy lata by odnowić związek, ale wolał wszystko pozostawić w sferze marzeń. Teraz jego sny miały się zmienić w rzeczywistość.

Telefon w mieszkaniu Katriony zaczął dzwonić. Sygnał w słuchawce denerwował. Jezu, ale będzie miała niespodziankę! Gdy nagle usłyszał jej głos, cały ze-sztywniał.

111

Ten sam jedwabisty, senny ton. Znudzona. Może wstała prosto z łoża, ubrana tylko w biustonosz i pas.
- Cześć, Katriono - miał nadzieję, że jego zdenerwowanie i ulga, wynikające z tego, że to nie Vince podniósł słuchawkę, nie będą odczuwalne.
- Sabat!

Wyobrażał sobie, jaki ma teraz wyraz twarzy: błękitne oczy nagle rozszerzone, taki jak niegdyś, znajomy uśmiech. Być może odczuwała nawet dreszcze.

- Ależ to dziwne! Śniło mi się zeszłej nocy, że przyszedłeś i podglądałeś mnie przez okno sypialni.

- Może tak rzeczywiście było. - Sabat poczuł ciepło rozchodzące się po ciele. - Jak leci?

- Co masz na myśli?

Pomyślał, że szorstkość w jej głosie pokrywa niepokój,

- Nic takiego. Na przykład - co z Yincem?

- A, Vince - zachichotała. - Ciągłe się tu gdzieś kręci. Zły jak zwykle. Tak naprawdę to wyjechał na kilka dni do Londynu... w interesach.

- Rozumiem. - Sabat wyobraził sobie Katrionę. Była samotna i znudzona. Nimfomanka o skłonnościach sadystycznych. Potrzebny był jej mężczyzna, który lubił, gdy kobieta robiła z nim to, co odpowiadało jej upodobaniom, a potem...

- Czas ci się pewnie strasznie dłuży? - i dodał szeptem. - Zwłaszcza, że nie masz nic innego do roboty jak leżeć i przeglądać nudne czasopisma o modzie.

- Dawno się nie widzieliśmy - przerwała. - Czy to była zachęta?

- Z mojej winy - mruknął. - Nie byłem pewny. czy nadal będę mile widziany.

- Oczywiście, że tak - zaśmiała się. - Zawsze byłeś mile widziany. Tylko Vince odrobinę zdenerwował się i poczuł zazdrosny... Nie, nie... to nie znaczy, że nie żywię w stosunku do ciebie... pewnych uczuć. Więc? Dlaczego nie miałbyś wpaść tu i spędzić ze mną dziś wieczorem kilku godzin.

Jej słowa na chwilę oszołomiły Sabata. Poczł olbrzymią ulgę. Dostał gęziej skórki. Tętniący członek znów dał znać o sobie.

- Może mógłbym wpaść - próbował opanować głos.

- Bardzo bym tego chciała.

- W porządku. Będę około ósmej.

- I nie martw się. Vince nie wróci co najmniej do soboty.

Sabat odłożył słuchawkę i zapragnął, by była już ósma. Boże, ależ to będzie długi dzień. Wlokący się godziny... Nie będzie mógł niczym skrócić oczekiwania. Katrio-na potrafiła doprowadzić go do takiego stanu, że czołgałby się do samego Langdon Manor, jeśliby poprosiła o to.

Teraz nawet Ouentin nie miał dostępu do jego świadomości. Ciało i umysł opętała Katriona.

Wspomnienia odżywały z niezwykłą mocą. mieszając się z nowymi rojeniami. Ta noc będzie wykańczająca!

Jakoś udało mu się spędzić ten czas. Trudno było o cymkolwiek myśleć. Telefon dzwonił trzy razy - nie podniósł słuchawki. Bał się, że to Katriona Lealan, że chce odwołać spotkanie, bo ostatecznie zmieniła zdanie. Jeśli chodziło o niego, było już za późno.

Zdecydowany był odwiedzić ją tak czy owak. Jeśli zaś był to McKay, to do diabła z nim. Seks zawsze dominował w postępowaniu Sabata i teraz nie mógł o niczym innym myśleć.

113

Nawet Ilona nigdy nie zdołała dorównać Katrionie. Poczul się nagle jak człowiek, którego trzyletni wyrok dobiegł końca. Niepotrzebna mu była masturbacja. Czekał na to, co miało nastąpić. Instynkt nakazywał mu ruszyć natychmiast w drogę do Surrey. Wiedział jednak, że nic w ten sposób nie osiągnie. Gdy Katriona mówiła, że spotka się o ósmej, to żadna inna godzina nie wchodziła w rachubę. Temperament okazywała we wszystkim. Zbyt wczesny przyjazd mógł mieć więc katastrofalne skutki. Sabat ograniczył prędkość do pięćdziesięciu mil na godzinę. Nie obawiał się już powrotu do Langdon Manor. Pożądanie, które w nim wzbierało, było coraz potężniejsze. Sprawiało, że zapominał o wszystkim. Wszystkie jego pragnienia wiązały się z Katriona Lealan. Reszta świata odeszła w niepamięć. Nawet Quentin. Największa słabość Sabata zatriumfowała. On sam padł jej ofiarą. Stał się niewolnikiem własnych uczuć. Z szosy wiodącej przez wrzosowiska skręcił na nieutwardzoną wiejską drogę. Za samochodem kłębiły się chmury kurzu. Maszyna kołysała się łagodnie na wybojach. Wreszcie koła zachrząściły na żwirowej ścieżce prowadzącej do bramy w cisowym

żywopłocie. Sabat zdjął nogę z gazu i zatrzymał się przed frontowymi drzwiami wielkiego domu.

Przez chwilę siedział w samochodzie, przypatrując się pokrytym bluszczem ścianom i wielkim witrażowym oknom. Pamiętał je nie z czasów, gdy potajemnie odwiedzał Katrionę, lecz od niedawna, gdy przysiadł na parapecie i dostrzegł...

Teraz ją zobaczył. Stała w na pół uchylonych

114

drzwiach frontowych obserwując go z napięciem. Na jej twarzy pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech. Elegancki lekki negliż skrywał jej zmysłowe ciało. W błękitnych oczach czaiło się pożądanie.

- Podejdź do mnie, Sabat - powiedziała. - Zbyt długo nie było tu ciebie.

Sabat wysiadł z samochodu. Starał się opanować, zachować powściągliwość. Gdyby nie to, popędziłby ku niej jak nastolatek oczekujący niecierpliwie od swojej uwielbianej od lat nauczycielki, erotycznej kokieterii.

- Punktualny jak zwykle - zaśmiała się. Gdzieś z głębi domu doszło uszu Sabata bicie starego zegara. Była już ósma.

- Wiele czasu minęło. Zbyt wiele.

Sabat raz jeszcze doznał onieśmienia, całej tej niepewności, jaką się miewa przed pierwszą randką, gdy nie jest się pewnym, co należy zrobić: podać rękę czy pocałować dłoń dziewczyny.

Katriona usunęła się spod jego ręki i zamknęła drzwi, zostawiając za nimi rozświetlony zachodzącym słońcem wieczór. Zostali sami w mrocznej pustce domu.

Szedł za nią do obszernego hallu. Nie odrywał oczu od jej kształtnej figury, której - jak mu się zdawało - ostatnie trzy lata dodały piękności. Wpatrywał się w jej zmysłowe ciało, które potrafiło zawładnąć tyloma silnymi mężczyznami, które sprawiało, że czołgali się przed nią gotowi spełnić każdy jej rozkaz. Katriona panowała nad wszystkimi swymi kochankami. Sabat był szczęśliwy, że wkrótce stanie się jej uległym sługą.

Przeszli do bawialni. Naląła mu sporą porcję whisky i dodała odrobinę miętowego likieru. Pamiętała dobrze, co lubi jej dawny kochanek. Zauważył, że nadal pija tylko

115

sok owocowy. Seks Katriony nie wymagał wzmocnienia alkoholem.

- Długo zwlekałeś, nim zdecydowałeś się na kontakt ze mną.

Nie odrywała odeń oczu. Czuł się dziwnie nieswojo. Panowała nad nim jeszcze skuteczniej niż kiedyś.

Poczuł delikatne mrowienie w krzyżu.

- Nie wiedziałem, jak to właściwie między nami jest - stwierdził.

Zabrzmiało to jednak nieprzekonywująco.

- Sądzę, że znalazłeś mnie wystarczająco dobrze -
kpiąco go upomniała. - Vince nigdy nie był w stanie
niczego mi zabronić. Ten drobny incydent był
wewnętrzną sprawą SAS.

- Ależ Vince mówił co innego.

- Czasami drogi Vince ma ataki... zaborczości -
zaśmiała się. - I potem muszę go za to karać. Nie
pracuje już w SAS i jeśli by nawet wrócił w tej chwili,
to nic nie mógłby nam zrobić. Jeśli by stał się
kłopotliwy, odesłałabym go prosto do łóżka jak
niegrzecznego chłopca. Gdyby się przy tym skarżył
dostałby klapsa w pupę. Katriona odstawiła drinka.
Podeszła do Sabata. Była wytworna:
sposób, w jaki siadła obok niego na kanapie,
przypominał maniery damy. Piżmowe perfumy
sprawiły, że Sabat poczuł zawroty głowy. Wiedział,
że jest na straconej pozycji. Był znowu uczniem,
który czeka na swą doświadczoną nauczycielkę, by
wykonała pierwszy ruch.

- Tęskniłam za tobą. Sabat. - Język musnął jego
ucho. Policzki zetknęły się; ich dotknięcie sprawiło,
że stara blizna znów zaczęła pulsować.

- Mamy wiele do odrobienia.
Smukłymi palcami odebrała mu szklanekę i postawiła
116

ją na pobliskim stolyczku. Po chwili ręka spoczęła na
jego udzie. Doskonale wiedział, dokąd ruszy
stamtąd. Pragnął, by wszystko rozgrywało się
szybciej. Dotknęła ustami jego Ut»t. Były miękkie i

czerwone. Kusząco dotykała nimi warg Sabata, a potem gwałtownie je przycisnęła. Jej język wszedł w jego usta. Katriona Lealan była już na nim. Jej drobny ciężar pchał go do tyłu, aż wyprostował się na kanapie. Zamknął oczy. Poddał się. Drżał gwałtownie. Nie mógł niemal uwierzyć, że trzy lata erotycznych marzeń i wspomnień zmieniają się w oszalamiającą rzeczywistość.

Rozpięła mu ubranie. Gdy otworzył oczy, zobaczył, że zsunęła już peniuar; postrzegł ją teraz taką, jaką odczuwało ją również jego astralne ciało. Miała na sobie skąpy czarny biustonosz, pas i ażurowe pończochy. Mruknął z aprobatą. Jej twarz jednak nie uśmiechała się już miękko, Rysy zaostrzyły się, gdy pożądanie brało górę nad samokontrolą. Jej usta schylały się już ku niemu. Pragnęła go.

Sabat czuł, że porywa go huragan. Dominowała nad nim, ale jej język sunął już po jego pulsującym ciecie. Drapała i gryzła. Drżał. W jego wnętrzu zaczęło się odliczanie, które skończyć się miało ogłuszającą eskpiozją każdego nerwu. Obraz przed oczami zacierał się. Widział jedynie falę jasnych włosów. Przysłoniły jej rysy.

Eksplozja była jak tornado. Ręce i nogi Sabata wyprostowały się, całe ciało drgało w spazmach, tak jakby chciało zrzucić z siebie ludzką pijawkę.

Osiągnął szczyt ekstatycznej góry. Poczuł, że spada na drugą stronę lekko sunąc w powietrzu. Podobnie czuł się, gdy podróżował w swym astralnym ciecie, opadając lotem .ijizgowym. Osłabiony i drżący

miętko wylądował. Pragnął, by starczyło mu sił na powrót do rzeczywistości.

Katriona uniosła się. Znowu była uśmiechnięta.

Obli-

117

zywała wargi, jakby jej apetyt został zaledwie zaostrzony. Jej oczy zwęziły się znowu i Sabat ponownie poczuł się nieswojo. Był zupełnie bezradny. Panowała nad nim skuteczniej niż kiedykolwiek dotąd.

- Ta noc dopiero się zaczęła - szepnęła, zdejmując z niego ubranie.

Delektowała się wszystkim, co przed nią odsłaniało.

- Chodźmy na górę i spróbujmy tych rzeczy, którymi nie cieszyliśmy się od tak dawna.

Boże, nigdy wcześniej nie czuł się tak osłabiony, myślał idąc za nią po schodach. Każdy stopień pokonywał z rzeczywistym wysiłkiem. Katriona, jak dobre wino, dojrzała z upływem lat. Perspektywa najbliższych chwil była nieomal przerażająca.

Zastanawiał się, czy starczy mu sił.

Wyposażenie tego pokoju zasadniczo podobne było do piwnicy w domu Ilony, ale na pewno znacznie bogatsze. Pomieszczenie to było przecież rajem Katriony. W tym miejscu mężczyzna pozbywał się wszystkiego, co posiadał, czołgał się przed nią i błagał, by zostać jej niewolnikiem. Nawet Sabat, a w myśli robił to już teraz, nagi oddawał ciało i umysł tej kobiecie, pragnąc by wymierzyła mu karę.

Katriona zmieniła się jeszcze bardziej. Jej uwodzicielski nastrój, ten który demonstrowała na dole, prysnął. Teraz zastąpiła go złośliwość. Odwróciła się na pięcie. Zwisający pejcz trzymała w ręku.

- Nie wierzyłeś, że kiedykolwiek zdołasz mi wybaczyć, prawda? - warknęła.

Sabat poczuł, że się cofa. Przez moment żałował, że jeszcze tu jest. Lecz tylko przez chwilę.

Katriona stała się znowu ucieleśnieniem jego wybujałych marzeń.

118

- Powiedz mi, co myślałeś o mnie od naszego ostatniego spotkania i co w tym czasie robiłeś! Z pokorą, bez wstydu Sabat wszystko jej opowiedział, a jego podniecenie znowu zaczęło narastać. Jego oddech stał się ciężki, nieco chrapliwy, lecz ciągle był słaby - takiego Sabata znały jedynie Ilona i Katriona.

- Na kolana i błagaj o przebaczenie za to, że tak długo cię tu nie było!

Pejczem uderzyła go mocno w twarz. Pod wpływem ciosu głowa odskoczyła mu do tyłu. Poczuł nieopisany ból. Nie miał do niej żalu. Czuł się upokorzony. Upadł na kolana, i z pochyloną głową, mamrocząc usprawiedliwienia błagał o wybaczenie. Był świadom tego, że jest to tylko wstępna gra.

Jego zmysły znowu drżały. Zatracił się zupełnie. Uderz mnie jeszcze raz, Katriono, uderz mnie mocno!

Zdawała się czytać w jego myślach. Pod gradem bolesnych ciosów padł na wznak, błagając o więcej. Na moment przerwała i odeszła. Walczył z pokusą, by otworzyć oczy, lecz opanował się. W takich okolicznościach zaskoczenie potęgowało odczuwaną rozkosz.

Zadźwięczał metal. Zadrżał mocniej. Nie stawiał jednak oporu, gdy wygięła mu do tyłu ręce. Poczł zimną stal kajdan na nadgarstkach. Potem przyszła kolej na kostki. Skórzany but przygniłł mu żebra. Krzyknął głośno. Potoczył się po podłodze. Znowu poczuł kopnięcie.

Leżąc na wznak, z rękoma i nogami w kajdanach, otworzył oczy. Widok kobiety zaszokował go. Katriona była naga, ale w skórzanych butach sięgających do połowy ud. Zachowywała się jak wściekła tygrysica. Rzucala niezrozumiale przekleństwa. Jej oczy miały błyski nieopanowanej nienawiści. Nie mógł wytrzymać jej spojrze-

119

nią. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Mimo wszystko była to tylko sadystyczna zabawa. Nie musiał udawać, że we wszystko wierzy.

- Ty bydlaku - jej słowa cięły boleśnie jak bicze. -Ty bydlaku! Zranię cię tak. jak nikt cię nigdy nie zranił!

Podniecenie Sabata sięgało zenitu. Chciał, by wszystko działo się naraz. Nic się jednak nie zmieniało. Katriona stała wpatrując się w niego złowrogo... jej kształtne ciało wyraźnie drżało... z nieukrywanej wściekłości!

- Nie przyszedłeś tu ze swej własnej woli... - gdy mówiła, jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu. - O, nie. Sabat, to nie pożądlivy kaprys ściągnął cię tutaj. To ja ciebie wezwałam!

Wpatrywał się w nią. Jej słowa jak miecz cięły jego mózg, a pot, połyskujący na jego nagim ciele, nagle zlodowaciał. Zdał sobie wreszcie sprawę, jak zimno jest w tym przybytku. Z wszystkich niewygód, które Katriona szykowała dla swych kochanków, ta jedna dolegliwość nie pojawiała się dotąd nigdy. Coś było nie tak. Gdy spojrział jej w oczy, zrozumiał - wyraz wściekłości na jej twarzy nie był tradycyjną fazą gry miłosnej - nienawiść była prawdziwa!

- Ty głupcze! - jej śmiech przypominał rechot czarownicy. - Ty biedny, rozerotyzowany głupcze! Mimo całej swej sprawności i spostrzegawczości jesteś w gruncie rzeczy ślepy. Poddaleś się mojej władzy. Twoje astralne ciało dało się zwabić, by mnie tu oglądać, by rozpać w tobie tę twoją nienasyconą żądzę. Ptak przyleciał, zobaczył i pospiesznie doniósł swemu panu. Wystarczył moment i już jesteś, skuty i bezradny, ofiara swej własnej obsesji i uległości. Sabat napiął się w kajdanach, lecz stalowe łańcuchy

120

nie puszczały. Pomyślał, że może znowu śni. Próbował wyzwolić się, uciec. Wszystko na nic. Zmuszony więc był stawić czoła rzeczywistości. Wtedy przestał się płaszczyć, jego twarz znieruchomiała, a ton zaczął przypominać cięcie bicia:

- Przypuszczam, że zechcesz wyjaśnić to, co powiedziałaś, Katriono!

- Oczywiście - podparłszy się rękoma w talii lekko rozstawiła nogi.

Stała w zasięgu jego wzroku. Pragnęła, by oglądał tę część jej ciała, która nagle stała się dlań niedostępna.

- Mieliliśmy się spotkać prędzej czy później.

Przeznaczenie musiało się spełnić. Zwłaszcza od chwili, gdy zacząłeś się mieszać w sprawy...

nazwijmy to na razie Frontem Wyzwolenia. Vince, o ile ci wiadomo, czuje urazę do SAS, które naraziło go na hańbę. On zawsze popierał faszystowski reżim w Wielkiej Brytanii. A przecież istniała armia, którą należało tylko zorganizować:

zepsuta młodzież gnuśniejaca w szeregach

bezrobotnych. Jej gwałtowne, tłumione nastroje

warto było właściwie spożytkować. Są setki, tysiące

takich młodych ludzi. Ale dopiero zaczęliśmy. Ruszy

nowa fala przemocy, która niebawem sprawi, że

ludzie przestaną wychodzić nocą z domów. Anarchia

będzie się umacniała z dnia na dzień. Nic jej nie

będzie w stanie stawić czoła. Ci młodzi faszyści

potrzebowali przywódcy, kogoś przebiegłego jak

wilk, kto wprowadziłby porządek w ich szeregi. Kto

lepiej by pasował do tego zadania niż pułkownik Vince Lealan, który uczył się swego fachu w najcięższej służbie świata. Jednak również Vince potrzebował przywódcy, który dałby mu racjonalne podstawy do nienawiści ku Wielkiej Brytanii. Ktoś musiał te napięcia wykorzystać

121

efektywnie... a do tego dysponować siłami wykraczającymi poza ludzką zdolność poznania. Sabat wstrzymał oddech. W słowach Katriony brzmiała część znanej mu już zatrważającej prawdy.

- I tą osobą jestem ja!

Katriona Lealan od jakiegoś czasu zdawała sobie sprawę, że dysponuje nadzwyczajnymi siłami.

Pewnej nocy miała wizję, w której dowiedziała się o tym na pewno.

- Tak, Sabat, ja jestem Lilith, Sukubem, Boginią Ciemności, która w ludzkiej postaci wędruje po ziemi z misją. Moim zadaniem jest tak zmienić świat, by siły ciemności zapanowały ostatecznie nad człowiekiem!

Sabat poczuł przejmujący chłód, tak jakby gwałtownie spadła temperatura. Teraz już nie wątpił, że Katriona mówi prawdę. Była opętana przez duszę Quentina Sabata. Pełne konsekwencje jego beznadziejnej sytuacji były aż nazbyt oczywiste. Sabat stał na drodze Uczniów Lilith, jej armii pseudo-wampirów. Był jedynym człowiekiem, który

znał prawdę kryjącą się za krwawym widmem, stworzonym przez Katrionę. Teraz był jej więźniem. Łatwo mogła go zabić. Prawo i walka o bezpieczeństwo społeczeństwa mogą okazać się zupełnie bezsilne.

- Mogłabym cię zabić - mówiła wolno, delektując się swymi słowami.

Patrzyła mu uważnie w oczy, bezskutecznie szukając w nich choćby błysku przerażenia.

- Mogłabym znaleźć radość w robieniu z tobą rzeczy, o których sam mówiłeś. Sabat. Ale nie teraz.

Kiedyś... gdy to wszystko przeminie, lecz dopóki tak się nie stanie, potrzebuję cię, Sabat. Tak, mogę cię użyć tak, jak małe nieuzbrojone państwo może użyć broni jądrowej, jeśli nagle ją zdobędzie Vince ma swoje słabe strony. Jed-

122

na z nich jest jego ślepa obsesja, wiara, że jest wcieleniem Adolfa Hitlera. Ta idea zrodziła się w nim i zakwitła z nasiona, które zasiałam w jego myślach. Pożyteczna, lecz tylko do pewnego stopnia. Teraz potrzebuję kogoś, kto by mógł poprowadzić tych zapalonych młodych buntowników do boju, kogoś, kto posiada zaufanie wroga. Powiedzmy, że potrzebuję - użyjmy tu wyświechtanej metafory - konia trojańskiego.

- Nic z tego - Sabat zaśmiał się. Zrewanżował jej się nienawistną pogardą. - Możesz zrobić ze mną

cokolwiek zechcesz, lecz nigdy nie będę dla ciebie pracował, Katriono! Ani dla ciebie, ani dla Lilith!
- Jakaż to naiwność! Przecież posiadasz wybitne zdolności i nadprzyrodzone siły. - Jej oczy zwęziły się, a źrenice, nieruchomiejąc, pozornie rozszerzyły. Sabat nie potrafił stawić czoła sile tego spojrzenia.
- Jeśli będziesz dla mnie pracował. Sabat, twoja moc stanie się moją. Przyszedłeś tu dziś do mnie, by zostać moim niewolnikiem, i twoje pragnienie się ziści. Naprawdę!

Sabat miał już coś powiedzieć, ale słowa utknęły mu w gardle, rozlały się w próżni. Poczul się nagle winny. Jego niepohamowana nienawiść do tej kobiety, która nazywała siebie Lilith, osłabła. W jego oczach zabłysło nowe uczucie, coś co z trudem rozpoznawał - oddanie! Patrząc w te jasnoniebieskie, sowe oczy zamarł w bezruchu. Promieniowała z nich moc. której nie był w stanie się oprzeć. Wydawało mu się, że zapada w głęboki sen, lecz oczy jego pozostały szeroko otwarte i w dalszym ciągu widział K-atrionę, uśmiech pojawiający się na jej ustach. Próbował skinąć głową w geście posłuszeństwa. Nie chciał już dłużej z nią walczyć, chciał walczyć dla niej, słuchać jej rozkazów. Czuł się jak najemnik, który zmienia pana.

123

Gdy w końcu zdołał przemówić, mówił głosem, który należał do Quentma Sabata, głosem głębokim i łagodnym:

- Tak, Lilitli. Zrobię wszystko, co mi każesz. Powiedz tylko słowo, a pójdę za tobą.

- Dobrze. - Sięgnęła ręką po klucze i pochyliwszy się uwolniła go z kajdan. - Sądzę, że nie będziemy już tego potrzebować. W nagrodę za współpracę będziesz dzisiejszej nocy spał ze mną.

Łagodnie wyprowadziła go z pomieszczenia.

Sabatowi wydawało się, że zawsze był uległy i że nigdy nie było inaczej.

Rozdział IX

Umundurowani funkcjonariusze policji, ustawieni w rzędy po obu stronach ulicy, próbowali powstrzymać napierające tłumy. Ludzie śpiewali i przepychali się we wszystkie strony. Tłum na chodniku nie ukrywał swej pogardy dla prawa i porządku. Wściekłość i nienawiść ciągle rosły.

Po prostu mała, faszystowska demonstracja. Policja starała się zminimalizować jej znaczenie w oczach opinii publicznej. To był obowiązek. Gdyby tego nie zrobiono, w krótkim czasie mogłoby dojść do masowej hysterii. Fala nienawiści rozlałaby się z niespotykaną siłą. W pewnym sensie był to współczesny D-Day. Jeśli policjanci zdołają utrzymać spokój - wygrają bitwę.

Zamieszki rozpoczęły się już wczesnym rankiem. Grupy skinheadów zaczęły napływać do supernowoczesnych centrów handlowych na długo przed otwarciem. Niewielki patrol policji przyglądał się temu z lękiem. Grupki młodych Azjatów zbierały się właśnie w najważniejszych strategicznie punktach dzielnicy. Zachowywali się hałaśliwie, ale początkowo byli niegroźni. Największym problemem było odróżnienie faszystów od antyfaszystów. Niewielu młodych ludzi afiszowało się /e swastykami. Gdyby coś zaczęło się dziać, w krótkim czasie doszłoby do ogólnej bitwy białych z czarnymi. Nie wolno było do tego dopuścić. Kiedyś już organizowano podobne demonstracje, ale

125

nie były one groźne: posyczały jak mokre zimne ognie i gasły.

Maria Ingleton nie chciała ryzykować bezpieczeństwa swej dziesięciomiesięcznej córeczki Emilki - nie po tym, co przeczytała we wczorajszej popołudniówce. W artykule opisano historię dziewczyny, której skradziono dziecko i która wkrótce potem padła ofiarą „wampirów”. Maria postanowiła, że weźmie na zakupy tego sobotniego ranka także swego męża Boba, który niestety wyraźnie nie miał ochoty nigdzie wychodzić. Tłumaczył się długo i zawile. Twierdził, że właśnie w sobotę trzy wielkie londyńskie kluby piłki nożnej grają na swoich boiskach ważne mecze. A ponieważ

istnieje między nimi ostra rywalizacja, zwłaszcza przy końcu sezonu ligowego, kiedy odbywają się ostatnie ruchy w tabeli, kibice będą na pewno szaleli na długo przed ostatnim gwizdkiem sędziego. Jeśli policja nie wykaże się dostateczną rozwagą, by powstrzymać zamieszki, może być bardzo nieciekawie.

Natomiast demonstrację, jak twierdził Bob, powinno się organizować w niedzielę. Najlepiej wyznaczyć do tego odpowiednie miejsce, gdzie ludzie nie będą się przejmowali jakimiś wariatami. Organizatorzy zaś powinni opłacić policję, która musi pilnować porządku. Może wówczas można by na jakiś czas zapomnieć o problemach związanych z demonstracjami. Oczywiście jest to demokratyczny kraj, lecz sprawy, które z demonstracją nie mają nic wspólnego, powinny być uznane za nielegalne. Odpowiedzialnością za to, że musi eskortować Marię w wyprawie po coś, co można było równie dobrze nabyć w miejscowych sklepach, obciążał faszystów, antyfaszystów i ich zwolenników. Te kilka pensów, które zaoszczędzą na zakupach w centrum i tak pochłonie benzyna. Ale rzeczą

126

najważniejszą było to, że Bob Ingleton nie będzie mógł tego ranka poleniuchować w łóżku, wyleżeć się do woli.

Z wyrazem znudzenia na piegowatej twarzy Bob oparł się o ścianę w przedsionku wielkiego sklepu.

Jedną rękę trzymał w kieszeni sztruksowych spodni, drugą opierał lekko na rączce wózka Emilki. Dziecko miało szczęście. Mogło zupełnie niewinnie spać wśród tego całego zamieszania, a plugawy język stojących nie opodal skinheadów, nawet jeśli docierał do uszu małej, był dla niej niezrozumiały. Mimo wszystko to cholerna strata czasu. Trzeba dwie godziny czekać, by móc na przykład zjeść lunch w mieście. Oznaczało to zresztą zatłoczoną, samoobsługową knajpę, wystawanie na obolałych nogach w kolejce po produkowane masowo zapiekanki, zimne i obrzydliwe w chwili, gdy docierało się z nimi do stołu. Potem Maria o-znajmi z pewnością, że konieczna jest zmiana pielucn albo karmienie. I znowu wędrówka i znowu wyczekiwanie. Trudno było przewidzieć, w co właściwie człowiek się mieszał, gdy wyrażał zgodę na towarzyszenie żonie przy zakupach. Bob miał nadzieję, że drużyna Chelsea dzisiaj przegra i tym samym straci okazję do rozgłosu. To trochę ostudzi tych szalejących idiotów. Obiecał sobie, że kiedy wróci do domu, napisze list do jakiegoś senatora, bowiem problemem są nie tylko obłąkani faszyści, którzy marnują pieniądze podatników, lecz również to, że pieniądze te wydawane są, by utrudnić normalne życie przestrzegającym prawa obywatelom, takim jak on. Co więcej... Nagle uświadomił sobie, że coś dzieje się wokół niego. Wyjął rękę z kieszeni spodni. Drugą zacisnął mocniej na rączce wózka. Grupa skinów, która kręciła się

dotąd wzdłuż sąsiadujących ze sklepem arkad, nagle zebrała się

w przedsionku magazynu. Kilkunastu wyrostków ustawilo się zaczepnie w półkolu. Jeden z nich, mający nie więcej niż szesnaście lat, zrobił krok do przodu i zaczął wpatrywać się w wózek.

- Spójrzcie tylko, chłopaki. - Na jego kostropatej twarzy pojawił się lubieżny uśmiech. - Ten facet jest ta-tusiem. Miał się nie najlepiej, więc sprawił sobie dzieciaka, ale pewnie jakiś prawdziwy mężczyzna pieprzy żonę za niego.

Popisowi grubiaństwa towarzyszył rubaszny rechot. Grupka podsunęła się bliżej, odcinając Bobowi odwrót. Nie mógł się wycofać ani do sklepu, ani na ulicę. Spojrzał na wyrostków. Miał przemożną ochotę dać im nauczkę, chciał okazać nienawiść, jaką żywi do tych mętów. Wiedział, że nie ma szans, ale chciał się bić. Ze względu na Emilkę musiał się jednak opanować. Duma, poczucie godności stały się mniej ważne. Spróbował się słabo uśmiechnąć. Nienawidził siebie.

- Niech nam pan pokaże dziecko. Niech pan wyjmie je z wózka i pozwoli obejrzeć.

Zimny dreszcz przeszedł po plecach Boba. Starał się wyrzeć za głowy chłopaków, szukając jakiegoś policjanta. Skini otaczali go jednak szczelnie. Nic poza nimi nie widział. Gdzieś niedaleko rozgorzała walka. Słyszał było krzyki i wycia.

- Dziecko śpi - głos Boba drżał. Nie wiedział nawet, czy go dosłyszeli w tym harmiderze. - Nie chcę go... budzić.

- To my obudzimy!

Trójka czy czwórka napastników chwyciła za tylne koła wózka i uniosła Emilkę wysoko nad ziemią. Bob zaskoczony patrzył, jak wózek przechyla się. Dziecko owi-

128

gardło Sabata i zaczęły go dusić. Piekielny mrok zaczął zmieniać się w matową czerwień.

Nagle oczy przesłonił mu purpurowy błysk.

Eksplozja sparaliżowała udręczony umysł. Sabat poczuł, jak opierające się na nim ciało podniosło się na moment, a potem opadło tak, że 38-ka ukryła się w miękkich fałdach tłuszczu. Znowu wypalił. Odrzut gwałtownie nim szarpnął. Jedno ramię było jak sparaliżowane, przygnięcione bezwładną masą ciała przeciwnika.

Strzelił jeszcze kilka razy. Dźwięk był przytłumiony, jakby dobywał się z głębi morskiej toni.

Towarzyszyły mu drgania. Chwył na szyi Sabata zelżał, walczył o powietrze dławiąc się dymem po wystrzałach.

Był zdezorientowany. Nagle jako pustynny podróżnik znalazł się oszołomiony i przerażony w oślepiającej burzy piaskowej. Wiatr zatarł wszystko. Próbował stwierdzić, czy było to złudzenie, czy wspomnienie czegoś okropnego z przeszłości, czy

wszystko to działo się naprawdę. Nic go to jednak nie obchodziło. Wszystko czego teraz pragnął to ujść z życiem. Bał się. Głównie tego, że padł ofiarą jakiegoś psychodelicznego ataku. Czuł się tak, jakby jego czaszka puchła i wybuchała. Jego nerwy krzyczały z nie-wysłowionego bólu.

Usiłował za wszelką cenę zrzucić z siebie ciało martwego mężczyzny. Udało się. Legli obok siebie na dnie jakiejś wąskiej, głębokiej przepaści. Ubranie Sabata czymś przesiąkło. Poczuł ciepło gęstej cieczy. Mimo psychicznych męczarni domyślił się, co to jest. Krew! W pierwszej chwili obawiał się, że to jego własna, lecz gdy w swej dłoni odkrył 38-kę, wiedział, że to krew przeciwnika. Człowiek leżący obok niego ciągle był żywy. Z jego ust, bulgocząc, dobywała się purpurowa ciecz życia.

162

już z łatwością kilka egzaminów. Rodzice byli przerażeni jego uporem. Ma zapewnioną przyszłość - skarżyli się -a teraz rzuca wszystko. On twierdził, że woli nawet spędzić życie w kolejce dla bezrobotnych niż w przyspieszonym tempie znaleźć miejsce na cmentarzu. Żałował jedynie, że nie złożył tego wymówienia tydzień wcześniej i nie uniknął ostatniego strasznego dnia w mundurze. Od czasu, gdy zgłosił się na służbę, sytuacja zmieniła się. Glynowi udawało się ukryć lęk. Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. Zamieszki w centrum handlowym ucichły. Zaledwie kilku skinheadów

wykrzykiwało obelgi pod adresem policji, gdy ich towarzyszy ładowano do czarnej suki na parkingu z tyłu budynków. Glyn Seward chciał, by przydzielono go do konwoju furgonetki. W ten sposób mógłby przynajmniej trochę odpocząć, uspokoić się po straszliwym mordzie, masakrze młodego chłopaka w przedsiionku sklepu.

Jezu! Tylko pomyśleć, że człowiek mógł zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi! Te faszystowskie bydlaki to nie ludzie. Są gorsi niż dzikie zwierzęta. Wystarczy tylko spojrzeć na ich twarze! Najczęściej pozbawione są wszelkiego wyrazu albo są wykrzywione nienawiścią i brutalną żądzą zemsty. Poczul, że robi mu się słabo na samą myśl o zamordowanym mężczyźnie. Skinheadzi dosłownie wypatroszyli go. Jego wnętrzności wylewały się z otwartej rany, a jego czaszka pękła, gdy próbował ratować dziecko. Glyn nie mógł zrozumieć, dlaczego potem bandyci porwali dziecko, które na pewno było już martwe. Dlaczego inni ludzie, którzy stali blisko, nie przyszli z pomocą matce? Dlaczego dziecko wyrwano z rąk matki z determinacją, jakby usiłowano ukraść pół miliona funtów?

130

Dzień wcześniej również porwano dziecko, milę czy dwie stąd. Nie mogło być między tymi porwaniami żadnego związku. W tamtym przypadku policja poszukiwała mężczyzny i kobiety z czerwonej cortiny.

Glyn Seward był blady i roztrzęsiony. Matka dziewczynki oszalała. Resztę swego życia spędzi prawdopodobnie w zakładzie dla psychicznie chorych. Zresztą jaka kobieta by wytrzymała tyle okrucieństw i nieszczęść.

Za godzinę Seward miał się spotkać z sierżantem, by razem pójść na demonstrację. Powinni dołączyć do niebieskiej linii, próbującej rozdzielić walczące ze sobą frakcje. Sądził, że ludność kolorowa nie stawi się zbyt licznie na to spotkanie. Było to prawdopodobne, zwłaszcza po prowokacji sprzed kilku godzin. Szef apelował przez radio, by kolorowi trzymali się od tego wszystkiego z dala.

Demonstracja przeradzała się w zamieszki, ponieważ nikt nie podjął zdecydowanego przeciwdziałania.

Kara śmierci i chłosta są jedynymi skutecznymi lekami, stwierdził Glyn. Byle do jutra. Prześpi całą niedzielę i może w końcu zapomni o tym, co zdarzyło się dzisiaj.

O dwunastej piętnaście stał już przy krawężniku spleciony ramionami z policjantami po obu swoich bokach. Próbował powstrzymać napierający tłum. Agresywni młodzi ludzie nie różnili się niczym od setek skinów, którzy - jak stwierdzał policyjny raport - rozpoczęli swój marsz o milę stąd. Jedna frakcja warta była drugiej. Obydwie uprawiały przemoc, dokonywały morderstw. Rasistowskie bydlaki. Wciąż usiłowali zrzucić winę na innych, próbowali zdemoralizować społeczeństwo i przejąć nad nim władzę. Seward pocił się z napięcia.

Boże! Dlaczego, do licha, policja nie zachowuje się tak samo jak na kontynencie? Dlaczego nie jest wyposażona

131

w coś skuteczniejszego od pałek? Żaden szanujący się gliniarz nie znosi przyglądania się gwałtom i przemocy bez możliwości interwencji. Skoro jednak do tego doszło, o-znacza to zapewne początek anarchii. Nawet wściekły Se-ward dobrze to rozumiał. Wszystko czego teraz pragnął, to wynieść się możliwie daleko stąd.

- Świnie! Faszystowskie skurwysyny!

Krzyk sięgał zenitu. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę, z której spodziewano się kolumny. Ci, którzy byli dostatecznie wysocy, wyciągali głowy ponad czubami policyjnych hełmów. Wysoko w górze demonstranci nieśli ręcznie malowane transparenty ze swastykami i datą: 9 listopada. Zbliżali się. Ich kolumna przypominała wijącego się węża. Była bardzo długa, rozpostarła się na kilku ulicach.

Kipiała nienawiścią i żądzą przemocy. Cała propaganda Frontu Wyzwolenia opierała się na agresywnym zastosowaniu emblematów wojennych. Na czele kolumny szedł ktoś, kto z odległości mógł przypominać dawno zmarłego Adolfa Hitlera.

Pułkownik Vince Lealan po raz pierwszy pokazał się publicznie! Podobieństwo obu mężczyzn ograniczało się w zasadzie do długich, ciężkich butów i wysoko unoszonych w czasie marszu nóg. Podobny był też

ponury wyraz twarzy i oczy, które gorzały czymś gorszym niż zwykła nienawiść do tych ciągnących chodnikami. Te oczy płonęły fanatyzmem!

Wielobarwny tłum skinheadów, maszerujących za Lea-lanem, dawno zarzucił już pomysł nieudolnego naśladowania hitlerowskiego kroku. Niechlujny tłum wymachujących transparentami, śpiewających chuliganów, ruszał się sztywno jak roboty. Widzieli, co się wokół nich dzieje, lecz ich spojrzenia były puste... cała armia zahipnotyzowanych wyrostków!

132

Glyn Seward dostrzegł ich. Wstrzymał oddech. Znał już ten typ ludzi. Gdy miał pecha i wyznaczano go do służby w sobotnie popołudnia, walczył z nimi na londyńskich boiskach. Było to bardzo nieprzyjemne zajęcie. Teraz zapowiadało się to jednak tysiąc razy gorzej. Futbolowi bandyci byli potężną siłą. Tętno Glyna wzrosło. Poczul, że oddech sprawia mu coraz większe trudności. Coś musiało się stać. Opanowały go nieprzyjemne przeczucia.

Stojący za plecami policjantów skini nieco zmniejszyli wysiłki, by przerwać błękitny kordon. Ich krzyki zamarły. Cisza ta nieco zwiodła siły pilnujące porządku. Policjanci na kilka sekund rozluźnili szeregi. I wtedy stało się!

Odziany w mundur Lealan, żyjąca karykatura Hitlera, przechodził o dwadzieścia jardów od Glyna. Policjant dostrzegł, że wódz zwalnia nieco tempo; wysoko unoszone nogi stawiał z mniejszym

rozmachem. Wreszcie przystanąły. Skini zaczęli dreptać w miejscu, tłukli w dłonie pięściami. Przyglądali się ludziom, którzy stali na chodnikach. Nagle nad głowami wszystkich uniósł się las rąk. Krzyk eksplodował jak huk działa i zawisł w powietrzu! Podchwycili go skini stojący za policyjnym kordonem.

- Sieg heil! Sieg heil!

Policjanci byli zdumieni. Oczekiwali ataku „antyfaszy-stów”, lecz nigdy zlania się obu stron w zjednoczoną armię. Przed i za sobą policjanci mieli nacierających skinów. W ruch poszły różne przedmioty. "Błękitna" armia dostała się w dwustronny ogień.

- Sieg heil! Policyjne śwynie! Zabić śwynie! Seward chciał biec, krzyczeć, robić to, czego policjantowi w mundurze nie wolno. W oczach skinów widział wściekłą nienawiść. Organizacji zbyt długo pozwolono przygotowywać się w cieniu cywilizowanego społeczeń-

133

stwa. Przed sobą miał zjednoczone "robactwo" całej metropolii. Nie mógł biec ani krzyczeć. Stał skamieniały, zupełnie zapomniawszy o pałce. Zbyt późno chciał rzucić to wszystko. O jeden cholerny dzień za późno. Dzień różnicy między życiem a śmiercią.

Siły policji do skinów miały się jak jeden do dziesięciu. Policjanci nie mieli nawet szansy, by

zewrzeć szeregi. Padli na ziemię. Hełmy podskakiwały na ulicy. Skulili się w błękitne kule, które bito i kopano. Bezlitosna napaść była czymś więcej aniżeli wyrazem protestu. Transparenty przesuwano, a drągi zmieniały się w surowe piłki z zaostrozonymi grotami. Pojawiły się noże i łańcuchy. Atakujący tłum nie zwracał uwagi na swoje ofiary - również strasznie poranieni skinheadzi upadali na ulicę.

Policjanci nie dawali za wygraną. Nienawiścią odpowiedzieli na nienawiść. Nie ustąpili nawet o krok. O nic nie prosili. Seward upadł na ziemię. Niewysoki, masywny napastnik walił go pięściami i gryzł. Wtedy młody policjant w pełni odczuł grozę. Widział okropieństwa, jakie popełniano na leżących. Widział noże, które dźgały i cięły. Widział krew tryskającą z przeciętych tętnic. Glyn postanowił, że nie podda się tak po prostu. Nienawidził tych wyrostków za to, że nie poczekali do jutra. Wyciągnął pałkę i z całej siły uderzył napastnika w krocze. Wyrostek podskoczył i zawył z bólu. Zsunął się skulony i odpadł od niedoszłej ofiary. Seward zdołał podnieść się na kolana. Potem stanął. Boże, bydlaki, zapłacą mi za to! Wezbrała w nim ślepa wściekłość. Wściekłość jakiej dotąd nie znał, i której istnienia nawet się nie domyślał. Dziko uderzył w ostrzyżoną głowę skina. Nawet w zgiełku walki usłyszał chrzęst pękającej czaszki. Życie za życie.

Teraz było mu już wszystko jedno. Wiedział, że nie wyjdzie stąd żywy. Postanowił jednak, że zabierze kilku skinheadów ze sobą.

Wszędzie leżały ciała. Niektórzy dogorywali, inni już znieruchomieli. Słysząc było syreny nadciągających patroli. I tak nie poradzą sobie z tymi bandytami.

Nic z wyjątkiem ostrej broni nie powstrzyma tej nowej fali faszyzmu. Anarchia ukazała swe groźne oblicze i tylko armia mogła położyć jej kres.

Kilka kroków dalej Seward dostrzegł umundurowanego przywódcę armii skinów, którego otaczała zapewne osobista ochrona.

Siedmiu czy ośmiu wyrostków w pełnym rynsztunku ze stoickim spokojem broniło swego Fuhrera. Na ich twarzach malowało się bezgraniczne, mistyczne oddanie. Seward nie zastanawiał się, jakie ma szansę.

Całą nienawiść skierował ku wodzowi. Rozpoznał w nim odpowiedzialnego za tę rzeź fanatyka. Tak jak przed czterdziestu laty cały naród ruszył na rozkaz zwykłego malarza, tak teraz ekspansywne zło, którego sukcesy kosztowały już wiele istnień, powstało do boju. Na początku na londyńskich przedmieściach... potem przyjdzie czas na prowincję... rozprzestrzeniają się, zło trafi do każdego zakątka, z kraju do kraju, z kontynentu na kontynent.

Głyn Seward bez hełmu, z pałąk w dłoni, rzucił się na oślep przeciw łomom i łańcuchom. Chciał zabijać.

Chciał unicestwić gada, który był odpowiedzialny za całą tą rzeź. Nawet kosztem własnego życia.

W ciągu kilku sekund Glyn zmarł niezauważony. Nie znalazł się nikt, kto mógłby zaświadczyć o zasługującej na nagrodę niezwyklej odwadze policjanta. Wirujący łańcuch uderzył go w twarz. Rozdarł skórę, roztrzaskał kości i

135

śmigającym końcem wyłupił oczy. Seward drgnął. Z przetrąconym kręgosłupem stał się śmieszny, kroczącą bezradnie kukłą, niewidomą figurą, która stanowiła łatwą zdobycz. Pobity i połamany runął na ziemię, potoczył się i znieruchomiał wpatrując się pustymi oczodołami w wiosenne niebo. Zakrwawione usta zamarły w ostatnim purpurowym przekleństwie.

Gdyby udało się rozdzielić dwie walczące strony, policja mogłaby zorganizować pośpieszny odwrót. Niestety, w panującym zamieszaniu nie było gdzie się wycofać. Każda potyczka zmieniała się w niezależną bitwę. Nie było mowy o jakimkolwiek porządku.

Przybyli z odsieczą policjanci próbowali przedostać się do walczących. Nieświadomie włączali się w zbiorowe szaleństwo. To powiększało chaos i prowadziło do niechybnej zguby.

Nikt, nawet ci funkcjonariusze, którzy przeżyli, nie mogli sobie przypomnieć żadnego wezwania do odwrotu. Nagle faszyści wycofali się w boczne uliczki skutecznie wtapiając się w grupy innych

skinheadów, którzy mogli, lecz nie musieli, być zamieszani w całą sprawę.

Trudno dosłyszeć za dnia pohukiwanie sowy, gdy ludzie wyją i krzyczą.

Na placu boju pozostali tylko martwi i ranni. Byli pobitą armią. Wkrótce zapewne przyjdzie czas na biurowe, sążniste raporty. Być może policja aresztuje kogoś. To jutro. Dziś dominował strach związany z niepewnością przyszłych dni. A zwłaszcza nocy.

Kilka ulic dalej od miejsca bitwy, przy krawężniku, stała Cortina 200 z pracującym silnikiem. Człowiek za kierownicą, oczekiwał poleceń smukłej blondynki siedzącej u jego boku i wpatrywał się tępo przed siebie. Ciemne ubranie było wymięte, kruczoczarne włosy

136

zmierzwione i niechlujne. Siedząca obok kobieta była czarująca.

- Daj mi papierosy, Sabat. - Jej ton był ostry, niemal karcący.

Sabat sięgnął do schowka na rękawiczki. Namacał paczkę. Wytrząsnął papierosa z pudełka, podniósł go do ust, drugą ręką znalazł zapalniczkę. Zaciągnął się równo. Po chwili papieros trafił do ust Katriony.

- Uczniowie Lilith zadali dzisiaj potężny cios - w głosie Katriony pojawiła się nuta uniesienia. - Do jutra Front Wyzwolenia na dobre ujawni swoją tożsamość. Strach zaczął już robić swoje. Będziemy

walczyć w cieniu nocy wypełnionej strachem. Zwłaszcza dla tych, którzy u-krywają się za zamkniętymi drzwiami. Nikt nie odważy się wyjść na zewnątrz. Armia już ruszyła. Każdy z żołnierzy wierzy w moje posłanie. Tak jak ty. My też się rozejdziemy, Sabat. Wrócisz do domu, z jasnymi rozkazami, które będziesz dokładnie wykonywać i będziesz czekał na dalsze.

Spojrzała w lusterko i uśmiechnęła się do siebie. Zbliżał się zdecydowanym krokiem, z szyderczym wyrazem twarzy, pułkownik Vince Lealan.

- Oto i sam Vince. Zawieziesz nas teraz do portu lotniczego, a potem wrócisz do miejsca, gdzie zaparkowałeś samochód. Wsiądziesz do niego, a ten zostawisz.

Sabat nieznacznie skinął głową na znak, że zrozumiał wszystko. Katriona wiedziała, że będzie posłuszny. Nie miał wyboru.

Pułkownik rzucił się zmęczony na tylne siedzenie. Zaczął rozpinąć mundur. W tym momencie Sabat puścił sprzęgło i ruszył labiryntem wyludnionych, bocznych uliczek, które ciągnęły się nie opodal miejsca krwawej potyczki.

137

- Mój Boże, żałuj, że tego nie widziałaś! - Lealan zdołał przebrać się w jasnoniebieski garnitur, z nawyku strzepując palcami odrobinę kurzu z marynarki.

- Wyglądało to tak samo, jak na początku lat trzydziestych. Przypominam sobie. Ci ludzie przybywający na wezwanie, gotowi, posłuszni... Sabat słyszał już inny głos. Stłumiony chichot należący do Quentina, chichot, który osłabił tą malutką isierkę bezradnego oporu, która jeszcze w nim płonęła. Teraz Sabat naprawdę odrodził się jako Quentin. Po nocy z Lilith, Boginią Ciemności. Zjednoczone siły zła nawet teraz mogą doprowadzić do holocaustu, który zniszczy nie tylko Wielką Brytanię, lecz również cały cywilizowany świat. Sabat należał teraz do straszliwego przymierza. Był zupełnie niezdolny do oporu. Nawet śmierć nie uwolni go od odpowiedzialności.

Rozdział X

Sabat wrócił do domu późnym popołudniem. Na zewnątrz nic się pozornie nie zmieniło. Zaparkował daimie-ra w garażu i wszedł do środka. Zatrzymał się w przedpokoju próbując zebrać myśli. Odczuwał jednocześnie swoj-skość i obcość; wydawało mu się, że nie powinien tu teraz być, że nie jest już mieszkańcem tego domu. Na ostatnie przeżycia patrzył z perspektywy obserwatora - tak jakby to wszystko przytrafiło się komu innemu. Oquentin też go już nie niepokoił. Sam był Oquentinem.

Otworzył drzwi do sali gimnastycznej. Zszedł po schodach i włączył światło. Przyjrzał się leżącym w sali trzem odzianym w drelichy postaciom. Po zmroku się ich pozbędzie. Trzech martwych skinheadów nie powinno zwrócić uwagi policji. Wrócił na górę i wszedł do saloniku. Na whisky i pep-pennint nawet nie spojrział. Nalał sobie sporą porcję dzi-nu. Dzinu, którego smaku dotąd nie znosił. Poczł palenie w gardle. Z ulgą odstawił szklankę. Nalał ponownie. Quentin zawsze uwielbiał dzin. W pewnym okresie swej przerażającej kariery był przecież alkoholikiem.

Sabat dopiero teraz poczuł zmęczenie i senność, która go ogarniała po odwiezieniu Lealanów na Heathrow. Teraz, gdy został sam, chciał po prostu spać. Powlókł się na górę zabierając szklankę z dzinem.

Pchnął drzwi sypialni i natychmiast się cofnął. Szklanka upadła na dywan. Zwierzęcy skowyt dobył się z jego

139

warg. Poczł mrowienie. Krople potu zrosiły mu czoło. Kucnął i zaczął wpatrywać się w pokój. Wiedział, dlaczego nie może tu wejść. Pentagram, narysowany kredą na deskach podłogi pod dywanem - owa pięcioramienna gwiazda - odstraszała wszelkie złe istoty. A Sabat był już jedną z nich.

Zaklął. Wiedział, że nie ma sposobu by wejść do środka. Wycofał się na schody. Lęk zmniejszał się z

każdym krokiem. Potrząsnął pięścią w bezsilnym gniewie. Wrócił na parter i wyciągnął się na jednej z sof w bawialni. Przymknął oczy. Próbował poddać się ogarniającej go fali znużenia. Nie mógł się jednak odprężyć. Napięcie nie zniknęło. Czuł, że oddech stał się nierówny. Mięśnie miał naprężone. Pograżył się w niespokojnym, płytkim śnie, ale dobrze wiedział, co się z nim dzieje.

Astralne ciało było wyraźnie zaniepokojone i zniecierpliwione. Znów pragnęło dalekiej wyprawy. Kiedy indziej by się tym nie przejął. Tym razem jednak wiedział, że astralne ciało należy do Quentina. Powędruje więc w nieznany świat zła, nad którym Sabat nie sprawował kontroli. Nie było sposobu, by tego uniknąć.

Astralne ciało Quentina porzuciło go nagle, gwałtownie uzyskując swobodę. Wzbiło się wysoko w ciemniejące niebo jak latawiec, który urwał się ze sznurka i szybuje w przestworza.

Sabat spojrział w dół. Ujrzał jasno oświetlone ulice, wesołych ludzi idących do teatru, do kina. Nie przejmowali się straszną uliczną bitwą, która rozegrała się kilka mil stąd. Nie byli nią zainteresowani.

Wznosił się w górę. aż zamazały się kontury tego, co leżało pod nim. Sunął przez czarne, nocne niebo, jakby jakaś nieznana siła ciągnęła go na wyznaczone miejsce.

Wreszcie ciemność ustąpiła miejsca światłu. Promienie słoneczne zaczęły intensywnie przypiekać. Sabat znalazł dobrze krainę, w której wylądował... Ta sama jałowa ziemia, gdzie od wieków toczy się straszliwy bój, gdzie ludzie umierają w mękach, a sępy pożerają ich zwłoki, gdzie trwa wojna Sił Światła z Siłami Ciemności, ale gdzie Ścieżka Lewej Ręki, nie mogąc przekroczyć tej nasiąkłej krwią pustyni, kończy się, bo zło ciągle jeszcze nie zwyciężyło. Tym razem jednak Sabat zjawił się tu pod inną postacią. Był ciemnoskórym wojownikiem, który skradał się z lękiem.

Było nieznośnie gorąco, bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Zdawało mu się, że usycha w swej ciemnej skórze, że jego siły zanikają. Z pewnością było to piekło, ziemia wypalona słonecznym ogniem. Zapach śmierci unosił się ciężko w powietrzu. Wkrótce dotrze do miejsca walki. Jeśli spotka tam kogoś żywego, będzie się czuł jak zdrajca.

Nie spodziewał się jednak, że trafi na dziewczynę. Leżała naga w płytkim zagłębieniu. Myślał, że nie żyje. W jej postaci było coś znajomego. Zasnęta krew pokrywała jasną skórę. Trudno było nawet odnaleźć rany. Miała rzadkie, kasztanowe włosy. Gdy stał, wpatrując się w nią, drgnęła, usiłując niezdarnie przewrócić się na bok. Patrzyła na niego, jej twarz wykrzywiał ból. Cofnął się. Usta poruszyły się z trudem. Jęknęła: - Pomóż mi, Sabat!

Przez ułamek sekundy jej ból udzielił się Sabatowi. Jakby nóż przekręcił się w jego trzewiach, żółć podeszła do gardła Szorstkim, drwiącym śmiechem zdołał jednak ukryć w sobie litość i poczucie winy.

141

- Ilono, więc ty także się tu dostałaś. Jak to się dzieje, że dziwka ma w tych stronach jasną skórę?

Podniosła rękę do ust. Była wstrząśnięta i przerażona. W jej oczach pojawiły się łzy. Sabat dostrzegł głębokie rany na jej ramionach i nogach, uszkodzoną tętnicę. Poczul strach. Zaczął się bać samego siebie.

- Kurwa! Suka! - znalazł w ustach dostateczną ilość śliny, by splunąć na piasek. - Zdradziłaś tych, którzy niebawem zapanują nad ziemią, tak jak panują w piekle. Obyś wiła się w mękach swych ran na wieki! Ilona ukryła twarz w piasku. Szloch wstrząsnął całym jej ciałem. A Sabat śmiał się. Rechet rozbrzmiewał w nieruchomym powietrzu pustyni. Pragnął się nad nią znęcać, bić ją długo, by błagała o wybaczenie i litość.

- Tak będą cierpieć wszyscy, którzy zdradzają Lilith, Boginię Ciemności - rzucił przez ramię odchodząc. Żałował, że nie może nienawidzić siebie za to, co zrobił przed chwilą. Ale Ouentin był w nim zbyt silny.

Bał się najbardziej Pola Bitwy, zaduchu rozkładających się w promieniach słońca ciała i

wzdętych, obzartych sępów. Próbował oszacować liczbę zabitych, lecz przekraczało to jego możliwości. Tym razem wydawało mu się, że wśród martwych było więcej jasnoskórych. Być może dzień rozstrzygnięcia był bliski, być może zwycięstwo było już niedaleko.

Sabat chodził po Polu Bitwy nie bardzo wiedząc, czego szuka. Wezwały go siły potężniejsze od niego. Upał, głód i pragnienie - osłabiły go. Gdy pięciu jasnych wojowników wyszło nagle z kępy skarłowaciałych kaktusów, stawiał tylko symboliczny opór.

Obchodzili się z nim brutalnie. Zdarli mu przepaskę,
142

był zupełnie nagi. Przyglądali mu się z wyrazem okrucieństwa.

- Sabat, najemnik i zdrajca.

Wysoki, jasnowłosy mężczyzna, który przypominał Sabatowi starożytnego Greka, splunął mu w twarz.

- Niedawno byłeś tu by znaleźć Lilith. Chciałeś ją zniszczyć. A teraz - cóż za odmiana - jesteś jednym z jej uczniów!

Sabat chłodno patrzył na mówiącego. Przez chwilę odczuwał wyrzuty sumienia. Chciał usprawiedliwić się, lecz słabość minęła tak prędko, jak się pojawiła. Zacisnął wargi i milczał. Nie miał zamiaru rezygnować z walki.

- Możemy cię zabić, Sabat. - Przystojny młodzieniec postąpił do przodu.

Na jego twarzy malowała się wściekłość zupełnie nie pasująca do szlachetnych rysów.

- Możemy uwięzić twe astralne ciało tak, by nie mogło już wrócić do ciała fizycznego. W ten sposób Sabat umrze, zostanie unicestwiony na zawsze.

Sabat nie mógł ich powstrzymać. Leżał rozciągnięty na gorącym piasku, przywiązany mocno do trzech pali. Najwyraźniej zostały przygotowane na jego przybycie. Przymknął oczy by nie widzieć oślepiającego blasku słońca. Gdy je otworzył był sam. Otaczały go ciała zmarłych. I sępy.

Ogromne ptaki zbliżały się do niego. Przyglądały mu się uważnie; krew kapłała im z dziobów. Mimo że były syte, rzuciły się na świeży żer. Jeden z ptaków, śmielszy niż pozostałe, przydreptał bliżej, by dziobnąć żywe ciało swej nowej ofiary. Chrapliwy jęk Sabata spłoszył ptaka, który odskoczył z nastroszonymi piórami.

143

Sabat dobrze zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Był niewrażliwy na ból, sępy nie mogły zrobić mu krzywdy. Jeśli jednak nie wróci do swego fizycznego ciała, spoczywającego na sofie w bawialni, a ktoś spróbuje go obudzić, niechybnie umrze. Po śmierci zawsze następuje "pusta" chwila, w której ciało astralne wyzwala się ze zwłok. Jeśli ciało Sabata będzie leżało przywiązane do pali na palącym piasku pustym, to pozostanie tu na zawsze,

skazane na piekło. Tak jak przewidzieli to jego wrogowie.

Żar nieco osłabł. Słońce chowało się powoli za widnokręgiem. Potem zgasło nagle, jakby spieszyło się, by wypalić jakąś inną ziemię. Po chwili zmierzchu nagle zapadła ciemność. Powietrze stężało od mrozu. Gwiazdy na nieboskłonie świeciły jasno drwiąc sobie z Sabata. Były ich tysiące. - Nigdy nie uda ci się stąd odejść. Dzień po dniu będziesz smażył się w słońcu, a nocą zamarzał w mroku. Nigdy nie umrzesz, ponieważ jak wszyscy tu, już nie żyjesz. Gdzieś zawyło dzikie zwierzę. Mógł to być wilk. Sabat nie obawiał się jednak wilków.

Niebezpieczeństwo tkwiło w nim samym. Jeśli pozostanie tu, gdy słońce wzejdzie, już nigdy nie opuści tej astralnej równiny.

Ogarniał go coraz większy strach. Instynktownie napiął mięśnie próbując rozluźnić więzy. Wiedział jednak, że nie pękną. Sytuacja, w jakiej się znalazł sprawiła, że na jego spalonych wargach pojawił się blady, ironiczny uśmiech. Tyle lat dobrowolnie poddawał się rozkoszom niewoli, a teraz został na nią skazany. Jeśliby zdołał się wyzwolić może nie byłoby to tak straszne. Nic jednak nie mogło pomóc jego astralnemu ciału. Przyjemności seksualne mógł przeżywać jedynie w myśli; ciało było

144

przynębiająco niezdolne do reagowania na tego rodzaju pragnienia. Dźwięki i zapachy docierały do

jego astralnego ciała, ale już przed laty Sabat nauczył się nie zwracać na nie uwagi. Owo wyjące zwierzę było w takim samym stopniu istotą fizyczną jak on sam lub sowa, która pohukiwała w niewielkiej odległości. Nagle do uszu Sabata dobiegł szeleszczący dźwięk, jakby odgłos bosych stóp, stąpających po ruchomych piaskach...

Dopiero, gdy ujrzał przed sobą kobietę uwierzył, że nie jest to złudzenie. Mógł dostrzec jedynie jej sylwetkę. Twarz skrywał cień. Była wysoka i zupełnie naga. W ulotnym świetle gwiazd jej skóra lśniła bielą i srebrem. Nogi miała lekko rozstawione. Stała nad nim i przyglądała się. Nic nie mówiła. Sabata ogarnął niepokój, czuł się ponizony. Czy przysłali ją tutaj, by drwiła sobie z niego, by patrzyła, jak jego ziemskie ciało umiera? Czy miała dręczyć go erotycznymi wizjami?

Pochyliła się, coś błysnęło w jej dłoni. Omal nie wybuchnął głośnym śmiechem. Krzyknął:
- Nie zabijesz mnie i dobrze o tym wiesz! W chwili gdy wydawało mu się, że zanurzy ostrze noża w sercu, jej ręka zmieniła kierunek. Usłyszał, jak przecina sznury krępujące mu nadgarstki. Zadrżał, potem napięcie zelżało. Miał swobodne ręce. Przestał odczuwać ból, gdy krew zaczęła ponownie krążyć. Zręcznie również przecięła więzy krępujące nogi. Był wolny. Za jaką jednak cenę?

- Wiesz co robić, Sabat - jej głos był srebrzysty, dziewczęcy, choć nie była podlotkiem. - Służ wiernie Ścieżce Lewej Ręki, a będziemy cię chronić.

Zwolennicy Ścieżki Prawej Ręki są twoimi wrogami i jeśli tylko im się

uda, zniszczą cię. Nie zostało wiele czasu - wracaj do swego ziemskiego ciała szybko, zanim nie będzie za późno.

Sabat usiadł. Próbował rozpoznać rysy swej wyzwoli-cielki, lecz ona natychmiast cofnęła się w cień.

- Komu zawdzięczam wolność?

- Tej, której służysz - zaśmiała się, odwróciła i zniknęła w ciemności.

Strach ponownie ogarnął Sabata. Wiedział już bez wątpienia, że kobietą, która go uwolniła, a potem zniknę-ła na pustyni, była sama Lilith. W nocy, kiedy zgiełk bitwy ucichł, panowała ona nad tą ziemią śmierci. Sabat przyrzekł wierność potęgom ciemności. Gdyby je zdradził, zemsta mogła okazać się straszna.

Sabat poruszył się. Przeciągnął się na sofie. Jego kończyny były pokurczone i zbolale. Głowa pulsowała boleśnie. Otworzył oczy i skrzywił się porażony dziennym światłem wpadającym przez okno. Boże, to boli. Jak migrena. Przymknął oczy i przez moment żałował, że nie może zasnąć.

Zazwyczaj po wypadzie na równinę astralną czuł się odświeżony, bez względu na to, jak wiele sił tam zużył. Tym razem czuł się kompletnie wyczerpany umysłowo i fizycznie. Lilith poddała próbie jego lojalność. Musi przejść przez to wszystko bez

wahania, w przeciwnym razie umrze. Gdyby ją zawiódł, nadal by tkwił w tym piekle, gdzie żar i mróz na przemian.

Usłyszał, że w hallu dzwoni telefon. Ostry dźwięk wstrząsnął nim boleśnie. Zerwał się, myśląc jedynie o tym, by aparat przestał dzwonić.

- Tu mówi McKay. Sabat skrzywił się. Ostatnią rzeczą, o której chciał te-

146

raz słyszeć, była policja. Udało mu się wymamrotać "uh-hu", po czym dodał:

- Czuje się odrobinę nie w sosie.

- Przykro mi bardzo, lecz mimo wszystko chciałbym wpaść do ciebie.

Jasne było, że sierżant ma zamiar przyjechać bez względu na to, co się mu odpowie.

- W porządku - Sabat westchnął. - Nie oczekuj jednak, że znajdziesz mnie w najlepszej kondycji. No i będziesz musiał mówić cicho, bo głowa mi pęka.

Usłyszał jeszcze śmiech McKay'a, gdy ten odkładał słuchawkę na widełki.

Boże, jak nienawidził tej przeklętej policji! Pójdzie w rozsypkę wraz z resztą systemu. Gnicie już się zaczęło, robactwo toczyło głęboko fundamenty chwiejącej się budowli. Nie mógł jednak jeszcze grać w otwarte karty. Słowa Katriony wypowiedziane głosem o srebrzystym brzmieniu, podobnym do głosu kobiety z pustyni, wciąż dźwięczały mu w

uszech: "Potrzebuję konia trojańskiego w obozie wroga".

I Sabat miał właśnie zostać tym koniem. Jego głównym zadaniem miało być niweczenie działań policji. McKay mógł się teraz okazać nieodzownym sprzymierzeńcem.

Gdy Sabat otworzył drzwi, policjant miał taki wyraz twarzy, jakby chciał powiedzieć: "Nieźle się zaprawiłeś, co?"

Nie uznał go jednak za wyczerpanego do kresu sił. Zgodził się wypić whisky. Ze zdziwieniem uniósł brwi widząc, że Sabat pije dzin. Powstrzymał się jednak od komentarzy.

- Słyszałeś już o bitwie? - zapytał McKay.

147

- Oczywiście. Ile ostatecznie było ofiar?

- Jedenastu policjantów nie żyje. Czterdziestu sześciu jest rannych, w tym dziesięciu w stanie krytycznym. Zmarło również dziesięciu skinheadów, lecz, niestety, tylko jeden faszysta. Jednak, jak szef powiedział wczoraj po południu, do tej pory nic nie udało się ustalić. Poza tym zeszłej nocy zginęło jeszcze trzech wyrostków-wampirów. Żeby wyrównać rachunki. Przypuszczam, że wiesz już, jak poważną rolę odegrał Vince Lealan we wczorajszych zamieszkach?

- Tak - Sabat skinął głową, utkwivszy spojrzenie w szklance.

Zamieszał bezbarwny płyn, tak jakby to była istotna część rytuału picia dżinu.

- Teraz naprawdę ujawnił swoje oblicze? Prawda?

- Odwiedziliśmy Langdon Manor zeszłej nocy.

Ptaszki do tego czasu uciekły. Do diabła! Z informacji, którą otrzymaliśmy dwie godziny temu wynika, że Vince i Katriona znajdowali się na pokładzie samolotu odlatującego z Heathrow do Paryża o siódmej dziesiątce poprzedniego wieczoru. Uciekli z kraju. I tak nie moglibyśmy wiele im zarzucić. Być może prowokowanie zamieszek. Vince twierdzi, że uciekł, ponieważ nie mógł zapanować nad tłumem, że wszystko co się stało, było przypadkowe, że emocje wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem i rozbiły demonstrację, która pierwotnie miała przebiegać w zupełnym spokoju. Do jasnej cholery! Faszystów pokonano w 1945 i noszenie swastyki powinno być zakazane przez prawo. Ten kraj jest jednak miękki jak gówno i teraz płacimy za nasze tak zwane liberalne podejście.

- Policja chyba ich rozgromiła? - Sabat ciągle wpatrywał się w szklanę z dżinem.

148

- Jeszcze jak! Bydlaki! Mogli spokojnie pokonać tych, co przeżyli i nasze pałki. Zamiast jednak walczyć rozpierzchli się po bocznych uliczkach, mieszając się z tłumem kibiców. Nic nie można im udowodnić, gdyż prysnę-li z pola bitwy. Właśnie

dlatego. Sabat, zaczynam łączyć w myśli tych skinów z ..wampirami".

- To śmiała hipoteza. - Sabat uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Sądzę, że muszę nauczyć się myśleć nieco bardziej realnie.

McKay patrzył zdziwiony.

- Mówisz tak, jakbyś chciał koniecznie przyznać się do porażki, jakbyś przed czymś tchórzył

- To wyczerpanie. Cały czas pracuję, nie śpię, a nie mam się czym pochwalić. Sądzę jednak, że nie mogę przerywać moich działań. Najprawdopodobniej coś się niedługo wyjaśni.

- Nasze patrole radzą sobie nielepiej - mruknął Clive McKay. - Ci mordercy są czujni jak dzikie koty. Gdy detektyw obserwuje jedną ulicę, mordują na sąsiedniej. Wygląda na to, że czują pułapkę na odległość.

- Czy masz plany ruchów patroli? - Sabat starał się, by pytanie zabrzmiało naturalnie.

- Oczywiście. Działamy według pewnego systemu - człowiek CID wyglądał na zaskoczonego. - Dlaczego pytasz?

- Chciałbym im się przyjrzeć - odparł Sabat. - Być może pozwoli mi to skuteczniej pracować. A nawet przyniesie sukces.

- W porządku - McKay skinął głową. - Podeślę ci kopie. Właśnie sporządziliśmy rozkład na następny tydzień.

- A Lealan?

- W Langdon Manor dawali mieszkania skinheadom, być może pięćdziesięciu na raz, tygodniowo... szkolili ich. Miejsce idealnie się do tego nadaje. Jest izolowane. Znajduje się w odległej części kraju. Mogło to już trwać dwa, trzy lata. Do diabła. Sabat! Ci skini stanowią dostatecznie duży problem, gdy jest ich zbyt wielu. Wyobraź sobie co będzie, gdy zdobędą choćby jako takie pojęcie o szkoleniu SAS. Boże, wczoraj właśnie widzieliśmy, do czego mogą być zdolni. Zastosowali doskonały taktyczny manewr, który dał nieźle popalić dwustu szkolonym policjantom. Antyfaszyści dołączyli do faszystów i zadali policji dosłownie cios w plecy. Skinheadzi korzystają ze zdobytych umiejętności. Czekają, czają się. Nie wiem gdzie ani kiedy uderzą znowu. Z pewnością jednak to zrobią.

- Daj mi plan twoich ulicznych patroli, Clive. - Sabat wstał. Oznaczało to, że spotkanie już się skończyło.

- Oczywiście - Mc K-ay zrozumiał sugestię. - Zadbam o to, by plan dotarł do twoich rąk. - I jeszcze jedno. Chciałbym, byś brał nas bardziej pod uwagę w swoich zamierzeniach.

- Być może tak zrobię - Sabat zaśmiał się i odprowadził gościa do drzwi.

Był zmęczony. Bezwładnie opadł na kanapę. Ból głowy stał się dotkliwy (dżin nigdy mu nie odpowiadał... chociaż?).

Bał się znowu położyć. Myśl o zaśnięciu napawała go przerażeniem, jak dziecko obawiał się koszmarów.

Astralne ciało przygniatało go swą siłą. Musiał jednak odpocząć. Z chwilą, gdy się położył, poczuł, jak opadają mu

150

powieki To było odprężenie, pełniejsze niż za poprzednim razem Nawet bóle głowy nieco zelżały Podświadomie czuł, że śni, że to jest to projekcja jego astralnego ciała Ale mimo wszystko mu było dobrze Polana na zalesionym stoku wydawała się tak znajoma, że nawet we śnie starał się ją ominąć Nie mógł jednak uciec Spotkanie stało się nieuniknione Miał stanąć twarzą w twarz z Quentmem, lecz to nie był on To był Sabat' Naprzeciwko niego, Quentin Wymachiwał toporem i zmuszał Marka Sabata, by się cofnął Nie mógł trafić Przeciwnik cofnął się kilka kroków Potknął się o jedno z wydobytych ciało i wpadł do otwartego grobu Spojrzał w głąb czarnej czeluści Nagle rozległy się strzały Poczł zapach spalonego kordytu Padał \V alczył Gryzł Szarpał pazurami

Tylko jeden człowiek wydobył się z grobu Quentin On sam Ujrzał to tak jednoznacznie, jakby jego astralne ciało unosiło się ponad nim Quentin Sabat był zwycięzcą'

Usiłował się obudzić Świadomie walczył Coś jednak wciągało go z powrotem w nocny koszmar Mógłby przysiąc, że oczy ma otwarte, że przebudził się, a jednak po-koj nadal był ciemny Tylko światło lamp

ulicznych przenikało przez okna rysując sylwetkę kobiety w drzwiach

**Sabat skurczył się, chciał zasłonie oczy dłońmi
Usiłował pozbyć się jej widoku Nagi gość był bez wątpienia tą samą kobietą, która wyzwoliła go z więzów w pustynnym piekle To ona panowała nad każdym jego ruchem, nad każdą jego mysią Lilith, Sukub, Bogini Ciemności1**

- Muszę się przekonać, czy naprawdę jesteś Ouentinem - W jej głosie czuć było naganę Lekko potrzęsała głową - być może w gniewie

151

- Sądzę, że wiesz kim jestem, Sabat. Spisałeś się nieźle, wkrótce poznam ruchy policji w mieście po zmroku. To wielka pomoc dla moich uczniów.

Sabat skinął głową. Pochwała Lilith sprawiła mu przyjemność. Wiedział, że nie łatwo było na nią zasłużyć.

- Mimo wszystko - jej oczy w mroku zdawały się płonąć - nie przeszedłeś jeszcze swojej najcięższej próby. A prawdopodobnie tylko ty jesteś w stanie wyjść z niej cało.

Sabat powstrzymał oddech. Poczul, jak serce ogarnia chłód.

- Moi uczniowie są gotowi. Czekaają - kontynuowała.

- Nasze ostatnie zwycięstwo nie wystarczy. Musimy pokazać światu na co nas stać. Musimy udowodnić, że jesteśmy niezwyciężeni. Musimy zasiać niepokój w sercu każdego śmiertelnika, tak, by nikt nie spał

nocą bezpiecznie. Tak zwane siły prawa i porządku muszą ulec zniszczeniu. W tym celu jeden z najwyższych urzędników policji musi zostać bezlitośnie zgładzony. Udowodnimy im, że nie są niezwyciężeni. Stracą w oczach społeczeństwa cały szacunek, jakim się dotąd cieszą. Sabat, twoim zadaniem jest zabić tego człowieka, komisarza Scotland Yar-du!

Sabat chciał krzyknąć: Nie! To niemożliwe. Zbyt dobrze go strzegą! - Bał się jednak powiedzieć to głośno. Lilith jednak przejrzała jego myśli.

- Tchórz! - Jej oczy płonęły w ciemności. Rosła wściekłość. - Możesz to zrobić i zrobisz! Zabijesz tego człowieka. Użyjesz jednego z urządzeń, które zabrałeś chłopcom zabitym w twoim domu. Chcę, aby świat wiedział, że komisarz zginął, bo Lilith tak nakazała. Spróbuj tylko nie wykonać mojego rozkazu, a trafisz z powrotem

152

na pustynię. Tam skazany zostaniesz na koszmar nieśmiertelności. Będziesz piekł się za dnia i zamarzał nocą. Tylko sępy będą ci towarzyszyć.

- Zrobię tak jak każesz - głos Sabata ledwie przypominał szept. Drżał.

- Zabijesz tego człowieka jutro w nocy. Potem przyjdę do ciebie i nagrodzę cię.

Zniknęła, a Sabat pogrążył się w pustym śnie zapomnienia. Unosił się łagodnie, ciało i umysł wreszcie odpoczywały.

Gdy obudził się po południu, było jeszcze jasno. Pamiętał sen ze wszystkimi szczegółami. Nie walczył z nim. Wiedział, że nie jest to wytwór podświadomości. Nazbyt dobrze znał potęgę Lilith, Bogini Ciemności. Ona wydała rozkaz, on go wykona.

Komisarz Scotland Yardu musi umrzeć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Padnie ofiarą Handlarzy Krwią, w decydującej fazie walki o panowanie nad światem.

Rozdział XI

W miarę jak gęstniał mrok mijał lęk Sabata. Ogarniało go otępienie, pojawiła się chęć wykonywania rozkazów Lilith. Powstawała nowa świadomość. Nie myślał o grozie związanej z planowanym morderstwem. Zachowywał się jak zombie. Mimo to, odruchy jego były szybsze niż zwykle. Stał się maszyną do zabijania, którą stworzyła żądna krwi bogini.

Większość dnia poświęcił na opracowanie szczegółów swego zadania. Chłodno analizował każde posunięcie. Często korzystał z planów nocnych patroli policji w mieście, które McK-ay przesłał mu przez gońca tego ranka. Umożliwiały mu one niezakłócone dotarcie do interesującego go miejsca.

Wszędzie mógł zaparkować swój samochód. McKay nie będzie niczego podejrzewał. Sabat czuł się bezpieczny, mając aprobatę sierżanta Scotland Yardu.

Już się nie wahał. Żądza zabijania umacniała się w nim łatwo. Uważnie sprawdził pistolet. Magazynek był pełny. Broń spoczywała w skórzanej kaburze pod marynarką. Strzykawka ze śmiertelną dawką zwisała swobodnie przyczepiona wewnątrz marynarki pod lewą pachą. Pistolet był po drugiej stronie. Trzecią broń stanowiła umiejętność szybkiego i cichego zabijania gołymi dłońmi - efekt szkolenia SAS. Ten sposób najbardziej przypadł mu do gustu.

W centrum miasta krążyło wiele pojazdów. Ludzie nie bacząc na szerzący się terror, załatwiali codzienne sprawy.

154

Sabat zachichotał cicho. Niebawem rynsztoki staną się czerwone od krwi. Spłynie jej tyle, że Rewolucję Francuską uznać będzie można za niewielką potyczkę. Uczniowie Lilith nie znają litości.

Za Blackwall Tunnel panowała groźna pustka. Ulice, na których zaledwie kilka tygodni temu można było spotkać klientów pubów i włóczęgów, teraz były jak wymarłe. Przez trzy mile Sabat nie dostrzegł żadnej prostytutki. I w tej dziedzinie życia nastąpiły rzucające się w oczy zmiany.

Sabat był w siedzibie komisarza jedynie raz, lecz każdy szczegół domu i jego otoczenia zapisał się mu na trwałe w pamięci. Jego umysł przypominał komputer - przechowywał dane aż do czasu, gdy mogły się na coś przydać. Teraz ten czas się zbliżał. Minęła jeszcze godzina, zanim opuścił Londyn. Rozległe przedmieścia ustąpiły w końcu miejsca wiejskim krajobrazom, oczekującym na swój cywilizacyjny los. Mijane osiedla nie przypominały już dawnych wiosek. Nowe domy zniszczyły bezpowrotnie atmosferę minionych lat. Mieszkańcy bezskutecznie próbowali cieszyć się tym co najlepsze z obu epok.

Kilka razy dostrzegł w bocznym lusterku światło motocykla jadącego za nim w pewnej odległości. Zwolnił, dając prowadzącemu szansę, by go wyprzedził. Ten nie skorzystał z okazji. Sabat zastanawiał się, czy przypadkiem nie dostał policyjnego stróża, lecz kilka mil dalej maszyna zniknęła. Najprawdopodobniej motocyklista skręcił gdzieś w bok i pewnie nigdy go już nie zobaczy. Sabat zahamował. Zaparkował samochód w alei wysadzonej po obu stronach drzewami, gdzie mógł pozostać niezauważony wśród daimierów i jaguarów. Stał tam również rolls royce. Przyjrząwszy mu się Sabat stwierdził, że

155

maszyna ma pięć lat i raz ją przerejestrowywano. Wszystko tu świadczyło o pozycji społecznej

mieszkańców, od ich ubrań do samochodów. Sabat nienawidził tych ludzi za ich małostkowość.

Uśmiechnął się, wiedział bowiem, że wkrótce wszystko to ulegnie zmianie. Nowe Towarzystwo dokona rewolucji.

Naturalnym krokiem ruszył ulicą. Szedł w cieniu topoli. Był czujny jak polujące zwierzę.

Przygotowany na każdą ewentualność. Wrażliwość jego systemu nerwowego wzrastała. Aż do ostateczności.

Dom komisarza znajdował się przy samym końcu drogi. Położony był wśród zwartych gruntów.

Otaczał go duży, zarośnięty krzakami i trawą ogród.

Żwirowy podjazd prowadził do odnowionej gregoriańskiej rezydencji. Tutaj nie sposób było poruszać się bezgłośnie. Gdzieś w chaszczach ukryty był detektyw - człowiek, którego jedynym obowiązkiem była ochrona wysokiego funkcjonariusza policji. Był to najprawdopodobniej ktoś, kto również służył w SAS i znał nieźle walkę wręcz. Z pewnością były tu także alarmy, jakieś niewidzialne promienie, które wyślą ostrzeżenie w chwili, gdy ktoś znajdzie się w ich zasięgu.

Sabat był jednym z niewielu ludzi zdolnych do sforsowania tych przeszkód. I do wydostania się z powrotem.

Doszedł do końca drogi. Pas asfaltu ograniczony głogowym żywopłotem raptownie się urywał. Za nim było już tylko trawiaste pole. Dalej zaczynała się nowa "wioska". Opadł na czworaka. W żywopłocie

dostrzegł przerwę, którą rozszerzyły przechodzące dzieci i zwierzęta. Prześliznął się bezszelestnie jak polująca czarna mamba. Nie podnosił się. Człgał się trzydzieści czy czterdzieści

156

jardów. Dopiero wówczas uniósł nieznacznie głowę. Rozsunąwszy wczesnowiosenne listowie rozejrzał się. Znajdował się teraz na zapleczu domu komisarza. Światło gwiazd i blask odległych ulicznych lamp rozjaśniały przestrzeń wystarczająco, by mógł zobaczyć to, co go interesowało. Miejsce, w którym się znajdował, nie było zwykłą łąką. W ciemności rozróżniał wylaniające się z trawy nagrobki. Porosłe mchem, nie pozwalały odczytać znajdujących się na nich napisów. Groby przypominały zarośnięte kopce. Zatraciły swe znaki szczególne. Splątane, ponure chaszcze świadczyły, że cmentarz opuszczono wiele lat temu, prawdopodobnie gdy znaleziono nowe, odpowiedniejsze miejsce do poświęcenia. Wpatrywał się w otaczający go mrok. Nie mógł odnaleźć konturów kościoła. Być może znajdował się on w innym miejscu.

Sabat poddał się spokojowi tej małej wysepki wśród podmiejskich zabudowań. Pod nim spoczywały ciała tych, którzy dawno odeszli z tego świata i z ludzkiej pamięci. Być może któregoś dnia opuszczone nagrobki zostaną zniszczone, a grunt wyrównany. Na ich miejscu powstaną nowe domy.

Uczniowie Lilith, gdy totalna władza znajdzie się już w ich rękach, zniszczą wszystkie pamiątki po minionych pokoleniach.

Sabat ocknął się. Miał zrobić coś znacznie bardziej ważnego, aniżeli prowadzenie rozważań, którymi się przed chwilą zajął.

Gdy badawczo przyglądał się zwieńczonemu wieżyczkami domu, ogarnęło go dobrze znane uczucie zagrożenia. Coś nakazało mu obejrzeć się. Widział plamę ciemności, cmentarz, dalej pole, a dalej, kilkaset jardów od miejsca, gdzie się znajdował, szeregi lamp ulicznych. Pró-
157

nięte w kocyk wyśliznęło się. Rozległ się niemowlęcy o-krzyk przerażenia. Bob rzucił się, by złapać Emilkę - ojcowski instynkt kazał mu ją chronić. Nie zdążył.

Ostry ból w trzewiach sprawił, że Bob zgiął się wpół i rozpaczliwie chwycił rękę, która wepchnęła w jego wnętrzności ostry nóż. W ciągu jednej sekundy ujrzał krew tryskającą na beton. Emilka również krwawiła. Uderzyła główką o ziemię.

Sytuacja była beznadziejna, ale Bob nadal walczył. Próbował dostać się do dziecka. Okutymi butami kopali go bez litości. Poczul jak uderzenia miazdzą mu twarz i łamią kości. Usta miał pełne wybitych zębów. Połykając je zaczął się dusić. Przed oczyma majaczyła mu czerwo-no-czarna mgła. Wściekle walczył z bólem. Tracił świadomość. Połamanymi

palcami próbował jeszcze chwycić szal Emilki. Jego śnieżna biel upstrzona była dziwnymi, purpurowymi plamami.

Nim stracił przytomność, poczuł jak jego czaszka pęka, jak rozdzierają mu skórę, jak przez rozlupaną, rozwartą kość zaczyna się sączyć szara substancja.

Leżał ślepy i prawie nieprzytomny, a jeszcze próbował przeklinać wyrostków, którzy nadal kopali jego ciało. Czuł, że Emilka już nie żyje. Jego własny stan nie obchodził go więc zbyt wiele...

Po jakimś czasie dopchało się do niego trzech konstabli. Próbowali powstrzymać rozhisteryzowaną Marię, która tuląc martwe dziecko do łona, krzyczała do przechodzących ludzi: Ona na pewno żyje! - Boba Ingletona nie można już było uratować. Jeden z policjantów wezwał jeszcze przez radio ambulans, ale było już za późno.

Młodszy policjant Glyn Seward złożył wymówienie w wymaganym terminie. Miał dwadzieścia jeden lat.

Zdał

5 - Krwawa bogini

12*7

- Ciszej, głupcze - syknął Sabat. - W imię Lilith nakazuję ci zachować ciszę.

- Wzywasz jej imienia na próżno - odpowiedź była matowa, a słowa wyuczone.

Niski głos brzmiał jak zahipnotyzowany.

- Ona właśnie rozkazała cię zabić, Sabat. Trójka nasłanych na ciebie uczniów nie wyszła z twego domu. Wszystko dokładnie widziałem. Od tamtej

chwili czekam. Śledziłem cię, aż nadszedł czas. Teraz jesteś sam i nie opuścisz tego miejsca żywy!

- Głupcze! - Sabat przeraził się, że ich głosy, niesione wiatrem, mogą trafić do ochrony osobistej komisarza. - Te rozkazy się zmieniły. Teraz jestem jednym z was. Uczniem Lilith. Wyznaczono mi zadanie zamordowania komisarza policji. Być może twoja nieudolność już wszystko popsuła. Jeśli tak się stanie faktycznie, to gniew Lilith będzie straszny i zapłacisz za swoją głupotę krwią. Bądź więc cicho i wracaj skąd przyszedłeś.

- Kłamiesz! - syk zwiastował groźne zbliżanie się napastnika i uniesienie broni. - Lilith dała mi wyraźne rozkazy. Nie ma nikogo nad nią. Nagrodzi mnie za twoją śmierć. Sabat!

Sabat zdał sobie sprawę z bezsensu przekonywania jednego z tych zahipnotyzowanych robotów - morderców. Lilith nakazała mu zabić i jedynie ona mogła odwołać swój rozkaz.

Sabat przygotował się do ataku. Mięśnie nóg napięły się jak sprężyny gotowe do skoku. Musi gwałtownie powalić te dziewięćdziesiąt kilogramów. Przeciwnika trzeba zlikwidować szybko i cicho. Wtedy, być może, jego nocna praca nie pójdzie na marne.

Skoczył, lecz nie docenił sprawności rosłego mężczyz-

159

ny. Jego ogromne ciało usunęło się na bok z zaskakującą lekkością. Zdażył jednak pchnąć

pistolet-strzykawkę, przed którą obronił Sabata instynktowny unik. Poczul, jak stalowe ostrze rani mu twarz tuż koło blizny. Coś ciepłego i lepkiego spłynęło po policzku.

Sabat zerwał się i uskoczył. Przeciwnik rzucił się w jego kierunku z gardłowym rykiem zwierzęcej wściekłości. Zakodowano w nim i rozpalono żądze zabijania, jednak również potrafił wyzwolić w sobie nienawiść.

Obaj skutecznie stosowali uniki. Wiele ciosów nie trafiło do celu. Nagle stanęli twarzą w twarz. Walcząc cofnęli się na zapomniany cmentarz. Próbowali znaleźć na jego nierównym gruncie jakieś oparcie dla stóp.

- Umrzesz! - warknął napastnik chwyciwszy śmiertelnie ostrą strzykawkę jak sztylet.

Spiczaste ostrze cięło bez problemów. Sabat uskoczył i potknął się. Nim zdążył powstać, napastnik był już na nim przyciskając go do ziemi. Lewą ręką Sabat chwycił prawy nadgarstek przeciwnika. Usiłował usunąć broń ze spoconych, brudnych placów. Sapał z wysiłku. Napotkał godny opór. Napastnik miał nawet niewielką przewagę. Masa jego ciała była większa. Dwuna-stalowe ostrze śmierci na przemian cofało i przybliżało się do szyi Sabata. Jedno celne pchnięcie wystarczy, żeby były funkcjonariusz SAS pożegnał się z życiem. Sabat doskonale wiedział, że czas działa na jego niekorzyść. Siła mordercy wynikała z fanatycznego oddania Lilith. Każdego z jej uczniów tresowano w hipnotycznym śnie.

Ostrze posunęło się jeszcze o cal. Sabat wiedział, że nie będzie mógł dłużej stawiać oporu. Boże, gdybyż tylko ten łajdak nie trzymał jego drugiej ręki. Może zdołałby

160

sięgnąć po trzydziestkę ósemkę. Nie mógł jednak wykonać żadnego ruchu.

Czuł, że nadchodzi chwila śmierci. W ułamku sekundy powróciły obrazy z przeszłości - jak błyskawiczna powtórka przed drogą w nieznane. Sabat przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Quentinem... nie, z samym sobą, ponieważ teraz on był Quentinem. Przypomniał sobie, jak oczekiwał na śmierć, świadom, że tylko jeden z nich może przeżyć. Poczul, że spada. Grunt zdawał się go pochłaniać... O Boże, to wszystko dzieje się naprawdę. Ziemia jakby rozstała się i oba ciała walczących mężczyzn zaczęły opadać w straszliwą przepaść!

Ogarnęła ich ciemność, w której nie było ani gwiazd, ani ulicznego światła. Powietrze, więzione przez setki lat, było zatechłe i cuchnęło pleśnią, wilgocią, zimnem i złem.

Sabat próbował wmówić sobie, że to nie dzieje się naprawdę, że jest to tylko wspomnienie z czasów, gdy Ouen-tin (on sam) umarł i narodził się znowu. Ten sam odór grobowej ziemi... i znowu koniec mógł być tylko jeden.

Nagle upadli na dno. Druzgocący wstrząs targnął ich ciałami. Wyglądało na to, że nie była to projekcja jego umęczonej wyobraźni.

Ziemia rozstała się i Sabat wraz z Uczniem Śmierci zapadł się w jakiś ohydny otwór. Napastnik nadal był na nim. Sapał głośno i nie mógł złapać powietrza. Tym razem Sabat udowodnił swoją wyższość.

Uchwyt rozluźnił się na ułamek sekundy. Sabat chwycił pojemnik-pistolet i odrzucił go. Usłyszał, jak zapada w miękką ziemię. Błyskawicznie uwolnił drugą rękę. Namacał kolbę 38-ki i wyciągnął ją z futerału.

- Umieraj, świnio! - Olbrzymie dłonie schwyciły

6 - Krwawa bogini

161

gardło Sabata i zaczęły go dusić. Piekielny mrok zaczął zmieniać się w matową czerwień.

Nagle oczy przesłonił mu purpurowy błysk.

Ekspluzja sparaliżowała udęczonego umysł. Sabat poczuł, jak opierające się na nim ciało podniosło się na moment, a potem opadło tak, że 38-ka ukryła się w miękkich fałdach tłuszczu. Znowu wypalił Odrzut gwałtownie nim szarpnął. Jedno ramię było jak sparaliżowane, przygniecione bezwładną masą ciała przeciwnika.

Strzelił jeszcze kilka razy. Dźwięk był przytłumiony, jakby dobywał się z głębi morskiej toni.

Towarzyszyły mu drgania. Chwyt na szyi Sabata zelżał, walczył o powietrze dławiąc się dymem po wystrzałach.

Był zdezorientowany. Nagle jako pustynny podróżnik znalazł się oszołomiony i przerażony w oślepiającej burzy piaskowej. Wiatr zatarł wszystko. Próbował stwierdzić, czy było to złudzenie, czy wspomnienie czegoś okropnego z przeszłości, czy wszystko to działo się naprawdę. Nic go to jednak nie obchodziło. Wszystko czego teraz pragnął to ujść z życiem. Bał się. Głównie tego, że padł ofiarą jakiegoś psychodelicznego ataku. Czuł się tak, jakby jego czaszka puchła i wybuchała. Jego nerwy krzyczały z nie-wysłowionego bólu.

Usiłował za wszelką cenę zrzucić z siebie ciało martwego mężczyzny. Udało się. Legli obok siebie na dnie jakiejś wąskiej, głębokiej przepaści. Ubranie Sabata czymś przesiąkło. Poczul ciepło gęstej cieczy. Mimo psychicznych męczarni domyślił się, co to jest. Krew! W pierwszej chwili obawiał się, że to jego własna, lecz gdy w swej dłoni odkrył 38-kę. wiedział, że to krew przeciwnika. Człowiek leżący obok niego ciągle był żywy. Z jego ust, bulgocząc, dobywała się purpurowa ciecz życia.

162

Sabat zaczął walczyć na oślep, byle wyzwolić się od nieznanego. Nagle palce jego swobodnej ręki natrafiły na coś miękkiego i ciepłego jak kąpielowa gąbka. Natychmiast cofnął rękę. Przyczepił się do niej kawałek zbutwiałych zwłok.

Wreszcie udało mu się stanąć na ciele mężczyzny. Szukał wyjścia. Odległość między ścianami wynosiła

trzy stopy. Szorstkie kamienie i ziemia kruszyły się, gdy próbował się oprzeć. Zwierzęcy instynkt zastąpił logiczne myślenie. Zachowywał się jak zwierzę schwytane w pułapkę, które myśli jedynie o ucieczce. Był jak borsuk, ślepo wykopujący się spod pękniętego głazu, na moment przed atakiem terierów. Spojrzał w górę. Dostrzegł pomarańczowy prostokąt i malutkie połyskujące w oddali światła. To mogły być gwiazdy. Podskoczył. Spadł na zakrwawione ciało i kości, które chrupnęły w proteście, gdy ostatnia cząstka powietrza wydostała się z wypełnionych krwią płuc. Sabat podskoczył znowu. Tym razem zdołał uchwycić kawałek skały. Zawisł. Po chwili podciągnął się instynktownie wyżej. Tę sprawność kształcił w sali gimnastycznej, całymi godzinami wspinając się po linach i trapezach.

Zaczął wydobywać się na zewnątrz. Nieczuły na kamienie, które rozdzierały ubranie i cięły ciało. Wygrzebał się. Na czworaka, powłócząc nogami, zaczął oddalać się od grobu. Bał się, że grunt może znowu się zapaść i zawładnąć jego ciałem.

Pokonał nie więcej niż dwanaście jardów i skapitulował. Położył się. Po chwili namacał swoją 38-kę z komorą pełną zużytych łusek.

Nieświadomość zaczęła mu zagrażać jak burzowe chmury. Oprzytomniał jednak. Ciemność przerzedziła się, a chmury rozproszyły. Wpatrywał się w gwiazdziste niebo. Był świadom, że uniknął śmierci. Pró-

bował jakoś wytłumaczyć sobie to wszystko Po jakimś czasie poddał się Gdzieś w pobliżu ktoś przeklinał lecz Sabat nie zwracał na to uwagi Po pewnym czasie jednak rozpoznał głos Był mu znajomy

Trudno powiedzie[^] czy Sabat spał czy dla nabicia czasu wpatrywał się bezmyślnie \ \ niebo Dopiero gd; blada szarość wczesnego poranka pojawiła się na wschodzie mózg zaczął właściwie funkcjonować Bolała go głowa miał nudności i zapewne wymiotowałby gdyby miał czym Wiedział, że udało mu się wyjść cało ze powiocił jakby z dalekiej podróży

Wolno powstał i ostrożnie badając stopą ziemię wiocił do ziejącej z ziemi dziury Bez wątpienia był to star) grób rodzinny, podziemna krypta ukryta pod gęstą trawą Zapadła się w chwili gd) dwaj mężczyźni toczyli nad jej kruchym wejściem śmiertelny pojedynek

Sabat odwrócił się i odszedł Drżał Wszystko to wyglądało tak jak sfilmowane na powoli przesuających się klatkach ostatnie spotkanie z Quentmem wtedy gdy razem wpadli do otwartego grobu

Potem doznał olśnienia To była euforia przemieszana z niedowierzaniem Potrzebował czasu, b) powróciło poczucie wartości i prawdy Wolność polegało na wyzwoleniu się z hipnotyczne) niewoli

Jego umysł znowu pracował sprawnie Był przerażony bo wiedział co się stało Wiedział właściwie przez cały czas lecz był bezsilny Nie potrafił zatrzymać biegu zdarzeń Teraz jednak już spokojnie odwrócił się Dostrzegł kontury wielkiego zwiędzonego wieżyczkami domu na tle bielejącego nieba Komisarz spał spokojnie w swoim łóżku zupełnie nieświadomy jak blisko był śmierci \ Sabat zadziwał gdy /dał sobie sprawę jak blisko był popełnienia z zimm* kiwią mor-164

derstwa, które miało ułatwić ustanowienie na ziemi okrutnego reżimu pod władzą Sił Zła. Rozpoznał dokładnie ten głos i te przekleństwa. To Quentin. Teraz, gdy Sabat był znowu wolny, czarna dusza jego brata znowu została uwieczniona. Wahadło wróciło do punktu wyjścia. Walka będzie trwała nadal - wieczna walka pomiędzy siłami Zła i Dobra. Tak jak na jałowej pustyni w świecie ciał astralnych. W końcu wściekły głos Quentina wybrzmiał w niespokojnej ciszy. Sabat przyjrzał się sobie. Nasiąknięte krwią ubranie schnąc zeszywniało. Był jak wojownik wracający z pola walki, który nacina sobie policzek, by znowu krwawić. Ten ogolony wyznawca zła, otumaniony żądzą ślepej zemsty, był jego zbawicielem. Upadek w głąb grobowej komnaty i krwawy mord zamieniły role. Zła dusza została pokonana, a hipnotyczny czar Lilith złamany. Było to zupełnie niepojęte. Tajemnicę znali tylko władcy

ciemności, ale częściowo znalazł ją również jeden człowiek, z którego pragnęli uczynić swego sługę. Sabat uśmiechnął się do siebie, gdy zasiadał za kierownicą damilera. Westchnął z ulgą. Silnik zapalił za pierwszym przekręceniem stacyjki. Mimo armii krwiożerczych, zahipnotyzowanych „wampirów”, ostatnia noc skończyła się źle dla Lilith, Bogini Ciemności. Teraz dla Sabata walka stała się sprawą osobistą. Płonęły już w nim ogniki zemsty, wzbierała nienawiść i wściekłość przeciw tej, która wyrządziła mu tyle krzywd. Jego nienawiść skierowała się ku kobiecie, która uciekła z kraju, by zorganizować za granicą ostatnie uderzenie sił zła, przeciw Ka-trionic Lealan! Niegdyś drżał na myśl o jej sadystycznych skłonnościach. Teraz daleki był od masochizmu. Gdy pędził o świcie pustą szosą, jego fantazje zmieniły się nie do

165

poznania. Teraz to on stał ze skórzanym pejczem w ręku, a K-atriona kulila się związana i bezradna. Ścisnął kierownicę ze złośliwą zapalczywością. Jego gniew rozpałił się na dobre.

Widział już czerwone pręgi na jej delikatnym ciele. Widział rozciętą skórę. Słyszał uderzenia jak strzały 38-ki, wśród jej krzyków i błagania by przestał.

Umazana krwią, wiła się z bólu. Rzemień wrzynał się głęboko w jej ciało. Krzyki samej Lilith! Nie zwracał na nie uwagi, podobnie jak na przekleństwa Quentina.

W końcu wyobraził sobie jej ciało, zniszczoną urodę i oczy płonące ciągle wewnętrzną wściekłością. Należy ją zniszczyć jak pijawkę, nim przyssa się do innej ofiary. Istnieje tylko jeden sposób! Mój Boże, Sabat radował się każdą sekundą profanującą okaleczeniami jej ciało. Widział już w wyobraźni przyszłość. Przypomnił sobie Ilonę i to, jak cierpiała. Bezgłowe ciało Katriony Lealan: z jej piersi rozerwanych przez stalowy, wbity w mostek drążek, jak z wulkanu buchająca purpurowa lawa. Lilith warczała, szalała z poniżenia. Dopiero wtedy to wszystko się skończy. Bezsilna armia faszystów rozsypie się. Anarchia skończy się, gdy organizacja ulegnie rozbiciu. Jedynie śmierć Katriony mogła pomóc Sabatowi w zwycięstwie. To ona kazała mu zabijać. Teraz wystąpi przeciw swej mocodawczyni. Najpierw jednak musi ją odnaleźć.

Rozdział XII

Ulubionym miastem Sabata był Paryż. Panowała w nim jeszcze atmosfera dni, które minęły: ów szczególny czar, którego nawet faszyści nie potrafili zniszczyć w czasie kilkuletniej okupacji. Sabat postanowił, że nie pozwoli zburzyć tego wszystkiego współczesnym faszystom. Zwłaszcza że

działać mieli z inspiracji Katriony, która gdzieś za ich plecami snuła swe zbrodnicze plany. Katriona była dwudziestowiecznym wcieleniem owej jędzy, która robiąc na drutach, obserwowała, jak głowy spadają z gilotyny. Była nieszczęsną jej parodią, która zmartwychwstała, by na ulicach znowu płynęły rzeki krwi.

Sabat nie szukał jej po omacku. W przeddzień wyjazdu do Francji sporo czasu spędził w domu, w bogatej bibliotece, której ściany pokryte były od podłogi do sufitu rzędami książek. Wiele lat poświęcił na zbieranie literatury dotyczącej okultyzmu. Fascynacja nie minęła nawet w czasach jego kapłańskiej posługi. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Oto siły starożytnego zła opanowały stolicę na trzysta lat przed rewolucją, w czasie gdy kraj pozostawał pod przemożnym wpływem czarnej magii, gdy Lilith, jako wampir i su-kub, z pewnością miała szerokie pole do popisu.

W 1438 roku człowiek o imieniu Pierre Yallin złożył w ofierze Szatanowi swą własną córeczkę i, jak głosiła plotka, zło przybrało postać niezwykle pięknej kobiety, która w nagrodę odbyła z nim akt seksualny.

167

Sabat przewracał kartki historii starożytnych rytuałów demonicznych. Jego usta stężały, a oczy zwęziły się. Czy to Szatan faktycznie zmienił swój kształt, czy posłał jednego ze swych najbardziej

zaufanych uczniów? Bez wątpienia, w całej tej paskudnej sprawie maczała palce Lilith, Bogini Ciemności! Katriona, opętana przez Lilith, wróciła na scenę, by kontynuować swą pięćsetletnią historię dzieciobójstwa, by gromadzić potęgę wystarczającą do ostatecznego uderzenia - unicestwienia społeczeństwa.

Sabat dowiedział się jeszcze, że Pierre Vallin mieszkał w bezpośrednim sąsiedztwie Sacre Coeur i to wystarczyło, by w niespełna dwadzieścia cztery godziny były agent SAS zjawił się w Paryżu i zarezerwował miejsce w hotelu mieszczącym się zaledwie kilkaset jardów od malowniczego placu Montmartre. Znowu działał zgodnie ze swymi przeczuciami. Magia i sztuki czarnoksięskie były bardzo rozpowszechnione w tym kraju, co do tego nie miał żadnych wątpiwości. Łatwo można tu znaleźć setki miejsc odpowiednich dla Katriony. Należało jednak od któregoś zacząć, a czasu miał niewiele. Aby ustalić to miejsce, musiał powrócić do astralnego wymiaru. Ryzykował duszą i ciałem. Szukał przecież najnikczemniejszej kobiety w historii ludzkości. Lokalizacja Katriony to dopiero początek. Gdy ją znajdzie, zobowiązany będzie ją unicestwić.

Powrócił do swego hotelowego pokoju natychmiast po obiedzie. Niebawem rozpoczął ważne rytuały, aby zapewnić przedsięwzięciu bezpieczeństwo i pomyślność. Sypialnia była mała. Okno na trzecim piętrze wychodziło na niechlujne podwórka z

przepelnionymi koszami na śmieci. Ubóstwo wyposażenia pokoju bardzo mu odpowiadało. Przynajmniej nic mu nie będzie przeszkadzało.

Podniósł z

168

jednej strony łóżko i oparł je o ścianę, potem - związawszy dywan, zaczął zamiatać podłogę. Procedura była bardzo drobiazgowa: nawet najdrobniejszy kurz musiał być usunięty z powierzchni podłogi. Z walizki wyjął kredę i sznurek. Z ogromnym wysiłkiem na deskach podłogi narysował dużą, pięcioramienną gwiazdę i obrysował kołem. Ręka, którą trzymał kredę lekko drżała, czuł niemal, że atmosfera w pokoju dziwnie się zmienia. Spadek temperatury był wyraźny. Mogło się zdawać, że siły zła już się gotowały do uderzenia. Był pewien, że Lilith wiedziała już o jego wyzwoleniu się spod hipnotycznej kontroli i o pościgu za Katrioną aż na kontynent.

Wszystko było już niemal gotowe. Słowa wypisane starannym drukiem stanowiły najskuteczniejszą ochronę... INRI... ADAM... TE... DAGERAM... kabalistycz-ne znaki zapożyczone z drzewa Sepirotycznego... Ket-her... Binah... Hod... Malkuth... inne pochodzenia egipskiego, Oko Horusa, w końcu pismo Arian. Dopiero teraz Sabat rozluźnił się nieznacznie, oddychając z większą swobodą. Zwłaszcza, gdy znalazł się w miejscu otoczonym kręgiem.

Znowu zaczął szperać w walizce. Wyciągnął pięć niewielkich, srebrnych kielichów. Zaniósł je wszystkie do umywalki w rogu pokoju i nappełnił wodą. Następnie uniósł nad nimi rękę. Jego gesty nie przypominały ruchów kapłana. Składając wskazujące palce jak dwururkę nad bezbarwną cieczą, niskim głosem mamrotał zaklęcia. Powtórzył całą procedurę pięć razy, po jednym razie nad każdym srebrnym naczyniem, aż w wodzie pojawiło się wiele pęcherzyków. Dopiero wówczas rozmieścił kielichy pojedynczo w każdym ramieniu pentagramu.

W pokoju było bardzo zimno. Noc zarzucała już swą
169

czarną opończę na wiekowe miasto. Niebo rozjaśniały tylko uliczne lampy i oświetlone okna. Paryż nigdy nie pogrążał się w całkowitym mroku. Jeśliby ktoś słuchał uważnie, to rozpoznałby również gwar głosów, śmiech, śpiew i dźwięki muzyki. Stolica Francji właśnie budziła się do życia, gdy Sabat, rozebrany do naga, zapieczętował święconą wodą pięć otworów swego ciała. Potem położył się na łóżku.

Czekał go czas ciężkich doświadczeń.

Ciało Sabata pozornie było odprężone. W środku jednak napięcie nie ustępowało. Jego system nerwowy bronił się instynktownie. Zachowywał się tak, jakby domyślał się, co Sabat zamierza uczynić tej nocy. Nie był to przy-padLowy wypad w astralny

wymiar. Jego misja, jeśli miał odkryć owe stare miejsce, gdzie obmyślano złe postęпки ludzi, wymagała znacznie większego stopnia koncentracji. Atmosfera w pokoju zdawała się już tętnić życiem niewidzialnych złych sił, przytrzymywanych w bezpiecznej odległości jedynie siłą pentagramu. Sabat znieruchomiał. Przymknął oczy. Malutkie kropelki potu spływały mu po twarzy. Chciał się odprężyć i próbował pokonać wszystkie psychiczne przeszkody. Z wysiłkiem skierował myśli ku Litith. Poczł rosnące podniecenie. Można się było tego spodziewać. Myśl o pięknej Bogini Zła wprawiała go w drzenie. Żadna ludzka istota płci męskiej nie mogła uniknąć jej diabelskich uroków. Pragnął, żeby erotyczne myśli zaprowadziły go do niej, podobnie jak pięć wieków temu zaprowadziły Pierre'a Yallina. Poczł, że pogrąża się we śnie. Ale sen nie był podobny do zwyczajnych nocnych drzemek. Człł, że już odpły-

170

wa w ciemność, gdzie wiatry wyły i szarpały go, a tysiące głosów szeptało wokół:

- Sabat tu jest. Sabat przyszedł.

Unosił się w ciemności, która uniemożliwiała postrzeganie czegokolwiek. Świadom był obecności niewidzialnych istot. Dotykały go zimnymi, wilgotnymi palcami, chwytaly go, ciągnęły w przerażająco gęstą ciemność.

I wtedy ujrzał pod sobą miasto. Rozpoznał je. Był to Paryż. Dostrzegł Montmartre, gdzie artyści szkicowali węglem swe dzieła, otoczeni przez dziwnie odzianą publiczność. Gdy się zniżył, dokładnie dostrzegł wszystkie szczegóły. Obraz nędzy tworzyli ludzie, a potęgowały osobliwe budynki. Panował tu również lęk! - ale to Sabat odczuł dzięki swej nadzwyczajnej wrażliwości.

Mężczyźni i kobiety rozglądali się na boki, wpatrywali się w ciemne, przecinające się alejki - wiedzieli, że jakieś nieznane niebezpieczeństwo czai się gdzieś w pobliżu. Nikt nie oddalał się, wszyscy trzymali się blisko siebie.

Sabat wylądował i dołączył do tłumu ubrany w komplet ze szkarłatnego jedwabiu. Jego spodnie - pumpy, ni-knęły w białych skarpetkach i nasuwanych butach. Wino lało się szeroką strugą, jednak jego astralne ciało nie mogło go skosztować. Kobiety, z niemal groteskowo wymalowanymi twarzami, przyciągały uwagę. Próbowwały jednak zniknąć w tłumie. Chciały zbliżyć się do mężczyzn poszukujących rozkoszy ciała.

Sabat lekcewał nieistotne szczegóły. Z napięciem przyglądał się otaczającym go twarzom. Gdy po przeciwnej stronie brukowanej ulicy zobaczył mężczyznę, wiedział, że jego poszukiwania zakończyły się pomyślnie. Nie mógł się mylić.

Wysoki, szczupły, odziany w obszyty czarną wstążką
171

zielony welwet, z drobno przystrzyżonymi wąsami, o oczach blisko osadzonych -- to był pułkownik Vince Lea-lan. Sabat wiedział także, że przygląda się równocześnie temu, którego szukał - Pierrowi Vallinowi!

Vallin był spokojny. Zdawało się, że ma mnóstwo czasu i w tym miejscu, dobrym jak każde inne, zamierza ten czas spędzić przyjemnie.

Sabat przysunął się nieco bliżej. Zdecydował już, że nie może opuścić swej ofiary, że musi ją trzymać w polu widzenia. Gdy Vallin pójdzie do domu. Sabat ruszy za nim. Potem, gdy wróci do swego fizycznego ciała, będzie wiedział na pewno, gdzie ma szukać kobiety, którą znał jako Katrion Lealan.

Sabat niecierpliwił się, choć tłumaczył sobie, że czas tu płynie inaczej niż w dwudziestym wieku. Zaczął żyć przeszłością, w której dziesięciolecie mogło minąć w czasie kilku minut. Mimo wszystko wydawało mu się, że godziny upłynęły, nim Pierre Vallin w końcu odwrócił się i opuścił zatłoczony plac. Ulice, którymi podążał były wąskie, wyższe piętra domów po obu stronach nieomal stykały się miejscami. Z niektórych okien dochodziły urwane śmiechy. Paryskie dziwki dbały o swych klientów. Panowała ciemność. Żadne światło nie rozjaśniało ponurego miejsca. Sabat bał się, że zgubi Yallina i cały wysiłek pójdzie na marne. Może on skręcić bez ostrzeżenia do któregoś z tych domów. Sabat postanowił zmienić swą astralną postać.

Zmiana dokonała się błyskawicznie i tym razem przeistoczył się w szczura. Po chwili pędził już wzdłuż brudnego rynsztoka, zbliżając się do Vallina. Nawet jeśli tamten go zobaczy, pomyśli pewnie, że to jeden z bardzo wielu szczurów, który wyszedł na żer w cuchnące odpadki. W

172

ludzkiej postaci mógłby wzbudzić podejrzenia. Ofiara również była jedynie ciałem astralnym. Gdyby przebywał między żywymi, nie miałby się czego obawiać, dla nich był niewidzialny. Nagle Pierre Vallin zatrzymał się. Można go było dostrzec przez chwilę w futrynie oświetlonych drzwi drewnianego domu. Wszedł do środka. Drzwi zamknęły się. Sabat przyjrzał się fasadzie budynku. Starał się ją zapamiętać. Wiedział, że trudno będzie ją jeszcze raz odnaleźć. Mógł wrócić natychmiast do swego fizycznego ciała, lecz ciekawość przeważała. Odnalazł człowieka, którego szukał, dom, w którym ukrywała się Katriona. Miał okazję przyjrzeć się rytuałom zła, o których tyle czytał, niejasnemu mitowi, który w astralnym wymiarze stawał się rzeczywistością. Pierre Vallin. jeszcze tej nocy, odda swoje dziecko złej istocie w kobiecej postaci: Lilith - wampirzycy, Lilith - sukubowi. Gdy Sabat wahał się na brudnym progu, do jego szczurzych uszu doszedł ostry dźwięk dziecięcego

placzu. Wiedział, że nie chce wracać, nim dokładnie się temu wszystkiemu nie przyjrzy.

Raz jeszcze zmienił postać. Wielki szczur skurczył się. Po bokach wyrosły mu postrzępione skrzydełka, które uniosły go w powietrze. Stał się malutką ćmą, która frunąc od okna do okna szukała wejścia do budynku. Po chwili była już w środku.

Było tu duszno. Drażnił ostry zapach psującej się żywności, warzyw usypanych w' rogu dolnego pokoju. Podłoga aż lepiała się od brudu. Karaluch na stole mrugał żartobliwie do Sabata. gdy ten. odbijając się uporczywie od sufitu, pomknął na wyższe piętro.

Na piętrze też było tylko jedno pomieszczenie. Gdy

173

Sabat wleciał do środka, zaczęły go męczyć nudności. Tutaj także panował wszechobecny zaduch zgnilizny. Brudny stos zmiętoszonych koców, który służył Yallinowi za łożo, cuchnął od potu i moczu.

Drewniane pudło z dziecięcą bielizną, od dawna już nie praną, stanowiło namiastkę kołyski. W środku leżała kilkumiesięczna zaledwie dziewczynka.

Płakała, bo była głodna. Jej wyczerpane ciało pokrywały niezliczone bąble i strupy. Leżała we własnych odchodach.

Sabat przefrunął nad nią, wpatrując się w drobne rysy, niezwykle ostre jak na niewinne niemowlę. To była miniaturowa kopia Yallina. On zaś stanowił jeszcze jedno ogniwo w łańcuchu zła, który trwał

przez stulecia, aż zmaterializował się w żywej postaci Vince'a Lealana.

Okropność otoczenia sprawiła, że Sabat zateęsknił za swoim zdrowym fizycznie ciałem. Nie było żadnych wątpliwości. Pierre Yallin był owym zdolnym magiem, który badał naj sekretniej sze głębie tajemnych sztuk. Było na to wiele dowodów.

Ołtarz okrywała czarna tkanina, stał odwrócony krucyfiks. Surowo rzeźbiona figurka Chrystusa okaleczona była do granic bluźnierstwa i umazana krwią, która już wyschła. Sabat nie miał wątpliwości, że krew była ludzka. Kości i rozkładające się ciała zwierząt leżały rozrzucone na tacy. Wyżej wisiał na nitce jeszcze żywy szczur, którego krew ściekała wolno do czarnej czarki. Był to napój potępionych. Sabat pokonał znowu nadchodzące mdłości. Mógł tak uczynić tylko ktoś, kto widział takie obrazy wiele razy w różnych zakątkach ziemi.

A jednak poczuł jak ciało tężeje mu na myśl, że odnalazł właściwe miejsce, norę czarnoksiężnika, do której, bez wątpienia, przybędzie Lilith. Poznał to po słoiku maryno-

174

wanych napletków stojącym na ciężkim stole. Był to jedyny znak, że mieszkający tu zwolennik Ścieżki Lewej Ręki obcował z sukubami. a smakowite kąski przygotował, by ofiarować je odwiedzającym go, uwodzicielskim wampirzycom.

W końcu uwagę Sabata przykuł człowiek, po śladach którego tu przybył, Pierre Yallin. Yallin zrzucił barwne, uliczne przebranie. Teraz okrywała go powłóczysta tunika o czarnej barwie. Jego oczy płonęły fanatyczną niecierpliwością. Przygarbił się nieco, bo sufit był bardzo niski. Na jego twarzy widać było piętno minionych dziesięcioleci, czas w którym zmieniała się nie tylko moda, ale i on sam. Był zasuszony i stary. Miał diabelski wyraz twarzy.

- Córka dziwki! - kopnął kołyskę, która nieomal że przewróciła się na podłogę. Dziecko zaczęło krzyczeć jeszcze głośniej.

- Krzycz, krzycz. Po raz ostatni. Dziś w nocy sukub zostanie twoją matką. Będzie kołysała ciebie na swym łonie i syciła się niemowlęcą krwią.

Sabat usiadł na belce. Był cichym obserwatorem nikczemnych przygotowań. Czarne świece już się kopały tłustym dymem o duszącym zapachu. Yallin podniósł dziecko. Trzymał je za nóżkę na wyciągniętym ramieniu, jakby było kogutem. Z jego zakrzywionych ust wydobył się przytłumiony chichot.

- O, sukub będzie bardzo zadowolony tej nocy. Krzycz malutka, niech usłyszy twoje krzyki i szybko nadejdzie. Pierre Yallin zostanie sownie nagrodzony za tę ofiarę.

Czarnoksiężnik rozpoczął modlitwę. Niestety po francusku i łacinie. Sabat miałby poważne trudności ze zrozumieniem jego słów, gdyby me znał generalnego schematu

zakłęk stosowanych przy składaniu ludzkiej ofiary. Głos Yallina zmienił się w pisk, płomień jednej ze świeczek zamigotał i zgasł. Płomień drugiej leżał niemal poziomo w lodowatym podmuchu wiatru, który dostawał się do pokoju, kołysząc tkaninami okrywającymi ołtarz. Sabat musiał z całej siły trzymać się niebezpiecznej żerdzi. Wiatr go z niej spychał. Po chwili, tak jak oczekiwał, również i druga świeca zgasła. Pokój pogrążył się w mroku. 'Śpiew Pierra Yallina zniżył się do dziwnego, pełnego lęku zawodzenia. Bał się zjawy, która lada moment miała się ukazać.

Nagle pojawiło się światło, ulotny blask emanujący z jakiegoś nieznanego źródła. W powstałej poświacie można było rozpoznać tylko kształty i kontury.

Vallin klęczał. Ręce miał uniesione w obronnym geście. Dziecko na ołtarzu nagle znieruchomiało. Nie słychać było już płaczu. Mogło się wydawać, że i ono czuło obecność straszliwego zła. Coś, co wezwano z krainy niedostępnej śmiertelnikom, zjawiało się.

Sabat patrzył w napięciu. Czuł, jak rośnie w nim lęk. Widział jak obok ołtarza, na ścianie, zaczyna gęstnieć początkowo ledwie dostrzegalny cień o kształtach... kobiety, nagiej kobiety, kobiety, która w wyzywającym geście wyciągnęła najpierw jedną, potem drugą nogę. Jej piersi kołysały się delikatnie. Sutki miała pełne i jędrne. Jej figura podnieciłaby każdego mężczyznę. Na każde skinienie mężczyźni

czołgaliby się w upokorzeniu przed jej zmysłowym ciałem. Potem, gdy cienie opadły, pojawiła się twarz, promiennie piękna, i oczy, które płonęły jak rozżarzone węgle. Nozdrza miała rozchylone, jakby rozkoszowała się cierpkim odorem brudnego pokoju. Jej pełne usta rozchyliły się w uśmiechu, który przypominał uśmiech głodnej

176

Iwicy, gdy czuje świeże mięso. Gdy spojrzała na Yallina, Sabat zauważył w jej oczach pogardę. Potem zaczęła przyglądać się malutkiej postaci, która zaczęła się wiercić i płakać.

- Spójrz na mnie, Yallin - jej głos zabrzmiał z siłą burzy. - Karm twe oczy widokiem Lilith i wypowiadaj swe myśli!

Yallin mówił o swych żądzeniach przytłumionym szeptem, a ślina zbierała mu się w- małe bańki na wargach, które potem pękały i opadały na podłogę. Starcem zawładnęły młodzieńcze namiętności. Dziecko cicho płakało, jakby pogodziło się ze swym przeznaczeniem.

- To chyba nie wszystko? - z pogardą w słowach Lilith chłostała skuloną postać. - Przede wszystkim pożądasz władzy. Władzy nad śmiertelnikami, czyż nie? Siły, by twoją wolę uczynić ich wolą, by kazać im wypełniać twe rozkazy, tak jak ty wypełniasz moje.

- Oni... oni... oni... - głos Pierre'a Yallina zamarł, a drżący palec wskazywał malutką ofiarę.

- Głupcze! - warknęła. - Czy nie zdajesz sobie sprawy, że mogłabym zabrać to dziecko, kiedy tylko miałabym na nie ochotę? Dajesz mi tylko to, co mi się należy.

Skulony Yallin leżał na podłodze, nie kwestionując prawdziwości jej słów.

- Mimo to - Lilith śmiała się, a jej rysy nieco zmiękły - byłeś moim wiernym sługą przez te wszystkie lata. Wykonywałeś rozkazy bez komentarzy. I za to wszystko należy ci się nagroda.

Sabat dostrzegł jak małpia twarz Yallina unosi się. Poczucie ulgi zabłysnęło w jego głęboko osadzonych oczach. Stary człowiek nagle zdał sobie sprawę, że nie wszystko

177

stracone. Mruczał jakieś niezrozumiałe podziękowania, obiecując nieustanne oddanie Siłom Zła.

Lecz naga bogini spoglądała już tylko na szamocące się dziecko i wyciągała w kierunku ołtarza rękę. Po chwili wzięła małą i zaczęła tulić do piersi.

Dziewczynka uspokoiła się. Jej bezzębne usta otworzyły się w nadziei na dostęp do nabrzmiąłych sutków. Lilith pochyliła się. Pozwoliła dziecku ssać swe piersi.

Nawet Sabat nie potrafił domyślić się, co stanie się za moment. Wstrząs i przerażenie spowodowane tym spektaklem sprawiły, że nieomal nie spadł z belki. Lilith pochyliła głowę nad dzieckiem jak kochająca

matka, która ma zamiar pocałować maleństwo w czasie karmienia. Wyraz jej nabrzmiąłych ust ednak nie miał w sobie nic z miłości czy życzliwości.

Przyssała się do malutkiej szyjki jak krwiożercza pijawka. Dziecko tylko raz krzyknęło, wymachując rączkami i nóżkami. Po chwil opadło. Rozległ się chlepczący dźwięk. Kobieta zachowywała się, jakby piła gorącą herbatę. Słysząc było też równomierne kapanie. Czarna ciecz rozpryskiwała się na podłodze.

Gdy uniosła głowę, jej wargi były wymazane krwią, a oczy błyszczwały. Straszna żądza została nasycona. Dziecko zwisało bezwładnie - kłębek przesiąknięty krwią. Trudno w nim było rozpoznać małą istotkę sprzed kilku minut. Krew cały czas kapiała. Lilith odsunęła dziecko. Najwyraźniej chciała, by Pierre Yallin zabrał je. Zachowywała się jak gość, który oddaje pustą filiżankę.

- Weźcie... pijcie... - jej słowa brzmiały straszliwym bluźnierstwem - oto ciało moje, moja krew, niech moc będzie w tobie. Vallin!

Żałosna postać z podłogi chciwie chwyciła niemowlę.

178

Był tak osłabiony i wyczerpany przeżyciami, że o mało nie upuścił córki. Niezręcznie przyciągnął dziewczynkę ku sobie. Jego usta gorączkowo szukały otwartej rany na szyi dziecka. Znalazł ją. Ssał głośniejsz niż Lilith. Zadowalał się resztkami, które ona mu pozostawiła. W końcu resztkę sił opuściła go

i krwawe zawiniątko uderzywszy głucho o podłogę, potoczyło się. Dziwne, nierzeczywiste światło zdawało skupiać się na poranionej szyjce.

- Władza należy do ciebie, Vallin. - Lilith wycofała się bezszelestnie w cień. Widać było jedynie jej sylwetkę. Rysy zatarł mrok. - Nasączony jesteś moimi własnymi siłami na zawsze: w tym i w przyszłym życiu, i każdym następnym. Umrzesz i żyć będziesz znowu i, być może, kiedyś się spotkamy. Kto wie. Takie sprawy są tajemnicą nawet dla mnie. Będziesz jednak nadal mi służył i kiedy ostatecznie sięgnę po władzę nad wszystkimi śmiertelnikami, będziesz siedział na honorowym miejscu, obok mego tronu. Nie obawiaj się śmierci. Będziemy znowu żyć razem.

Nagle zniknęła. Pokój pogrążył się w mroku. Chłód zelżał. Pierre Vallin czołgał się po brudnej podłodze, ciągnąc za sobą martwe, żalosne zawiniątko. Raz jeszcze spróbował napić się eliksiru życia. Rozległy się ohydne odgłosy pustego ssania. Żyły niemowlęcia były już puste. Vallin zaczął się bezrozumnie śmiać. Sabat doszedł do wniosku, że czas już odejść. Żałował, że nie zrobił tego wcześniej, ale to co zaszło między Valli-nem a Lilith, potwierdziło jego podejrzenia dotyczące ostatnich kilku tygodni. Vince Lealan i Katriona narodzili się, by powtórnie służyć ciemnym mocom. To przymierze zagrażało teraz całemu światu. Sabat zwlekał z odlotem. Zastanawiał się nad okropnościami, które widział.

Gdy rozmyślał, z ulicy doszły dziwne odgłosy. Usłyszał zdenerwowane nawoływania, tupot wielu stóp. walenie w wejściowe drzwi. Okno rozświetlone było przez migoczące żółte światło. Prawdopodobnie płonęły pochodnie.

- Wyjdź Yallin! - ogłuszający krzyk zdawał się wstrząsać posadami domu. - Twoja magia cię nie uratuje!

Pierre Yallin wstał kwiląc Ciągnął nadal za sobą krwawe zawiniątko, tak jakby chciał znaleźć miejsce, w którym można by je ukryć. Z dolnych pomieszczeń dochodził trzask pękającego drewna. Schody zatrzeszczały pod ciężarem wielu osób. Duszne dymy pochodni wyprzedzały gości i szybko wypełniły górne pomieszczenie. Wreszcie wszyscy dostali się do środka. Pierwsi zamilkli Ludzie byli przerażeni tym, co zobaczyli w świetle płomieni. Najchętniej uciekliby z krzykiem z tego miejsca. Znaleźli jednak w sobie wystarczająco dużo odwagi, by pozostać.

- Widzicie - młody człowiek o wylupiastych oczach pokazał palcem ofiarę. - Czy nie mówiłem wam. Pierre Valhn poświęcił własne dziecko Szatanowi! I tu... - spojrzenie wszystkich przykuł słoik z przerażającą zawartością. Yallin. lekarz, dokonywał zabiegów obrzezania mężczyzn po to, by ich napletkami karmić złe duchy!

**- Spalić go, zabić nim przyjdzie Szatan, by go uratować! Niech smaży się w płomieniach jak w piekle, do którego trafi przed świtem! Ręce schwyciły Pierre'a Yallina, rozrywając jego sata-niczny ubiór. Oczom zebranych ukazała się wynędzniała. brudna postać. Paznokcie sprawiedliwych wbijały się w jego wyschniętą twarz, po której zaczęły spływać strużki krwi. Pięści zadawały mu bolesne ciosy. Kopano go. ła-
180**

miąć kruche kości. Błagał o litość, oszalał) z przerażenia, gdy tłum wywlekał go z cuchnącego domu.

Sabat podążał ich śladem, przecinając nocne powietrze. Dostrzegł znany mu, wyłożony kamienną kostką plac i stos drewna przygotowany do podpalenia. Na stosie ułożono stare, niepotrzebne meble. W jednej z ulic pojawiła się kolumna z Pierrem Vallinem. Ryczący wściekle i śpiewający tłum zdołał już się zgromadzić.

- Vallin kradł nasze dzieci, by ofiarować je Szatanowi. spalić go!

Las żądnych zemsty rąk wzniosł Pierre'a Yallina do góry i przywiązał do młodego drzewka - pala. Okrzyki protestu utonęły w grzmiących okrzykach tłumy. Płomienie zaczęły lizać suche drewno i wystrzeliły w górę snopami iskier. Drewno pękało i syczało.

Sabat uciekał przemieniony w nietoperza. Unosił się nad dachami domów i drogami. Spieszył, by co prędzej połączyć się ze swym fizycznym ciałem. Wkrótce przybył na nowy Montmartre. Również obecnie plac wyłożony był brukiem. I teraz było tu gwarnie. Nocni rozrabiacze i artyści używali ławek jako łóżek. Zmieniło się tu niewdele, i przy odrobinie wrażliwości, można było wyczuć lęk przed umacniającą się siłą zła i zaduch palonego drewna ze stosu czarownic. Obietnica Lilith okazała się prawdziwa. Wiedziała, że będzie go potrzebowała w ostatniej godzinie. Ludzie, których istnienia rozciągały się na całe stulecia, po wszystkich kontynentach, \v końcu połączyli s^ę w miejscu, od którego wszystko się zaczęło.

W chwili, gdy Sabat powracał do swego fizycznego ciała, usłyszał przytłumiony śmiech Ouentina. Za linia pentagiamn przyciszone głosy przypominały
181

brzmieniem nawoływania rozszalałego tłumu, który porwał Yallina. Czuło się nutkę rozczarowania. Nie dosięg-nęły Sabata. Chroniła go niewidzialna bariera.

Przed świtem głosy zniknęły wtopiwszy się w mrok. Sabat wiedział, że noc należy do niego. Był to jednak dopiero początek prawdziwej walki.

Rozdział XIII

Fala strachu przeszła przez miasto, nim następnego ranka Sabat opuścił hotel. Sto stóp od budynku kordon policji odgrodził wąską, boczną uliczkę. Żandarmi byli wszędzie. Ciało zawinięte w koce właśnie ładowano na ciężarówkę.

Sabat przyglądał się, stojąc w tłumie, który napierał na kordon mundurowych. Nie mógł dostrzec wszystkich szczegółów, wiedział jednak, o co chodzi. Południowe wydania gazet przyniosły jedną znaną mu historię... i jeszcze siedem innych!

Odszedł. Trudno mu jednak było się zdecydować. Coś powinien przedsięwziąć. Otwierało się wiele możliwości. Mógł wezwać Surete, by aresztowało Lealanów. Jednak podobnie jak w Anglii, sztuki czarnoksiężskie nie cieszyły się we Francji szczególnym zrozumieniem. Pojawi się jakieś nędzne oskarżenie, a Scotland Yard nie może przecież wymusić natychmiast rozkazu ekstradycji Vince'a Lealana za pamiętną Krwawą Sobotę. Przede wszystkim wymagało to czasu, a tego właśnie brakowało. Wampiry Lilith już wyszły na krwiożercze łowy. Sabat zastanawiał się, jakie rezultaty mogłaby dać konfrontacja z Lealanami za dnia. Wyzwałby zapewne ostatnie wcielenie Sił Zła, lecz jego wysiłki mogłyby okazać się bezcelowe. Westchnął. Jediną szansą było czekanie na

zmierzch, gdy przyjdzie czas zbrodni... lecz wtedy szansę będą po ich stronie.

183

Jeden człowiek nie może stanąć przeciw całej potędze Sił Ciemności.

Przechadzał się wąskimi uliczkami wokół Montmartru. Dostrzegł ten sam dom, który widział w postaci astralnej. Poczul jak bije mu serce. Bez wątpienia było to właśnie to miejsce.

Drewno wyschło i rozszczepiło się w wielu miejscach. Okna i drzwi wymieniano już pewnie kilka razy w ciągu ostatnich pięciuset lat. Poza tym wszystko wyglądało tak samo jak owej czerwonej od płomieni nocy, gdy rozwścieczony tłum łowców czarownic wywlókl Pierre'a Yallina i spalił go na placu.

Sabat miał krótką chwilę wytchnienia. Te kilka godzin dnia zostawił na sformułowanie planu, który pozwoliłby zwalczyć zło. Zło już rozprzestrzeniało się w szatańskiej siedzibie. W tej chwili jednak nie przychodziła mu do głowy żadna godna uwagi myśl. Było już dobrze po południu, gdy nagle błyskawicznie zaczął kojarzyć i przewidywać. Plan był dziecinnie prosty. Sabat zastanawiał się, jak to się stało, że nie wpadł nań wcześniej.

Wrócił do hotelowego pokoju. Zamknął drzwi i znowu oparł łóźko o ścianę. Potem zwinął dywan, aby penta-gram stał się widoczny. Na nocnym stoliku skonstruował z walizki, prześcieradeł, krucyfiks i kielichów miniaturowy ołtarzyk. Potem zaczął się

modlić. Nie klęczał, lecz stał wyprostowany z wyciągniętymi ramionami. Sabat wierzył, że Człowiek jest częścią Boga, a pokora to najzwyczajniejsza hipokryzja. Znowu był psychicznym najemnikiem, szukającym pomocy kogoś potężniejszego i, tak jak w przeszłości, wzywał dawnych bogów. Teraz również potrzebował pomocy tych trzech, którzy ścigali Lilith.

184

Panował spokój. Temperatura w pokoju nie zmieniła się. Również powietrza nie przenikały żadne nadprzyrodzone siły. Gdy skończył modlitwy, rozmontował ołtarzyk i doprowadził pokój do porządku. Nie wiedział, czy jego modlitwa została wysłuchana. Nie będzie tego wiedział jeszcze przez kilka godzin, do czasu, gdy zapadnie mrok. Wtedy jednak może być już za późno!

Przez pozostałą część dnia pościł i odpoczywał.

Przygotowywał swoje ciało i umysł do dramatycznego spotkania. Szkolenie, które kiedyś przeszedł, pomogło mu oddalić od siebie wszystkie myśli związane z nadchodzącą bitwą. Nawet Quentin nie dawał znaku życia. Sabat był żołnierzem, który gotował się do wojny.

Była już dziesiąta, gdy wyszedł z hotelu ubrany w swój tradycyjny, czarny strój. W kieszeniach, po obu stronach kurtki, schował niewielkie krzyżyki.

Otuchy dodawała mu 38-ka spoczywająca w futerale, chociaż wiedział, że w tego typu

spotkaniach broń była mało użyteczna. Dodatkowo zaopatrzył się w dwie liny, długie w przybliżeniu na stopę, które były jeszcze wilgotne od święconej wody. Nagle poczuł, że być może, jego szansę nie są wcale takie mizerne.

Ulice i plac Montmartre były pełne ludzi. Ukryty w cieniu Sabat obserwował tłum. Przypadkowy obserwator mógłby nawet sądzić, że panująca tu krzątanina jest zwykłą reakcją na miły, spokojny wieczór, że tłum na placu jest zjawiskiem typowym, że artyści, niedoszli artyści, hołota i narkomani wyłoniwszy się ze swoich nor rozpacz, przyszli tu na zebranie. Kiedy przyjrzeć się jednak ich twarzom, oczom, widać było wyraźnie, że noszą w sobie uraz do społeczeństwa, które pozwoliło im istnieć. Nienawiść sprawiała, że czuli się niespokojni,

skorzy do buntu, do rozpętania nowej Rewolucji Francuskiej.

Była to bowiem armia Lilith, uczniowie Bogini Ciemności, Handlarze Krwią, zbierający się, by iść naprzód.

Sabat przeszedł obok grupy świadom, że pod tymi poszarpanymi ubiorami noszą straszną broń. W noc rzezi ich ofiarami mieli się stać mieszkańcy Paryża. Odnalazł równoległą do ulicy alejkę, przy której Katriona Lealan ukryła się w swym obskurnym domu. Odszukał tylne drzwi, wyglądające tak jakby nie używano ich od lat. Nie mógł jednak ryzykować. W kilka sekund umocował jedną z lin do ramy i

ubezpieczył ją w trzech miejscach odrobiną kitu. Stworzył w ten sposób trójkątny, konopny emblemat, tak istotny w osiągnięciu nocnego sukcesu. Cofając się wymruczał kilka słów, które nawiązywały do Drzewa Sefirotycznego.

Kilka minut później stał już przy frontowych drzwiach domu. Rozglądał się wokół. Widział tylko ciemność i odległe blade światło, napływające od strony placu. Tym razem, gdy przymocowywał drugą linkę, drżały mu palce. Gdy wypowiadał zaklęcia, jego wargi poruszały się nerwowo. Teraz naprawdę kości zostały rzucone, a wynik nocnej potyczki zależał od sił nadprzyrodzonych.

Gdy odszedł kawałek, by przyjrzeć się uważniej swemu dziełu, któryś z jego zmysłów ostrzegł go, że nie jest sam. Ledwie uniknął błyskawicznej śmierci. Cios minął go o ułamek milimetra. Odetchnął i już mocował się z nieznanym przeciwnikiem, walcząc o swoje życie i duszę.

Mocno zacisnął dłoń na ramieniu, które próbowało zadać mu śmiertelny cios. Szarpnął je do góry, potem w dół. Usłyszał chrzęst pękniętej kości i metaliczny dźwięk czegoś, co uderzyło o kamienie ulicy. Rozległ się okrzyk

186

bólu, lecz Sabat natychmiast stłumił go drugą ręką. Dostrzegł przeciwnika raczej węchem i dotykiem aniżeli wzrokiem. Napastnik ubrany był w postrzępiony, cuchnący drelich. Jego oczy płonęły

nienawistnym blaskiem, który przenikał nawet przez mgłę bólu. Był, jak pilot kamikadze, opętany żądzą wypełniania rozkazów, jak... stróż Piekielnych Bram!

Palce Sabata zluzowały nieco ucisk na szyi. Tylko na ułamek sekundy. Jego napięta, wyciągnięta ręka powędrowała w górę. Cios w szyję był krótki i ostry, sztuka przeważała nad siłą. Rozległo się głuche łupnięcie. Napastnik nie miał nawet czasu krzyknąć. Jego ciało osunęło się bezwładnie, głowa zwisała pod dziwnym kątem. Był martwy!

Sabat zawlókł go w cień. Na chodniku znalazł jeszcze krwawą broń i znowu podszedł do drzwi. Jego oddech nie był nawet przyspieszony. Mięśnie miał napięte. Jednak nie z powodu potyczki, lecz w oczekiwaniu na to co jeszcze może się wydarzyć. Próbował przekręcić wyłamującą się klamkę. W jego drugiej dłoni błysnęła stal. Było to narzędzie, które otworzyłoby niemal każdy zamek. Nie musiał go jednak używać. Z ledwie dosłyszalnym skrzypnięciem drzwi Katriony Lealan otworzyły się. Sabat wszedł do środka. Stał czekając, aż jego oczy zaczną dostrzegać w gęstej czerni przedmioty. Było ciemniej, niż się spodziewał. Nasłuchiwał. Chciał uchwycić każdy najdrobniejszy szmer. Jego zmysły były w pełnej gotowości. Nic jednak nie usłyszał. W domu panowała kompletna cisza. Cisza ta była straszniejsza aniżeli wycie złych duchów zza grobu. W pierwszej chwili pomyślał, że Lealanowie

uciekli, że Katriona, z przebiegłością Lilith, wyczuła jego obecność. Lecz nie! Wiedział, że oni gdzieś
187

tu są' Czuł ten chłód obecność zła i lęK, który sprawił, że sięgnął do kieszeni po jeden z malutkich krzyży i podniósł go do gó\ Teraz bez obaw musiał wymowie słowa modlitwy, wzywając swe bóstwa b) nie opuszczały go w godzinie próby Musiał to zrobić teraz, póki jeszcze był do tego zdolny

- Uwo[^]ij ten dom - łaman\ szept zdawał się wibrować w powietrzu Quentin próbował przeszkodzić, zagłuszając jego modlitwę

- Uwolnij od wszelkich złych duchów, wszelkich złych tworów wyobraźni, projekcji i fantazmów, i wszystkich iluzji pow całych za sprawą Złego, i spraw by me wyrządzając nikomu krzywdy wróciły tam gdzie jest ich miejsce i by pozostały tam na wieki Boże Wcielony Boże, który przyszedłeś by dać pokój, by zapanował pokój'

Sabat pocit się obficie Miał uczucie, że wszystkie siły opuściły go Nabrał powietrza w płuca i krzyknął rozpaczliwie, a ściany odbiły jego głos

~ Boże, Synu Boży, który przez śmierć zniszczyłeś śmierć i pokonałeś tego, który miał władzę śmierci zniszcz szybko Szatana'

Chwila napiętej ciszy, a potem głośne pęknięcie i drżenie, takie jakby cały budynek nagle zaczął się walić jakb\ jego fundamenty trzęsły się od odległego trzęsienia ziemi

**W tym momencie zapaliły się światła zakurzona
żarówka na wyciągnięcie ręki wisząca u sufitu i
diuga, u szczytu schodów**

**Nagle światło oślepiło go Wyjąc z bólu przesłonił
dłonią oczy**

**Po chwili odzyskał normalny wzioL Rozmazany
Jbraz powoli stawał się czytelny Na polpietrze
dostizegl**

188

wysoką, szczupłą postać Katriony Lealan.

Wpatrywała się w niego.

**Była zupełnie naga. Jedynie na ramionach miała
zarzucony szal. Z wyjątkiem intensywnie
czerwonych warg, całe jej ciało było tak blade, że do
złudzenia przypominało trupa. Purpurowa ciecz
spływała po brodzie, a oczy błyszczały nienawiścią
znacznie silniejszą niż ta. którą żywić mogą
śmiertelnicy.**

**- Sabat! - drżała z wściekłości. - Cały czas próbujesz
swymi nikłymi siłami pokrzyżować moje plany. To
niedorzeczne. Teraz jestem Lilith. Tej nocy ujrzysz,
jak sięgam po władzę. To miasto i wiele innych na
całym świecie spłynie krwią. Moje armie są już
gotowe.**

**Sabat poczuł, że słabnie, że ręka trzymająca
krucyfiks opada, jak gdyby ciężar srebra okazał się
za duży. Jego palce zaczęły się otwierać, a malutki
krzyż upadł, odbiwszy się od drewnianej podłogi. Te
oczy. o Boże, czuł ich siłę tak samo jak owej nocy w**

Langdon Ma»nor. Wtapiały się w jego myśli. Próbował stawiać opór. Tracił wiarę. Próbował pokonać zwątpienie, lecz był do tego niezdolny. - Podejdź! - stanowczo wypowiedziany rozkaz sprawo!, że Sabat zaczął wchodzić po schodach. - Nim umrzesz, nim twoja dusza ulegnie zagładzie, by zrobić miejsce Quentinowi. zobaczysz, jaką mocą dysponuję. Proponowałam ci udział w moich planach, lecz wzgardziłeś i nimi, i mną. Nie będę już więcej ryzykowała. Możesz znowu zdradzić. Odwróciwszy się z pogardą, bi-zszelestnie sunęła przed nim. Drwiła z niebezpieczeństwa rzekomego ataku. Pchnięciem otwożyła drzwi górnego pokoju. Odsunęła się. b\ Sabat mógł zajrzeć do środka O Boże. wszystko tu było identyc/ne jak w pokoju 189

Pierre'a Yalhna, gdzie czarnoksię/mk składał swe nieczyste śluby Ten sam ołtarz i pudło zastępujące kołyskę Było również kwilące niemowie w brudnych poplamionych krwią kocach I jeszcze długie dziecko leżało pod odwróconym krucyfiksem Jego gardło było przecięte Yallin był tam również tak jak wtedy, przed pięcioma wiekami, stetryczały, wysuszony i brudny Czołgał się po podłodze, mrużąc cos pod nosem On - reprezentant śmiertelnych - Jest zupełnie tak samo jak wtedy - Katnona zachichotała - Pierre albo Vmce, wszak pod takim imieniem jest ci znany, poniża się przede mną, bo | ego siła jest tylko fanatycznym pragnieniem

śmiertelnika Tak jak kiedyś Dłatego kuli się i wiernie służy Miałam nadzieję, że podobnie będzie z tobą Niestety, ty jesteś zbyt nieobliczalny i tylko całkowite unicestwienie twego ciała i duszy wydaje się sensownym rozwiązaniem Słyszę już te krzyki na ulicach Czuję zapach krwi, w której świat skąpie się przed świtem

Lealan uniósł się Utkwił zapadnięte oczy w Sabacie i wymamrotał jakieś przekleństwa Zdążył już go rozpoznać Wpił swe szpony w powietrze, jakby próbował odtworzyć unicestwione sny - Uklęknij, Sabat - w głosie Katnony była nuta hysterii - Uklęknij przed ołtarzem Najwyższego, obok tego, który podobnie jak ty śnił o wielkości Sabat z trudem stawiał opór Poczul jak jego stopy przesuwają się, kolana zginają Padł na podłogę Niemal dotknął jej twarzą Miał poczucie klęski, z którą, jak ze śmiertelna chorobą, walczy się zapalczywie przez cały czas jej trwania a która w końcu zwycięża Modlitwy były jego ostatnia nadzieją, ale minęły bez echa

190

Katriona podeszła do ołtarza. Podniosła jedno z urządzeń do zasysania krwi, sadystyczny wynalazek pułkownika SAS, którego dni chwały należały już do przeszłości. Zaśmiała się głośno.

- Krew Sabata, prawdziwe wino, którym będzie delektował się Mistrz. Szatan!

Gdy zaczęła się do niego zbliżać, Sabat miał uczucie, że coś zaczyna się dziać, coś czego nie rozumie.

Lekkie drgania przeżartej przez robactwo podłogi przypominały nawrót trzęsienia ziemi.

Katriona uniósłszy broń, zawahała się przez moment. Ołtarz wibrował, ciało niemowłęcia poruszyło się jak żywe. Żarówka zaczęła się bujać i migotać, gasła. I nagle rozjarzyła się oślepiającym blaskiem. Odwrócony krucyfiks zachwiał się i upadł. Obrócił się i wydawało się, że martwy przedmiot próbuje odzyskać równowagę. Fundamentem domu targnęły potężne wstrząsy. Sabat poczuł, że hipnotyczna moc już go nie krępuje, że może wrócić do swego umysłu i ciała. Gwałtownie się cofnął. Ostrze broni skierowane w jego tętnicę chybiło i upadło ciężko na podłogę. Katriona krzyknęła. W krzyku tym była bezradność i lęk, wezwanie do odwrotu.

Żarówka zgasła, lecz pokój nie pogrążył się w całkowitej ciemności. Zamiast elektrycznego światła pojawił się dziwny blask, rodzaj delikatnej, błękitnej aury, w której Sabat doskonale rozróżniał szczegóły. Widział panikę pięknej kobiety. Gotowała się do ucieczki. Jej dalekosiężne plany legły w gruzach. Sabat wyprostował się. Cała jego istota cieszyła się, że wiara nie odeszła, że został tylko poddany próbie. Ktoś w pobliżu jęczał. Być może był to pułkownik Vince Lealan, próbujący nieporadnymi ruchami unieść swe ciało do gó-

ry, być może był to Quentin, oplakujący jeszcze jedną przegraną.

- Rozkazuję tobie, Lilith. Bogini Nocnych Godzin - głos Sabata był stanowczy i czysty, brzmiał jak okrzyk zwycięstwa - w imię Sanvi, Sansavi i Semangelafa, aniołów Boga, byś powróciła tam, skąd przyszłaś...

Krzyk Katriony był potworny. Brzmiał jak śmiertelny skowyt dogorywającej kocicy. Trzy imiona aniołów Boga paliły ją żywym ogniem. Sprawiały, że rzuciła się w kierunku schodów. Pośliznęła się i upadła. Fizycznie i psychicznie poniosła klęskę. Usiłowała dowlec się do drzwi. Uniosła się, by chwycić klamkę. Dziko ją szarpnęła. Sabat ruszył w kierunku schodów. Patrzył na nią oczyma, które nie znały litości. Mimo jej wysiłków i przekleństw, drzwi nie chciały się otworzyć, tak jakby ktoś zamknął je na klucz. Katriona waliła pięściami, pluć krwistą śliną, potem powlokła się z rozpaczliwym wysiłkiem wzdłuż hallu, ku tylnym drzwiom: one również nie ustępowały. Po jakimś czasie osunęła się wyczerpana na podłogę. Jej wściekłość minęła. Pozostała tylko głęboka rozpacz. Sabat uśmiechnął się drwiąco i zaczął schodzić. Nikt nie przejdzie przez drzwi. Ani przednie, ani tylne. Chyba, że on wyda takie polecenie. Konopne więzy, tak lubiane przez zwolenników Ścieżki Lewej Ręki, dostały się w posiadanie trójki aniołów: Sanvi, Sansavi i Semangelafa, które ścigały Lilith od

zarania dziejów. Niebawem po nią przyjdą. Biała magia pokonała czarną.

Sabat cofnął się do pokoju na górze. Przyjrzał się uważnie pobojuwisku. Wyglądało to tak, jakby przez pomieszczenie przetoczył się huragan. Filigranowy, drewnia-

192

ny ołtarz zawałił się, a krucyfiks stał pośrodku jak sztandar zwycięstwa.

Vince Lealan ciągle mamrotał niezrozumiałe bluźnier-stwa. Z jego gardła i płuc dobywała się czerwona ślina. Sabat nie miał dla niego litości. Jego czarne oczy rzucały błyski.

- Ty łajdaku! - syknął Sabat i kopnął go butem w twarz. Głowa Lealana odskoczyła. Słysząc było jak pęka kość. - Być może byłeś tylko narzędziem w jej rękach, lecz to nie zmienia faktu, że obiecałem ci zemstę!

Na Lealana posypał się grad ciosów. Sabat ulżył nagromadzonej wściekłości. Bez wątpienia jego atak uśmierciłby przeciwnika, gdyby nie powstrzymał się w porę. Taka śmierć byłaby zbyt łagodna dla człowieka, który nazwał siebie nowym Flihrerem. Pułkownik Vince Lealan, były agent SAS, z lękiem wpatrywał się w Sabata. Błagał o śmierć. Wiedział jednak, że nie nadejdzie ona szybko. Przepelniony był również nienawiścią. W ciągu kilku tygodni postarzał się o dziesiątki lat. Lilith chciała od nowa

zacząć dzieje ludzkości, chciała by Pierre Yallin w decydującej godzinie wrócił pod jej rozkazy.

Palce Sabata namacały 38-kę w futerale.

Przypomniął sobie terrorystę, którego złapał niegdyś na odległej farmie. Wystrzelił tamtej nocy pięciokrotnie. Cztery pociski ulokował w rękach i nogach bandyty, a piątym wypatroszył trzewia swego więźnia. Śmierć wówczas nadchodziła wolno i Sabat był zadowolony z roli obserwatora. Doskonale pamiętał zbrodnie, jakie tamten popełnił przed ich spotkaniem. Życie za życie, to był jedyny słuszny rachunek.

Teraz mogło być podobnie. Jednak dla Lealana nawet

7 - Krwawa bogini

I'/3

godziny meczami stanowiłyby zbyt krótką karę. Dużo lepiej by było, gdyby do końca swych dni gnił w jakimś piekielnym, francuskim więzieniu i ciągle przypominał sobie swe życie. By ciągle żył przeszłością.

Sabat odwrócił się i zszedł na dół. Katriona stała oparta o ścianę. Jedną nogę miała wykręconą pod nienaturalnym kątem. Tym razem nie zmierzyła go wzrokiem. Jej spojrzenie przykute było do podłogi. Widać było, że jest załamana fizycznie i psychicznie. Została pokonana.

Sabat westchnął. Żałował, że nie mógł zrobić tego, co jak mu się zdawało, było konieczne, by zniszczyć duszę Lilith. By uwolnić ją od zła, chciał biczować jej

ciało do śmierci, chciał wbić stalowy pręt między jej zmysłowe piersi, odrąbać głowę i uwięzić jej astralną istotę nim wydostanie się na wolność. Nie mógł jednak tego zrobić sam, ponieważ wezwał na pomoc potężniejsze siły.

- Królowa biczowania we własnej osobie! - w jego głosie była zjadliwa pogarda.

Rozsunął jej stopy i przydepnął. Krzyknęła z bólu. Cieszył się, że widzi na jej policzku, być może jedyną w jej życiu, szczerą łzę.

- W końcu pokonana. Żałuję, że tak to się skończyło... że poszedłem z... nimi na układy. Gdyby tak nie było, miałbym cię w tej chwili do swej dyspozycji.

- Sabat - musiała zrobić spory wysiłek, by wypowiedzieć to imię. - To... nie musi być tak. Moglibyśmy przenieść się gdzieś, ty i ja. I zacząć od nowa.

- Nie wiem dokąd chciałabyś iść - odpowiedział - lecz jedna rzecz jest pewna. Mnie tam nie będzie. Twoja armia jest skończona. Twoi żołnierze włóczą się po ulicach ze zbrodnymi narzędziami, nie wiedząc za bardzo, po co je właściwie noszą. A policja zbiera ich do ciężarów-

194

wek. Uczniowie Lilith są skończeni, a Front Wyzwolenia stanie się znowu po prostu Frontem Wyzwolenia i nikt nie będzie nań zwracał uwagi.

Zaszlochała i zwiesiła głowę. Gdy ją znowu podniosła, Sabata już nie było. Wyszedł drzwiami, które dzięki jego magicznym umiejętnościom były zamknięte przed Lilith. Mocno drżała. Wiedziała, że trójka, której tak bardzo się obawiała, przed którą uciekała w swych rozlicznych wcieleniach, zjawi się tu po nią, nim mrok rozproszy poranek.

Sabat wyszedł i zamknął drzwi. Stał w cieniu wąskiej ulicy po przeciwnej stronie. Patrzył, chciał mieć całkowitą pewność.

Wszędzie wokół słyszał syreny policyjnych wozów, okrzyki i przekleństwa. Nie słyszał wystrzałów. Armia w łachmanach nie stawiała oporu. Podobnie sytuacja będzie wyglądała w wielu różnych miastach.

Zastanawiał się przez moment, jak radzi sobie McKay.

I właśnie wtedy ich dostrzegł, trzech żandarmów w mundurach z przewieszonymi pistoletami. Wyszli z cienia jak widma i zniknęli w domu śmierci.

Wydawało się, że minęło ledwie kilka sekund, a oni już wychodzili. Dwóch podtrzymywało załamaną Katrionę, trzeci osłaniał ich od tyłu. Głowa Katriony opadła. Jej twarz skryły gęste, złote włosy. Milczała. Potem pochłonęła ich ciemność. Sabat wiedział, że odeszli i prędko nie wrócą.

Myślał o tych trzech policjantach, dla których długie polowanie dobiegło końca. Dobrze znał ich imiona: Sanvi, Sansavi i Semangelaf.

Rozdział XIV

- Jezu, Sabat! - detektyw śledczy Clive McKay z CIA sącył whisky i przyglądał się Sabatowi. - Nie wiem, co ty u diabła robiłeś w Paryżu, lecz z tego co wiemy, sytuacja była tam podobna do naszej. Margines Europy, setki skinheadów i mętów, pojawiło się na ulicach z tą diabelną bronią, nie wiedząc co począć. Podobno oddawali gliniarzom te strzykawki tak, jakby częstowali ich papierosami. Nie wiedzieli skąd to mają, ani kto im to wręczył. Prawdziwy obłęd.

- A Lealanowie? - Sabat starał się nadać pytaniu naturalne brzmienie.

- Mówisz jakbyś w niczym nie uczestniczył - McKay uśmiechnął się. Wiedział jednak, że musi wszystko wyjaśnić. - Vince'a znaleziono nieprzytomnego na Montmartrze. Obok leżała dwójka niemowląt. Jedno martwe, drugie jeszcze żywe. Jego matka oszalała z radości. Katriona zaś zniknęła bez śladu. Być może ty wiesz o niej więcej od nas. Stary Vince nie zdołał nic powiedzieć. W tej chwili wali w drzwi i krzyczy, że muszą go wypuścić, bo jest Satlinem, i lud go potrzebuje. Mamy doniesienia z tak odległych miast jak Sydney, Tokio, Nowy Jork... Tam również złapano dzieciaki z takimi spluwami. Przypuszczam, że podobne przypadki odnotowano również w ZSRR, lecz oni zajęli się tym skutecznie. Nic więcej nie wiemy.

**- Możemy więc stwierdzić, że była to jeszcze jedna
196**

**potyczka między siłami Zła i Dobra? - Sabat
przeciągnął się, nie próbując nawet ukryć ziewania. -
Ta bitwa będzie toczyć się długo po naszej śmierci,
Clive. Czasem będziemy wygrywać, czasem
przegrywać. Wątpię, czy kiedykolwiek nastąpi
rozstrzygnięcie.**

**Najpilniejszym zadaniem McKay'a był teraz raport,
który miał sporządzić na polecenie komisarza.**

**Czasem zazdrościł komisarzowi, kiedy indziej
nienawidził go. Jeszcze jeden cholerny, biurowy
obowiązek. Delegacja... i dupa do kopania, gdy coś
było nie tak. Tak bezpiecznie, bez żadnego ryzyka...
Sabat wiedział, że tej nocy znów jego astralne ciało
będzie chciało wydostać się na zewnątrz.**

Sygnalizował to rodzaj dziwnego zmęczenia.

**Odczuwał je, gdy szedł do łóżka. Zwykły człowiek
rzucałby się w nocy zaplątany w 'pościel, ale nie
Sabat. Nawet Quentin pogrążył się w czymś, co
miejmy nadzieję, można nazwać długim okresem
ciszy.**

**Sabat cieszył się, że oddala się od zwykłego świata
tak szybko. Był skrzydlatym stworzeniem nocy,
wiedzionym przez tajemniczy instynkt, któremu,
podobnie jak gołąb lecący do domu, nie potrafił się
oprzeć.**

**Leciał coraz szybciej. Z ciemności w światło, w
słońce, które promieniowało mocno na rozciągającą**

się poniżej ziemię. Znał to dobrze. Ten zaduch gnijących ciał, które przez cały dzień prażyły się na słońcu. Tym razem jednak nie miał zamiaru zwiedzać spustoszonego pola walki. Instykt kierował go w inne miejsce. Zrobiło się chłodniej. Krajobraz nieco się zmienił. Pojawiły się dziwne, zielone plamy. Góry były tak wysokie, że niektóre szczyty ginęły w chmurach, ziemia zaś równie ciemna i przerażająca jak
197

ta, na której sępy pożerały martwe ciała. Podobieństwo tych miejsc było uderzające. Sabat nie dostrzegł zamku do chwili, gdy na nim nie wylądował. Zwieńczona wieżyczkami bryła wyłoniła się z mgieł. Kamienne ściany zostały zniszczone przez minione wieki. Obrzeża murów kruszyły się ze starości. Wylądował przed główną bramą, na potężnym, porośniętym przez chwasty placu. Zmienił się w wieśniaka, skromnego, pełnego lęku człowieczka, odzianego w kozłą skórę. W pierwszej chwili pomyślał, że nikt tu nie mieszka. Zamek wyglądał na porzucony. Po chwili jednak usłyszał szelest kroków. Ktoś się zbliżał. Postać ukazała się w cieniu arkad.
- Oczekujemy ciebie. Sabat - nieznajomy również odziany był w zwierzęce skóry, które przetrwały wiele lat. Przylegały do jego ciała tak, jakby stanowiły jego naturalną wierzchnią warstwę. Był otyły. Jego głowa w porównaniu do ramion

wydawała się odrobinę przyduża i ciężka. Miał krótkie, łukowate nogi. Pod zbitymi, czarnymi włosami i brodą trudno było dostrzec rysy jego twarzy. Oczy małe i jasne, zdawały się przeświećlać Sabata na wskroś. Tak jakby widziały wszystko.
- Chodź ze mną, bo czas twego pobytu tutaj jest krótki. Nie tak jak mój.

Za stróżem zamku Sabat wszedł do środka. Zobaczył nagie ściany, które ociekały wilgocią, i umeblowanie sporządzone z powalonych pni drzew. Całość była ponura i pozbawiona wszelkich wygód. Kroki odbijały się nieziemskim echem. Z daleka dochodziło jakieś dziwne, nieustanne zawodzenie. Być może to był wiatr wiejący przez szczyty murów, być może, poddawane w lochach torturom, wyły dusze potępionych. Przewodnik wyjął z koszy-
198

ka zapaloną pochodnię i zaczął schodzić po nierównych, kamiennych stopniach. Sabat czuł otaczający ich wilgotny chłód i odór gnijących ciał. Ciągle szli w dół. Przed nimi rozciągał się labirynt korytarzy. Piasek chrzęścił pod stopami. Nieprzyjemny zapach wzmagał się, a krzyki były coraz głośniejsze.

W końcu dotarli do ciężkich, drewnianych drzwi. Brodaty mężczyzna uniósł zasuwę i uruchomił linowe zawiasy.

- Spójrz, Sabat. Oto loch potępionych. Tu odsiaduje się wieczne wyroki.

Sabat cofnął się. Widok, który migoczący płomień wydobył z mroku, był przerażający. Więzienny loch ciągnął się w nieskończoność, ginąc w czerni cienia. Nagie, wycieńczone ciała zwisały w zagłębieniach ścian, przymocowane za ręce do haków, które spinały pękające mury. Na twarzach potępionych malowały się okropne męczarnie, usta wykrzywione były w nieprzemijającym okrzyku przerażenia. Byli tam i młodzi, i starzy. Szczury uciekały przed światłem. Przeszkadzono im w uczcie, której główną atrakcją stanowiło żywe mięso. Były wzdęte jak sępy na pustyni. Widoczne w świetle ciągle coś żuły. Wyraźnie niecierpliwiły się. Pragnęły już wrócić do przerwanej uczty.

- Idź za mną.

Sabat był posłuszny. Nie miał innego wyboru. Szedł w niewielkiej odległości za stróżem, wzdłuż linii wijących się ciał, których oddech był chłodny i cuchnący. Chór przekleństw wibrował w jego umyśle, podobnie jak niegdyś głos Quentina, gdy czuł złego sprzymierzeńca.

- Oto ona!

Strażnik uniósł drewniany przyrząd z zawiązanymi na końcu supłami, który służył tu do wymierzania kary i wręczył go Sabatowi.

- Oto dlaczego cię wezwano.

Sabat rozpoznał ją. Wpatrywał się w jej poplamione krwią i rozmazane łzami rysy. Niegdyś była piękna. Teraz trudno było w to uwierzyć. Jej jasne włosy

stały się siwe, piersi obwisły jak puste worki, jedna noga była wykręcona i najwyraźniej martwa - naga kość dzwoniła o żelazo. Tylko oczy pozostały te same, niezwykle błękitne, nadal próbowały okazywać władzę, którą dawno utraciły. Ka-triona Lealan, Lilith! To była ona! Gniła w piekle, gdzie nie było płomieni, które mogłyby ją ogrzać, w Hadesie, którego mieszkańcy skazani byli na wieczystą czerń i szczyry.

- Wyraziłeś pragnienie biczowania jej - odezwał się beznamiętnym tonem. - Dlatego cię tutaj wezwano. Sabat skrzywił się i żałował, że nie potrafi wskrzesić w sobie nienawiści do Katriony, która niegdyś płonęła w nim tak mocnym ogniem. Nie potrafił. Nie ze współczucia.

Teraz jednak musiał spełnić zadanie do jakiego został wybrany. Skinął głową. Próbował spojrzeć jej w oczy. Lochy rozbrzmiały odgłosem rozdzieranego ciała i krzykami bólu.

To Lilith, która powstała z błota i nieczystości, wracała do miejsca mroku, w którym nawet siły Zła bały się pojawić.

Brud do brudu. Na wieki.